

OLIVIA GOLDSMITH

Wydajemy mamę za mąż

Tytuł oryginalny: Marrying Mom

“Dla kobiety starość jest piekłem”

— Ninon de Lenclos

Podziękowania składam:

Paulowi Smithowi za ułożenie obłąkanego planu i za to, że dał mi dom moich marzeń.

Jimowi i Christopherowi Robinson za zrozumienie i zaangażowanie w pracy nad książką.

Lindzie Grady, zarówno wspaniałej czytelniczce jak i przyjaciółce oraz pisarce.

Barbarze Turner za miłość, poczucie humoru i wymyślenie głównego wątku. (Nie próbuj mnie zaskarżyć, siostrzyczko.)

Paulowi Mahon, w związku z tymi wszystkimi wyprawami do Montany, Irlandii, Michigan i za całą resztę. To szczęście, że nie jestem od ciebie zależna.

Jerry’emu Young za to, że nigdy nie kazał mi czekać. Co masz na sobie, Jerry?

Sherry Lansing za to, że dzieliła ze mną moją wizję, opowiadała mi dowcipy i zrobiła z tej książki film.

Aidzie Mora za bezustanne zaopatrywanie mnie w dietetyczną colę i za to, że czyniła dom przytulnym.

Allen Kirstein za dodawanie mi otuchy wtedy, gdy potrzebowałam tego najbardziej.

Johnowi Yunis za kuszenie mnie, bym wyglądała lepiej niż kiedykolwiek.

Flexowi (alias Angelo), za pasemka i układanie.

Gail Parent, bez której nie mogę żyć.

Chrisowi Patusky, który próbował naciągnąć mnie na podpisywanie książek. (Mam nadzieję, że kłopoty ze Związkiem wkrótce się skończą, Chris.)

Amy Bobrow za pomoc w terminologii z Wall Street i przy Matyldzie.

Haroldowi Wise, najlepszemu, najtroskliwzszemu internście na Manhattanie. Miałaś rację we wszystkim, Haroldzie.

Dianie Hellinger, jedynej mojej przyjaciółce, która chciała śpiewać ze mną przez telefon.

Lorraine Krehling za odłożenie w czasie naszych planów kiedy pochłonięta byłam niniejszą książką; dzięki za to, że jesteś moją przyjaciółką.

Amy Fine Collins za pomoc w sprawdzaniu. Wiesz, że ja dla ciebie zrobiłabym to samo.

Mike’owi Snyderowi za to, że był wielkim uchem. Byłeś tak powolny, że dotknęło to całą moją rodzinę, ale kocham cię.

Johnowi Botteri (alias Moe) za to, że dokładnie wiedział, ile hamburgerów potrzebuje pisarka.

Barry’emu LaPoint za talent artystyczny, uczciwość i za to, że wiedział, które drzwi w holu trzeba wymienić.

Laurze Ziskin za łagodność, zrozumienie oraz za wydanie tej książki.

Davidowi Madden, pomimo tego, że nie chciałeś się ze mną ożenić.

Robertowi Cortowi za najważniejsze rady w sprawie charakteru mamy.

Arlene Sorkin, cudownej scenarzystce.

Andrew Fisher za nieocenioną pomoc w obcowaniu z prawdziwymi fachowcami z branży budowlanej.

Kelly Lange, ponieważ być królową nie jest łatwo.

Anthei Disney, prawdziwej kobiecie i prawdziwej przyjaciółce.

Ruth Nathan, mojej muzie w wielu sprawach

Lynn Goldberg, ponieważ wciąż cię podziwiam, Lynn. A tak przy okazji, kiedy zamierzasz powiesić mój portret na ścianie?

Dwightowi Currie, który tak świetnie czyta, sprzedaje i pisze książki oraz przetrzymuje je (może poza tą ostatnią uwagą).

Michaelowi Kohlmannowi, wciąż “miłemu gościowi” i nadal mojemu przyjacielowi..

Steve’owi Rubin i Edowi Town z Galerii North Star w Grafton w Vermont za doskonałe dokarmianie mnie.

Edgarowi Fabro w Copy Quest, ponieważ nikt nie potrafi podrobić jego zdumiewających talentów.

Jody Post, gdyż tęsknię i tęskniłam za tobą.

Normanowi Currie z Bettmann Archives za inspirującą pomoc w uzupełnieniu szczegółów.

1

— Ja odchodzę, Ira.

Phyllis nie było łatwo powiadomić go o takiej decyzji po czterdziestu siedmiu latach małżeństwa, ale musiała to zrobić. Zawsze mówiła prawdę. Ludzie przez całe życie nazywali ją trudną, niewrażliwą i pozbawioną skrupułów, chociaż tak naprawdę była po prostu szczerą.

— Dłużej tego nie zniosę, Ira — mówiła dalej — wiesz, że nigdy nie lubiłam Florydy. Przyjechałam tu dla ciebie, ponieważ ty tego chciałeś — zawahała się. Nie chciała go oskarżać. To wolny kraj, a Ira jej przecież nie zmuszał. — Co prawda, zawsze mnie wspierałeś — przyznała Phyllis — Powiedzmy sobie szczerze: to ty zarabiałeś pieniądze, więc byłam ci to winna. Ale to była twoja emerytura, nie moja. Nie byłam na to jeszcze gotowa. Czy jednak miałam jakiś wybór?

Ira nie odpowiedział. Oczywiście, nie spodziewała się tego po nim. Prawdę powiedziawszy, w ciągu tych czterdziestu siedmiu lat małżeństwa rzadko kiedy mówił dużo. A jednak, dzięki jakiejś małżeńskiej osmozie, zawsze wiedziała, co sądzi na dany temat. Teraz zdała sobie sprawę, że dezaprobata, jakiej oczekiwała, nie nadeszła. Oznaczało to, że Ira albo się dąsał, albo był nieobecny. Zawahała się. Nawet jej, której cięty język znali wszyscy, trudno było to powiedzieć. A jednak musiała to uczynić.

— Nie poświęcałeś dzieciom wystarczającej uwagi, Ira. Byłam ci potrzebna w firmie, a ja robiłam to, co musiałam. Nasze dzieci jednak powinny wtedy mieć rodziców, a nas dla nich nie było. Tak uważam. W życiu nie powiodło się im zbyt dobrze. Sharon z Barneyem ...Susan wciąż samotna ...No i Bruce.— Phyllis przerwała i zagryzła wargę. O niektórych rzeczach lepiej nie mówić. — Nie chcę cię krytykować, ale myślę, że nie dałeś im zbyt wiele z siebie. Płaciłeś za najlepsze szkoły, ale nie nauczyli się życia. Nie wiedzą, co jest w nim ważne. Sądzę też, że potrzebują swojej matki. Wracam, by zająć się dziećmi, Ira. Nie byłam wtedy dla nich dobrą matką, ale teraz mogę spróbować im to wynagrodzić.

Phyllis westchnęła głęboko. Słońce prażyło bezlitośnie. Pomyślała o raku skóry, którego Ira wyhodował na swej łysej głowie. Powinna włożyć kapelusz, ale nie znosiła tego typu nakryć głowy, okularów słonecznych i wszystkich tych akcesorii, które wlokła wszędzie ze sobą większość ludzi na Florydzie: kremów z filtrem przeciwsłonecznym, ochronnych pomadek, daszków osłaniających od słońca. Kto miał na to czas? Floryda była miejscem, które wyglądało jak raj, ale przerażało śmiertelnie.

— Ira, Święto Dziękczynienia było koszmarem. Zjeść indyka w Rascal House, porozmawiać z dziećmi, które dzwonią tylko z poczucia obowiązku — cóż to za święto? Nie było to miłe dla nich i również dla mnie. To bardzo przygnębiające, wiesz?

Phyllis zniżyła głos. Nie była próżna, ale mówiąc o swoim wieku często mijała się z prawdą.

— Dwunastego przypadają moje siedemdziesiąte urodziny, Ira. Przeraża mnie to. A później Chanuka*, Boże Narodzenie, Nowy Rok. Nie przeżyję, jeśli zostanę tutaj. Rozumiesz?

*Chanuka — święto żydowskie trwające osiem dni, przypadające w grudniu (przyp. red.)

Cisza. Żadnej odpowiedzi. Phyllis wiedziała, że nie powinno ją to dziwić. Zawsze tak było: ona mówiła, on słuchał. Kiedyś przynajmniej słuchał. Na Florydzie jednak, w ciągu ostatnich lat, zamknął się w sobie. Jego świat ograniczył się do jego własnej klatki piersiowej i choroby, która

się tam rozpanoszyła. Phyllis dbała, by brał swoje leki, pilnowała, żeby zachowywał dietę i ćwiczył. Ale konwersacja? Luksus. Phyllis westchnęła ponownie. Czegoż oczekiwała?

Odwróciła się do niego plecami i otarła wilgotne oczy. Nie była płacziwa. Poddawanie się emocjom było śmieszne. Wiedziała o tym i kategorycznie nakazała sobie wziąć się w garść. Odwróciła się ponownie.

— Nie będziesz tu sam — powiedziała — Iris Blumberg jest tutaj, tuż za tą wierzbą, Max Feiglebaum też jest niedaleko — zawahała się — wiem, że nie masz cierpliwości do Sylvii, ale będzie tu wpadać raz na tydzień, by zrobić porządek.

Nie zostało już nic do powiedzenia. Byli udanym małżeństwem. Wielu uważało ją za natrętą i zbyt towarzyską, egocentryczkę. Nie Ira. I nie miał racji, ponieważ Phyllis była taka. Nie da się przeżyć sześćdziesięciu dziewięciu lat, nie dowiadując się paru rzeczy o samej sobie, zadumała się. Chyba, że jest się głupią, albo mężczyzną. Ira, jako mężczyzna, nigdy jej tak naprawdę nie rozumiał, nie nauczył się też niczego o sobie. No, ale ileż jest tej wiedzy o mężczyznach?

Mężczyźni mają pracę albo jej nie mają, oszukują lub są uczciwi, potrafią oczarowywać lub też nie. Ira, zanim prawie dziesięć lat temu odszedł na emeryturę, był księgowym. Był dobrym człowiekiem. Pracował i przynosił pieniądze do domu, nie oszukując, ale brakowało mu uroku. Jednak lubił ją. I nawet jeśli jej nie rozumiał, przynajmniej cieszyło go jej towarzystwo. No i dał jej troje cudownych dzieci.

Phyllis pomyślała o Susan, Bruce i Sharon. Każde z nich było takie doskonałe, takie wspaniałe. Doprawdy zabawne, jak dzieci dorastając stają się dokładnie tak samo niedoskonałe jak wszyscy inni dorośli.

Potrząsnęła głową, wracając do głównego wątku myśli. W miarę upływu lat nie traciła, dzięki Bogu, pamięci. Wręcz przeciwnie, zbyt często pamiętała za wiele.

— Tak czy owak, Ira, mam nadzieję, że nie jesteś zbyt zaskoczony. Zawsze wiedziałeś, że nienawidzę tego miejsca. Są tu wyłącznie turyści, podstarzali Żydzi i przypieczeni plażowicze. Ja muszę odejść. Dla mojego zdrowia psychicznego — dodała, choć wiedziała, że Ira z trudnością uznałby to za argument uzasadniony. A od kiedy to jesteś zdrowa psychicznie? — było to jedno z pytań, które zadawał jej często. Pomimo tego żartu wiedzieli oboje, że miała rację.

— Nie powiadomiłam o tym dzieci. Wiem, że ich to przygnębi, ale nie mogę żyć tylko dla nich albo dla ciebie, Ira.

Phyllis pochyliła się i podniosła kamyk ze ścieżki koło grobu. Podeszła do nagrobka i położyła go obok innych, układanych tu za każdą wizytą jej lub dzieci. Kto teraz będzie odwiedzał grób? Tylko jej przyjaciółka, Sylvia Katz? Stróż, któremu, ilekroć tu przychodziła, zawsze dawała pięć dolarów? Ktokolwiek to będzie, Irze nie będzie się to podobało.

— Ira, ja muszę to zrobić — powiedziała, biorąc do ręki torebkę i szykując się do odejścia. — Jeśli zostaną tu dłużej, zginę.

Praktycznie każdego ranka przez dziewięć lat i trzy miesiące Ira i Phyllis Geronomous chodzili na spacer wysypaną tłuczniem, prowadzącą wzdłuż plaży aleją, zwaną w całej Danii na Florydzie jako deptak. Również i teraz, niemal w dwa lata po jego śmierci, Phyllis spacerowała dalej, bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby. Tego dnia, w Czarny Piątek, dzień po Święcie Dziękczynienia, piękna pogoda niezbyt harmonizowała z jej nastrojem, chociaż po rozmowie z Irą niewątpliwie poczuła się lepiej. Karaibski lazur morza migotał, gdy wyszła z ocienionej części drogi na promenadę prowadzącą obok muszli koncertowej, sklepików z tanimi kostiumami kąpielowymi i koszulkami, barów z przekąskami i zadymionych restauracji. Po drugiej stronie bulwaru, jakby dla kontrastu, rozciągała się istniejąca od wieków plaża, która wybiegała naprzeciw krystalicznej wodzie. Na plaży nie było jeszcze nikogo, nawet najgorliwszych amatorów słońca. Za to na deptaku roiło się już od przechodniów — dziesiątek starszych ludzi, dla których sen po piątej rano był nieosiągalny. Wszyscy odbywali swą poranną przechadzkę, zanim upał stanie się zbyt dokuczliwy.

Phyllis nie miała pojęcia, dlaczego szła znowu tędy. Spacerowała z mężem, ponieważ musiała; przy zastoinowej niewydolności serca należy podtrzymywać krążenie, dbać o wagę i nie dopuszczać do obrzęku płuc. Bez niej Ira nie spacerowałby w ogóle, wstawali więc oboje codziennie rano i zanim rozpoczęli swój dzień, pokonywali prawie sześć kilometrów do parkingu i z powrotem, mijając po drodze parcelę Howarda Johnsona, palmy i tanie motele, szli całą tę drogę aż do California Dream Inn.

Phyllis doszła do Pinehearst, gdzie, jak zawsze, siedząc na swym aluminiowym, siatkowym krześle ogrodowym, czekała Sylvia Katz, tuląc do łona swoją nieodłączną, wielką, czarną torbę z lakierowanej skóry. Sylvia Katz miała około siedemdziesięciu pięciu lat, może trochę więcej, choć nie przyznawała się do tego. Była niską kobietką o przeredzonych włosach. Zaczesawała je i farbowała na rudo — na ten nienaturalny odcień czerwieni owych trujących owoców maraskino, którymi w podłych restauracjach w tym mieście dekoruje się chińskie potrawy. Pochodziła z Queens w Kew Gardens i spędziła tu ostatnie piętnaście lat swego małżeństwa. Nie była ani zbyt bystra, ani dowcipna, ale będąc osobą lojalną i cierpliwą stanowiła najlepszy wariant przyjaciółki, jaki Phyllis mogła obecnie zdobyć. Wszyscy jej przyjaciele odeszli z tego świata lub też rozproszyli się w owej Mekce starzejących się.

— Czy mogę pójść z tobą? — zapytała, jak zawsze, Sylvia.

— To wolny kraj — odparła Phyllis, wzruszając ramionami i w zwykły sposób dopełniając ich porannego rytuału.

Sylvia Katz podniosła się z krzesła i przestąpiła betonowy murek oddzielający Pinehearst Gardens od tłumy na deptaku. Przez chwilę szły w milczeniu, słysząc jedynie szuranie sandałów Sylvii i szelest jej torby ocierającej się o szorty. Phyllis często błagała Sywzię, by zostawiła tę torbę w domu oraz by kupiła sobie parę reeboków, jakie mieli tu wszyscy. Sylvia jednak nie chciała. W zasadzie nie było wiadomo, czy dlatego, że nienawidziła zmian czy też dlatego, że nie znosiła wydawania pieniędzy. Phyllis wzruszyła ramionami. Cóż za różnica, czy Sylvia ciągnęła ze sobą ten wór i szurała nogami? Będą szły wolniej. Wielka sprawa. Nigdzie im się nie spieszy.

— Powiedziałam Irze — oświadczyła Phyllis.

— Myślisz, że bardzo go to przygnębiło? — zapytała Sylvia.

— A skąd mam wiedzieć? — Phyllis usłyszała we własnym głosie irytację, którą tak często odczuwała przy Sylvii. — Nawet kiedy żył, nigdy nie było wiadomo, czy on coś czuje. Leżąc w szpitalu z obrzękiem płuc też się nie skarżył.

Minęły muszlę koncertową, pustą teraz, ale obwieszoną plakatami reklamującymi wieczorny koncert zespołu swingowego. Co tydzień deptak zapełniał się tańczącymi w rytm muzyki parami. Sylvia, którą mąż kilka lat temu opuścił po dwudziestu jeden latach małżeństwa, przychodziła tu regularnie. Siedząc na ławce przyglądała się tańczącym, mocno przyciskając do piersi swoją lakierowaną torbę. Niezależnie od tego, jak często zapraszała swą przyjaciółkę, Phyllis odmawiała. Sylvia zresztą jak gdyby nigdy tego nie zauważała, bo za każdym razem ponawiała swe namowy. Phyllis nie zgadzała się jednak na to, dlatego, że nie lubiła muzyki, może z wyjątkiem piątkowego wieczoru, kiedy plakat głosił, iż "The Mistletoes", zespół otwierający sezon, będzie grał świąteczne rozmaitości; zawsze uwielbiała muzykę, ostatnio jednak wywoływała u niej niepokój i smutek. Sywzię zdawało się zadowalać siedzenie na skraju parkietu tanecznego, dla Phyllis jednak myśl, że nigdy już nie zatańczy, była zbyt bolesna. Ludzie bawili się na deptaku, a po krótkiej chwili nie było ich już na tym świecie. Równie dobrze mogliby leżeć pod deptakiem, pochowani w piasku. Phyllis stłumiła westchnienie. Ira nigdy nie był dobrym tancerzem; zrezygnowała z tego już dawno temu. W zasadzie to śmieszne, by w jej wieku jeszcze się tym przejmować, ale w muzyce było coś, co przenikało ją do głębi i nie pozwalało siedzieć razem z Sywzię obojętnie i bez żalu.

— Przyjdiesz dzisiaj? — zapytała Sylvia, jak zwykle.

— Nie mogę — odparła Phyllis. — Jem dziś kolację w Buckingham Palace.

— Nie żartuj sobie ze mnie — powiedziała Sylvia, jednak w jej głosie było tyle wątpliwości, że Phyllis wiedziała, że może sobie na to pozwolić.

— Betty jest bardzo przygnębiona — ciągnęła Phyllis. — Wszystkie jej dzieci ją rozczarowały. Powiedziałam Betty, że od tego są dzieci. Musimy o tym dziś porozmawiać. Wiesz, mówi się, że Edward jest taki, jak mój Bruce. Powiedziałam Betty: Gadanie, po prostu pomóż mu znaleźć miłego chłopaka i założyć dom.

— Księżę Edward jest taki jak twój Bruce? — zapytała Sylvia ze zgrozą w głosie.

— Obudź się i powąchaj swoją nitroglicerynę — poradziła Phyllis przyjaciółce, która również miała kłopoty z sercem.

— Cóż za tragedia — szepnęła Sylvia — I to w takiej rodzinie...

— Zdarzyła się też w mojej rodzinie — prychnęła Phyllis. — A cóż my, gorsi? Nic w tym złego.

Zdaniem Phyllis było w tym mnóstwo niedobrego, , łącznie z tym, jak potoczyło się życie Susan i Sharon, ale nikt poza nią samą nie miał prawa im tego wytykać.

Gdyby Phyllis brała wypowiedzi Sylvi poważnie, poczułaby się obrażona. Szczęśliwie wiedziała jednak, że obrażać się o cokolwiek, co powiedziała Sylvia, byłoby śmieszne. Ta kobieta była silnie zbudowana, miała gołębie serce i umysł Kubusia Puchatka.

— Słyszałam, że królowa matka ma sztuczny odbyt — powiedziała Sylvia niskim głosem. — Jak mój Sid. — Przez dziesięć lat, zanim Sid ją zostawił, Sylvia musiała dawać sobie radę nie tylko z własną niewydolnością serca, ale też z rakiem okrężnicy Sida. — Wyobrażasz to sobie? Te wszystkie przyjęcia ogrodowe...

Phyllis zignorowała tę nie powiązaną z niczym uwagę. Któż mógł wiedzieć, jakimi drogami chodziły po głowie myśli Sylvi?

Dotarły do końca deptaku, gdzie Sylvia, jak zawsze, musiała dotknąć białego w nawierzchnię słupka, broniącego dostępu pojazdom.

— I cóż by się stało, gdybyśmy raz tylko doszły do końca, a ty nie dotknęłabyś tej barierki?

— Wszyscy ją dotykają — odparła Sylvia. — Powinno się dotknąć barierki.

— Wcale nie. Ja tego nie robię.

— Ty. Ty jesteś inna.

— No? Powiedz coś, czego bym nie wiedziała.

Phyllis westchnęła. Być inną nie stanowiło problemu. Problemem była samotność. Nie pamiętała, kiedy po raz pierwszy pojawiła się w jej życiu. Z pewnością jeszcze przed śmiercią Iry. Po pewnym czasie staje się częścią życia i nie zauważa się jej już wcale. I tu tkwi niebezpieczeństwo — samotność jest jak czad; jeśli nie zwrócisz w porę na niego uwagi, może cię zabić. Phyllis nie miała na Florydzie naprawdę dobrego przyjaciela, który by rozumiał ją i jej żarty. Nawet Ira na długo przed śmiercią przestał właściwie z nią rozmawiać. Ale cóż, rzadko kto rozmawia z mężem. Co można było powiedzieć po czterdziestu siedmiu latach? Czy wciąż lubisz przyrządzony przeze mnie mostek cielęcy?, Czy sądzisz, że muszę skrócić tę spódnice?, Czy powinniśmy wycofać nasze wojska z Bośni?

Phyllis wciąż miała wiele do powiedzenia, któż jednak chciałby jej słuchać? I kto miał jakąś interesującą odpowiedź? Dlatego też szła teraz deptakiem z Sylwią Katz. Sylvi było wprawdzie daleko do madame Curie, nie rozumiała połowy z tego, o czym mówiła Phyllis, ale przynajmniej nie miała za złe jej dowcipów.

Większość znanych Phyllis kobiet obrażała się na nią. Nie dało się ukryć, że miała niewyparzony język. Zawsze tak było. I zraziła do siebie większość kobiet, które tu spotkała, one zaś nudziły ją. Rozmawiały o przepisach, wnukach, zakupach i jeszcze innych mało interesujących sprawach. Nudziły ją śmiertelnie. Znajomość z Sylwią była ulgą. Żadnych dzieci, żadnych przepisów, żadnych nerwów.

Własne dzieci interesowały Phyllis, ale nie tak, by o nich paplać bez przerwy. Interesowały ją dlatego, że były zajmujące, a nie dlatego, że były jej. Susan była genialna, Bruce

niewiarygodnie dowcipny, a Sharon... Cóż, Sharon, musiała to przyznać, przypominała rodzinę ze strony swego ojca. Tak czy owak, kochała je. Co nie znaczyło jednak, że aprobowała ich postępowanie, ani że oni aprobowali ją.

— To znaczy, że będziesz z dziećmi na święta. To miłe dla ciebie. — W głosie Sylvii brzmiał smutek. — Miło dla nich. — Coś ją zastanowiło. — Czy oni wiedzą, że przyjeżdżasz? — zapytała.

Phyllis milczała.

— Nie powiedziałaś im, prawda? — pytała Sylvia oskarżycielsko.

— Jeszcze nie — przyznała Phyllis.

— Musisz to zrobić. Musisz. — powiedziała Sylvia. Jej własny syn ani nie przyjął jej zaproszenia na Święto Dziękczynienia ani nie zaprosił jej do siebie. — Jeśli ty im nie powiesz, ja to zrobię.

— Ani mi się waż — ostrzegła Phyllis.

— Kiedy zamierzasz im powiedzieć?

— Zobaczymy — odparła Phyllis, otwierając przed swą przyjaciółką furtkę do Pinehearst.

2

— Żartujesz.

— Chciałabyś.

— Przestań — powiedziała Sig Geronomous niefrasobliwie. — To tylko jedna z jej pogroźek. Jeden z tych pomyślonych pomysłów, które nam ogłasza, żebyśmy mieli czym się denerwować. Jak wtedy, kiedy korespondowała z jakąś Azjatką i chciała ją tu importować jako twoją narzeczoną.

— Ona naprawdę ma taki zamiar — odparł brat Sig, Bruce. — Todd, chodź tu i powiedz jej, że to prawda.

Bruce nie mieszkał z Toddem, ale spędzali razem wiele czasu. Ilekroć Sig pytała brata, czy to coś poważnego, zbywał ją żartem.

— Bruce ma dowód! — krzyknął Todd do słuchawki.

— Jaki?

— Oddała pani Katz swój rattanowy stojak na gazety — odparł Bruce.

— Stojak na gazety? O mój Boże!

Susan Geronomous — wśród przyjaciół i znajomych z pracy znana jako Sigourney — upuściła słuchawkę, która z takim łomotem uderzyła w kuchenny blat, że jej brat drgnął na drugim końcu linii.

— Co to było? Stało ci się coś?

— Chciałabym bardzo — Sigourney odzyskała panowanie nad telefonem, teraz próbowała odzyskać kontrolę nad sobą. To nie mogło się dziać naprawdę... Nie taki diabeł straszny... Miłe złego początki... — przerwała samej sobie. Chyba zaczynała tracić zmysły. To nie może być prawda. Boże Narodzenie i przyjazd jej matki miały nastąpić jednocześnie? Równie dobrze mogła już teraz wyjąć żyletki. Sig oceniała swoje przeguby rąk.

— Tak przypadkiem wspomniała, że oddała swój rattanowy stojak na gazety?

— Wiem, o czym myślisz — odparł Bruce. — To nie mama mi powiedziała. To nie spisek. Dzwoniła pani Katz.

— Kiedy?

— Dwadzieścia minut temu.

— Mama mogła kazać jej to zrobić.

— Dzwoniłem do zarządcy domu. Potwierdził. W tym tygodniu odbędzie się też sprzedaż garażu.

— Sprzedaż garażu? Na miłość boską, ona przecież nie ma garażu!

— Sprzedaż działki, sprzedaż trawnika, sprzedaż wyposażenia domu. Sigourney, nie baw się teraz w słówka. To się dzieje naprawdę. I co my teraz zrobimy?

Sigourney próbowała odzyskać kontrolę nad sytuacją.

— Co powiedziała pani Katz, kiedy z nią rozmawiałeś? Dokładnie. Słowo w słowo.

— Że mama wyjeżdża z Florydy na zawsze. Że się pakuje i przeprowadza do Nowego Jorku. Dzisiaj kupuje bilet. Chce przylecieć w środę.

— W środę! Od dzisiaj to tylko sześć dni!

— Uhm. Nieźle liczysz, Sig. Dlatego też zarabiasz wielkie pieniądze. Właściwie to pięć, ponieważ oficjalnie nie liczy się...

— Nie bądź wredny, Bruce. Daruj sobie w tej chwili te drwiny. Od środy będziemy ich mieć aż w nadmiarze.

Sigourney nerwowo postukała palcami w blat. Jej matka znówu tutaj, w Nowym Jorku. Wciąż dzwoniąca do niej, zaglądająca do jej szaf. Komentująca. Krytykująca. O Boże! Strach ścisnął jej klatkę piersiową jak gorset.

— To koniec naszego życia, wiesz o tym. Jak ją powstrzymać?

— Hmm — Bruce zamyślił się. Był sprytny, może więc znajdzie jakieś wyjście. — Co powiesz na ładunek wybuchowy w luku bagażowym? Zniszczymy wiele istnień ludzkich, ale wiemy, że to niezbyt wygórowana cena.

— Bruce!

— Daj spokój, Sig. To byłby akt dobroci. Ludzie uwielbiają tragedie w święta. Mają co oglądać w telewizji. Pomaga im to zapomnieć o własnych kłopotach.

— Amen, bracie! — krzyknął z głębi mieszkania Todd.

Todd wychował się u baptystów w Tulsie w Oklahomie, skąd uciekł do Nowego Jorku, by zostać agnastykiem i fotografem.

— Bruce! — Sigourney opanowała się z trudem, patrząc jednocześnie w nieskazitelnie błękitny sufit swej kuchni, która kosztowała ją siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Ten doskonały dom, tak pięknie urządony, luksusowy, wygodny, był jej bezpieczną przystanią. Napawał otuchą jak nic na świecie. Odetchnęła głęboko. Nagle jej wzrok odkrył cieniutką linię. Czyżby to była rysa tam, w rogu? Czy lakier pękł, pomimo zapewnień Duarto, że czternaście ręcznie kładzionych warstw przetrwa dziesięć pokoleń? Wzięła ołówek i zanotowała na karteczce, że ma do niego zadzwonić. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, co robi. Ta wiadomość... Przecież otrzymała tak przerażającą wiadomość, a ona pisze notatki do swojego dekoratora? A gdzie jej hierarchia wartości, jej priorytety? To mogło być tylko podświadome odrzucenie strasznego faktu. Powinna się skoncentrować.

— Rozmawiałeś już z Sharon? — zapytała swego brata.

— Tracisz czas. Nie zawracam sobie głowy dzwonieniem do niej z dobrymi nowinami — co nie znaczy, że miałem jakieś w ostatnich czasach.

Bruce, z drugiej strony linii, obrzucił spojrzeniem swe skromne mieszkanie. Dwa pokoje, choć czyste i przytulne, zapchane były nie tylko osobistymi dobrami doczesnymi, ale też resztkami tego, co pozostało z jego firmy — stosami dowcipnych kart pocztowych dla gejów, które tworzył i sprzedawał do chwili, gdy w zeszłym roku jego partner zniknął z większością ich dorobku. Sezon okazał się gorszy, niż Bruce przypuszczał. Właściwie dopiero się zaczął, ale towar zaczynał już wracać ze sklepów. Wstawione pocztówki z Mikołajem nie sprzedawały się tak, jak tego oczekiwano. Bruce westchnął. Głos Sig docierał do niego z trudem. Uwielbiał swą starszą siostrę, ale czasami stawała się zbyt apodyktyczna, zwłaszcza kiedy była przerażona. Przerwał jej.

— Sig, gdybym zadzwonił do Sharon, czego nie zrobiłem, usłyszałbym, że z nas wszystkich dla niej skończy się to najgorzej, że ona zawsze ma najtrudniejszą sytuację — Bruce westchnął znówu, tym razem otwarcie. — Wiem, że to syndrom średniego dziecka, ale można by się spodziewać, że w wieku trzydziestu siedmiu lat powinno jej to minąć.

Sharon była ich rozczarowaną życiem i doprowadzającą do rozczarowań siostrą; cztery lata młodsza od Sig i tylko o rok starsza od Bruce'a, wyglądała jednak na dwa razy starszą od niego. Zaniedbała się i nie dotyczyło to tylko jej nadwagi; posiwiałe włosy ułożone były w sposób modny dziesięć lat temu, a ubrania od Talbota w rozmiarze szesnastym nie wyglądałyby dobrze nawet na najchudszej kobiecie służącej w Żeńskiej Pomocniczej Służbie Lotniczej w czasach

drugiej wojny światowej. Najgorsze jednak wrażenie sprawiały, opadające w równoległych liniach, przypominających kształt dzwonów, kąci jej oczu, ust i ramion.

— Musimy zadzwonić do Sharon — oświadczyła Sigourney, ignorując swego brata. — To za dużo jak na nas dwoje.

— No cóż, ona jest obszerniejsza niż my oboje — roześmiał się Bruce. — Choć nie przyda się na nic.

Sigourney wiedziała o tym. Bruce nie miał cierpliwości do Sharon, Sig było jednak żal tłustej, płaczącej, sfrustrowanej młodszej siostry. Może dlatego, że Sharri wywoływała u niej poczucie winy. A może dlatego, że sama Sig odnosiła takie sukcesy. Niezależnie od przyczyny, nie miała teraz czasu na wysłuchiwanie zwykłych docinków Bruce'a.

— Ja do niej zadzwonię — powiedziała. — Możemy się spotkać w sobotę u mnie? O jedenastej wydaję mały przedgwiazdkowy lunch dla ważnych klientów z pierwszej listy. Na niedzielę zaprosiłam resztę z drugiej listy, ale o trzeciej w sobotę będę wolna.

— Nie wysyłaj się — powiedział Bruce złośliwie — Mamy więc być trzecią listą?

Sig wiedziała, że prawdopodobnie poczuł się urażony, ponieważ nie zaprosiła jego ani Todda na żaden lunch. Bruce nie wiedział, jak bardzo jej własny interes ostatnio podupadał, a Sig była zbyt dumna, by mu o tym powiedzieć. Czowała się też zażenowana małymi oszczędnościami, które musiała przedsięwziąć, jak na przykład wynajęcie firmy dostarczającej potrawy na jedno przyjęcie i podzielenie tego na dwa razy. Ale to już nie były lata osiemdziesiąte i nie mogła sobie pozwolić na wygłupy Bruce'a i Todda, zrażające jej klientów

— Dobrze, przyjdę — zgodził się w końcu Bruce. — Ale i tak nic nie wymyślimy. — Zaczął recytować śpiewnym głosem:

Na górze róże

Na dole muszelka

Jeśli myślisz, że ją powstrzymasz

Mądrość twa niewielka.

— Nic dziwnego, że twoje kartki okolicznościowe nie idą jak woda — powiedziała tylko Sig. — Rozłączam się i dzwonię do Sharon.

— Dobrze, tylko nie pozwól, by przyszedł Barney — jęknął prosząco pokonany Bruce.

Barney był nie tylko nieudanym mężem Sharon, lecz jednocześnie ograniczonym zarozumiałcem. Był wielki, okrągły jak baryłka i łysiejący. Jednak dla Sig i Bruce'a najbardziej nie do zniesienia był fakt, że potrafił utracić każdą pracę, jaką w ogóle udało mu się zdobyć utrzymując jednocześnie Sharon w przekonaniu, że to ona jest nieudacznikiem. Barney był tym typem człowieka, który na przyjęciu objaśnia kardiochirurgom nowe techniki operacji, o których wyczytał w Reader's Digest. Krótko mówiąc, był głupkiem.

Teraz z kolei westchnęła Sig.

— Spróbuję umówić się tylko z nią, chociaż Sharon ostatnio nie prowadzi. Miewa te napady paniki przed przejechaniem przez most.

— Och, przestań. Ona udaje chorobliwy lęk przestrzeni. Jest po prostu zbyt leniwa, by prowadzić w mieście. Prawdopodobnie usiłuje uzyskać pozwolenie na parkowanie w miejscach dla inwalidów. Totalny fałsz.

— Bruce! To nieprawda.

— Och, Sig, Sig, Sig, Sig. Czasami życie należy trochę upiększyć.

— Mój Boże! Powiedziałaś to dokładnie tak jak matka.

— Nieprawda.

— Prawda.

— Zaczęło się — zaśpiewał Bruce.

Sig ugryzła się w język, by nie dodać, że to jego wina.

— Masz rację — przyznała. — Okay. W sobotę o trzeciej. A teraz dzwonię do Sharon.

— Do zobaczenia! Nie chciałbym być tobą! — tym razem Bruce jodłował. Sig pokręciła tylko głową i odłożyła słuchawkę.

Sig stała przez parę chwil w milczeniu na środku swego doskonałego salonu. Wiedziała, że nie powinna tego robić; nie oparła się też chęci wejścia do swej rozkosznej sypialni. Rozejrzała się po pokoju i jego uroczym urządzeniu. Będzie musiała sprzedać to mieszkanie, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Utrzymanie go przekraczało obecne możliwości Sig, a prezes spółdzielni zaczął ją coraz częściej obrzucać nieprzychylnym spojrzeniem, gdy wpadała na niego na klatce schodowej.

Lista klientów skurczyła się, zleceń było coraz mniej, a jej własne akcje spadały coraz niżej. Witamy w latach dziewięćdziesiątych! Sig robiła, co mogła, by obniżyć swoje wydatki — od miesięcy nie używała kart kredytowych, płaciła w terminie rachunki za telefon, kupowała tylko rzeczy niezbędne. Ale to nie wystarczało. Interesy szły opornie i nawet gdyby sprzedała całą ofertę, i tak poniosłaby stratę i została bez żadnego zabezpieczenia na przyszłość. Musiała sprzedać mieszkanie.

Mieszkanie to było jednak dla niej czymś więcej niż tylko inwestycją: było jej bezpieczną przystanią. Możliwe, że odbierała to tak dlatego, że jej matka nigdy nie stworzyła im domu. Jak to często powtarzała: Byłabym szczęśliwa żyjąc na walizce w jakimś czystym motelu. Sama myśl o tym przyprawiała Sig o irytację. Poza tym mieszkanie stanowiło widoczny dowód jej sukcesu, było miejscem, do którego, po ciężkim dniu ryzykownej gry cudzymi pieniędzmi, chowała się, by odzyskać spokój. Było takie piękne. Idealne. Musi pogodzić się z faktem, że trzeba będzie je opróżnić i sprzedać. Pieniądze wyparują szybciej niż dobre perfumy z otwartego flakonu, a ona zostanie bez środków do życia. Albo jeszcze gorzej: skończy w apartamencie w Forcie Lee w New Jersey.

Spojrzała w lustro wiedząc, że zmiany w jej życiu są nieuniknione. Nie spodobało jej się to, co zobaczyła. Czyżby Bruce miał rację? Była nie tylko coraz starsza, ale też i bardziej zgorzkniała. Czy tu, w kąci ust, pojawiły się nowe kreseczki? Przyjrzała się dokładniej swemu odbiciu. I nagle jej wzrok padł na odbicie w bocznym skrzydle trzyczęściowego lustra. Przez moment ta miękka linia jej podbródka przypominała jej... co takiego? Jej skóra marszczyła się i wędła, a uroda przemijała. Jak wszystko na tym świecie. Sig zadrżała. Ale to nie jej wiek przyprawił ją o dreszcze, w swoim odbiciu zobaczyła... własną matkę.

Sig poruszyła głową, ale wrażenie, czy to pod wpływem światła, czy kąta odbicia, znikło. Jezu, jej życie będzie do końca samotne. Nawet nie będzie miała pociechy w trójce dzieci, które mogłaby drażnić i które by ją drażniłyby. Do oczu napłynęły jej łzy żalu nad sobą, ogarnął ją jakiś głęboki smutek. Myśl o Phillipie Normanie przygnębiła ją do reszty. Nie był ideałem, to wiedziała na pewno, ale był przystojny i robił niezłą karierę; można tak powiedzieć o prawniku dużej firmy, a ciepło, które miał w sobie, łagodziło nieco jej chłód. To miłe, gdy ktoś cię potrzebuje, a Phillip zdawał się chcieć małżeństwa z nią, a nawet dziecka. Powinna przynajmniej pójść na kompromis i zapomnieć o pragnieniu, by w przyjacielu, partnerze, mieć bratnią duszę. Zaczynała bowiem dopuszczać myśl, że Phillip był nawet mniej niż przyjacielem, był tylko pustym garniturem. Wspomnienie o nim i wszystkich innych jemu podobnych, a także o łobuzach, którzy go poprzedzali, sprawiła, że jej usta zadrżały. Wyglądała okropnie, a czuła się jeszcze gorzej.

I gdyby to była prawda, że nie próbowała znaleźć kogoś, kogo mogłaby poślubić, z kim można by założyć dom, nawet rodzinę, jeśli nie było na to za późno... Jej matka zachowywała się w ten sam sposób, jak gdyby to Sig tego nie chciała. Prawda jednak była taka, że nie było żadnych zainteresowanych. Pomimo jej widocznych sukcesów zawodowych, świetnej fryzury, starannego makijażu, ubrań od Armaniego — a może właśnie dlatego? Sig nie pamiętała, kiedy ostatnio jakiś mężczyzna okazał jej zainteresowanie. Zdaje się, że nie miała innego wyboru poza Phillipem. Och, mogła oczywiście mieć romans z którymkolwiek z bardziej atrakcyjnych, lecz całkowicie żonatych mężczyzn, z którymi pracowała, ale nie była typem Glenn Close z Fatalnego Zauroczenia. Nie kradła cudzych mężów. A który to z innych spojrzał na nią ostatnio?

Dostawca z Gristede? Windziarz? Kobiety po trzydziestce piątce stają się niewidoczne. Traciła szanse z każdym dniem.

Wzięła do ręki szminkę, chcąc dodać nieco koloru swym wargom, lecz zatrzymała się w połowie gestu. Po cóż się starać, pomyślała. Po co mam je malować. Wszystko stracone. Kwiat młodości, obietnica płodności, przyciągająca mężczyzn, która nawet na pewnym poziomie podświadomości przyrzekała im potomstwo — wszystko znikło. Może mężczyźni w jej wieku pragnęli kobiety młodszej nie tylko dla jej wyglądu, ale i dla hormonalnego przesłania: możliwość udowodnienia światu ich męskości przez rosnący, wielki brzuch, noszący ich dziecko. Sig miała wciąż regularne miesiączki, ale jak długo to jeszcze potrwa? Nie była już podlotkiem. Jej młodość przeminęła i starzeć się będzie samotnie.

Spojrzała ponownie w lustro. Czy pod kruchą skorupką nieczułości jej matki nie czaiła się rozpacz? Czy nie było tam uczuć, które zdawały się mówić Sig, że lepiej przekwitać walcząc, być klótniwą i denerwującą, niż kiedykolwiek zostać posadzoną o dostojność i samotność?

Sig rozejrzała się ponownie po sypialni, po czym podniosła się i przeszła przez wszystkie swe idealnie urządzone pokoje. Wylądowała, jak zwykle, w kuchni. Jej wzrok natychmiast skupił się na delikatnej rysie na lakierze. Czy się powiększyła? A może powinna była wydawać pieniądze na wygładzanie własnych zmarszczek, lakierowanie siebie samej? Może gdyby straciła jeszcze parę kilogramów, poświęciła więcej czasu na ćwiczenia i staranniejszy makijaż oczu mogłaby zainteresować sobą kogoś miłszego i bardziej znośnego, bardziej ludzkiego niż Phillip Norman. Może tak, a może nie. Sięgnęła ręką i otworzyła zamrażarkę, wyjmując półkilogramowe opakowanie mrożonego czekoladowego mleka Dutch o niskiej zawartości tłuszczu. Usiadła na podłodze i zaczęła łyżką opróżniać pudełko. Rzadko pozwalała sobie na takie zachowanie, ale słodycz w ustach pozwalała zachować równowagę. Zrozumiała, w jaki sposób jej siostra osiągnęła wagę ponad dziewięćdziesięciu kilogramów. Pomyślawszy o Sharon, przypomniała sobie, że nie zadzwoniła do niej. Cóż, zrobi to później. Jak skończy jeść.

3

— Phyllis Geronomous. Bilet do Nowego Jorku — oznajmiła. — W jedną stronę. Na czwartego grudnia.

— Czy robiła pani jakieś rezerwacje?

— Mnóstwo, ale wyjeżdżam i tak.

Kobieta za biurkiem nie odpowiedziała na żarcik Phyllis i nawet nie podniosła głowy znad komputera. Phyllis wzruszyła ramionami. Znała ten typ ludzi. Dla nich starsze osoby były zwykle niewidzialne.

Znajdowały się w niewielkim, niezbyt czystym biurze podróży. Biurka ustawiono przodem do siebie, a na środku pomieszczenia wciśnięto niewielką, białą choinkę, obwieszoną małymi różowymi bombkami. Agencję tę polecił jej zięć, a to musiała być właścicielka. Barney powiedział, że ta kobieta załatwi jej zniżkę, ponieważ jest mu to winna. Phyllis wolała nie myśleć, co też ta irytująca osoba może zawdzięczać Barney'owi, ale gdzieś musiała kupić bilet. Urzędniczka spojrzała na nią po raz pierwszy, jakby miała wrażenie, że powinna coś wiedzieć, ale nie była pewna, co.

— A więc... leci pani do Nowego Jorku?

— Na to wygląda. — Phyllis posłała jej rozkoszny uśmiech. Jediną korzyścią zostania starszą damą było to, że jeśli się uśmiechała, mogło jej ujść płazem nawet morderstwo.

Kobieta za biurkiem sprawdziła coś w komputerze, po czym jej usta ściągnęły się w ryjek.

— Powinna pani była zaplanować to wcześniej. Wie pani, że bilet w jedną stronę kosztuje tyle samo, co powrotny? — mówiła podniesionym, protekcyjnym tonem, tak jakby Phyllis była zarówno ograniczona, jak i przygłucha. — Mamy teraz szczyt sezonu świątecznego. Nie zmieści się pani już w czternasto— ani dwudziestojednodniowej przedsprzedaży biletów.

Powiedz coś, czego jeszcze nie wiem, pomyślała Phyllis, podczas gdy agentka mówiła dalej. A gdzie ta pomoc i zniżka w cenie, o której wspominał Barney? Typowe. Barney Długi Ozór. Phyllis z całą pewnością nie zamierzała prosić tej kobiety o żadną przysługę.

— Tak czy owak — ciągnęła kobieta — nie chce pani biletu powrotnego? Kiedy zamierza pani wrócić?

— Nigdy nie wrócę! — odparła porywczo Phyllis. — Przeprowadziłam się tu tylko dlatego, że Ira tego chciał. Ale on nie żyje, więc po co mam tu zostawać?

Natychmiast zdała sobie sprawę, że powiedziała za dużo. Boże, niedługo będzie opowiadać obcym ludziom w autobusie całą historię swojego życia. Odczuła to jak upokarzający objaw swej samotności, jak zdrowy kopniak prosto w jej dumę. Nabrała powietrza. Będzie walczyć jedyną bronią, jakiej kiedykolwiek używała — językiem.

— Któż chce żyć w miejscu, gdzie każdy mówi, ale wszyscy są tak głusi, że nie słyszą? Nikt się tu nie rodzi, tu ludzie tylko umierają. Och! Tu nikt nie ma korzeni, poza drzewami namorzynu. Nienawidzę Florydy!

— Ja urodziłam się w Gainesville — odparła młoda kobieta. — Lubię Florydę. Zwłaszcza Miami.

Phyllis skrzyżowała ręce na piersi.

— Jak może pani lubić miasto, w którym miejscowy zespół rockowy nazywa się Martwi Turyści z Niemiec? — zapytała.

Kobieta zaczęła się wycofywać.

— Cóż, przemoc na pewno szkodzi moim interesom... — zaczęła.

— Z pewnością szkodzi również niemieckim turystom — stwierdziła Phyllis. — Jednak tych, którym udaje się przeżyć, jest dość, by wywołać mordercze instynkty u każdego. A ci emeryci! — Phyllis wzniosła oczy ku górze. — Nie lubiłam tych ludzi w Nowym Jorku, gdzie byli zarozumiali i natrętni. Dlaczego, u diabła, miałabym lubić ich tutaj, gdzie tylko włączą się bez celu, w dalszym ciągu natrętni? To ponad moje siły.

— Floryda jest dobrym miejscem na emeryturę. Klimat jest świetny i -

— Nazywa pani dziewięćdziesięć dziewięć procentową wilgotność świetnym klimatem? — prychnęła Phyllis. — W porównaniu z czym? Z Dżakartą? Powinna pani zobaczyć hodowlę grzyba na moim zimowym płaszczu! I jeszcze jedno: kto powiedział, że ludzie w tym samym wieku powinni mieszkać w tym samym miejscu? Nie chcę być nawet w ich pobliżu. To wiekowe getto. To miejsce nie jest boską poczekalnią, to przedsionek piekła. To cmentarzysko słoni. — Phyllis wyprostowała się. — Ja słoniem nie jestem. Jestem nowojorczykiem.

Urzędniczka spojrzała na nią zimno.

— Nowy Jork to niebezpieczne miejsce, zwłaszcza dla samotnej starszej pani. — Teraz zachowywała się, jakby Phyllis była lekko stukniętą, trzęsącą się staruszką.

— Chce pani powiedzieć, że jestem za stara?

— Och... nie — wiedźma uniosła brwi — z całą pewnością nie — powiedziała ze szczerością pielęgniarki obiecującej, że zabieg nie będzie bolał ani trochę.

Dlaczego wszyscy ludzie poniżej pięćdziesiątki myślą, że wolno im rozmawiać ze starszą kobietą tak, jakby była niespełna rozumu? — zastanawiała się Phyllis. W takich sytuacjach stawała się jeszcze bardziej kłótniwa niż zwykle.

— Niech pani posłucha, proszę mi po prostu zarezerwować bilet. W pierwszej klasie. Wystarczającą ilość niedorzecznych porad otrzymam od moich dzieci.

Czekając na wydruk biletu Phyllis znalazła niejaki pocieszenie w myśli, że ta kobieta też pewnego dnia będzie po menopauzie. Za czterdzieści pięć lat będzie wyskubywać włoski z tego jej cofniętego podbródka — jeśli jeszcze będzie mogła go dojrzeć i będzie miała w tym stopniu skoordynowane ruchy, by utrzymać w rękę pęsetę.

— Och, — zagruchała kobieta podając Phyllis jej bilet — Ma pani tam dzieci. To co innego. Cóż, jestem pewna, że się ucieszą na pani widok.

— Moja najstarsza córka jest bardzo zdolnym maklerem. Ma fantastyczne mieszkanie przy Central Parku. A najmłodszy syn jest przedsiębiorcą. — Phyllis zawahała się. Nie mogła przecież pominąć Sharon. — Moja średnia córka ma dwójkę wspaniałych dzieci.

— U którego z nich chce się pani zatrzymać? — zapytała właścicielka agencji.

— Och, jestem pewna, że będą się o to kłócić — odparła Phyllis — jak tylko się dowiedzą, że przyjeżdżam.

— A nie wiedzą?

Phyllis potrząsnęła głową.

— Zaskoczenie jest podstawową zasadą sztuki wojennej — pani Katz zachichotała za plecami Phyllis. Starsza pani odwróciła głowę.

— Sylvia! Czy ty...

— Weźmie to pani? — przerwała jej niegrzecznie kobieta za biurkiem.

Phyllis wyrwała jej bilet z ręki i ponownie potrząsnęła głową.

— Oczywiście. Mogłaby pani zadać sobie trochę trudu i okazać nieco szacunku starszym. Osteoporoza jest wpisana także i w pani przyszłość, wie pani?

Phyllis wstała z krzesła i odwróciwszy się, wyszła.

4

Kto odbierze mamę z lotniska w tę środę? — zapytała Sharon.

Trójka rodzeństwa zebrała się u swej najstarszej siostry. Jak dotąd najczęściej mówiła Sharon. Była kobietą o dużych rozmiarach i drobnych, wręcz nienaturalnie małych dłoniach i stopach. Jej nerwowo rozbiegane oczy, wciśnięte w nalane policzki, miały ten sam ciemnobrązowy kolor, co nie posiwiałe jeszcze partie jej włosów. Zatrzymała im życie tym pytaniem od ponad dwóch godzin.

Sig westchnęła. Musiała wtłoczyć mnóstwo zajęć pomiędzy chwilę obecną a feralną środę. Powinna przygotować się na spotkanie marketingowe, dokończyć czytanie najnowszego biuletynu, rozpocząć zakupy świąteczne przy praktycznie nie istniejącym budżecie, wysłać świąteczne kartki do klientów, a teraz jeszcze poradzić sobie z przyjazdem matki. Zawsze muszę robić wszystko sama, pomyślała, łącznie z organizowaniem spotkań, zajmowaniem się finansami matki i regularnym pożyczaniem pieniędzy rodzeństwu. Kiedyś trzeba położyć temu kres. Czekala. Wiedziała, że Sharon, jak sama natura, nie znosiła próżni. Przerwie tę ciszę, a kiedy to zrobi...

— Ja tego nie zrobię — powiedziała Sharon, przełamując milczenie. Jej głos brzmiał pewnie, choć drżał jej podbródek. — Ja nie — powtórzyła. Pewność znikła, zaczęło się skamlenie. Sharon była ekspertem od jęków. Sig czekała dalej. Używała tego sposobu, gdy finalizowała większą transakcję.

— Przecież wy macie dużo bliżej — stwierdziła Sharon, niespokojnie wyczekując ich reakcji. Nie było żadnej, jeśli nie liczyć jęku Bruce'a, który zaciągnął się papierosem. — Poza tym ja nie mogę prowadzić samochodu — powiedziała Sharon tonem małego dziecka. Sig zrobiło się jej żal. — Niech Bruce ją odbierze.

Bruce prychnął. Jego twarz przybrała zielonkawy odcień, pomyślała Sig zirytowana, ale nie powstrzymuje go to od palenia. Jedno je, drugie pali. No i dobrze.

Zanim Bruce zdążył zareagować, Sig odparła.

— Bruce mówi, że nie może. Ma spotkanie z jakimś potencjalnym partnerem. — Miewał je ciągle i nigdy nic z tego nie wynikało, ale... — Po prostu wyśle po nią samochód — powiedziała ze znużeniem w głosie.

— Nie możesz tego zrobić! Mama będzie o tym opowiadać przez następne dziesięć lat.

— Posłuchaj, Sharon, ja nie mogę pojechać, Sig też nie, ty nie chcesz. Co więc proponujesz? — zapytał Bruce złośliwym tonem.

Sharon zignorowała brata.

— Sig, ona za nic nie wsiądzie do limuzyny. Wiesz, jaka jest Mama, jeśli chodzi o pieniądze. Będzie próbowała wepchnąć cały swój kram do autobusu i dostanie przy tym zawału. A wtedy wszyscy będziemy musieli ją pielęgnować.

Nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której cała trójka wyobraziła sobie tę możliwość.

— Masz rację. Musimy jechać wszyscy — postanowiła Sig. Czula się niedobrze. Przyjęcie nie było zbyt udane, a później doznała wstrząsu, gdy Phillip...

— No, to ustalone. Teraz powiedzcie, co my z nią zrobimy, gdy już ją odbierzemy? — zapytał Bruce. Zgniół niedopałek w cennej, kryształowej popielnicy i zapalił następnego papierosa.

— Mam pomysł. — Sharon spojrzała na nich z sofy, która zapadała się pod jej ciężarem. W jej oczach czaiło się przerażenie, lecz uśmiechnęła się do rodzeństwa z nadzieją. Bruce, opadłszy bezwładnie na krzesło, wciąż dochodził do siebie po szaleństwie piątkowej nocy. Do owej przesady popchnęły go niewesołe myśli o nadchodzących świętach, zbyt małych zamówieniach, a także złowieszczą wiadomość o przyjeździe matki.

Przybita tym wszystkim Sig wstała i zaczęła krzątać się po pokoju, zbierając niewidoczne pyłki z dywanu, przesuwając udekorowane świece i przecierając umyte już po gościach naczynia. Musiała utrzymać tu porządek dla następnej partii klientów. Żadne z rodzeństwa nie spojrzało na Sharon, w końcu jednak Sig — bez zainteresowania w głosie — zapytała:

— No?

— Mamo, czy mogę dostać soku? — przerwała im Jessie, pocierając policzek o białą kaszmirową narzutę Sig. Pomimo prośby siostry, Sharon przyprowadziła ze sobą Barney'a i córkę, chociaż ten pierwszy wcale nie zajmował się tą ostatnią, jak to obiecywała Sharon.

— Pomysł jest taki — oznajmiła ich pulchna siostra, ignorując prośbę nieustępliwej córki — umieścimy mamę w jakimś Domu Szczęśliwej Jesieni.

— O, tak. Cudownie — powiedział Bruce z odrazą.

— Sharon, żaden dom jej nie przyjmie. Nie jest psychicznie chora — mówiła Sig — ani niepełnosprawna...

— ...może tylko emocjonalnie — zgodził się Bruce — Tak czy inaczej, nie przyjmą jej nigdzie. Rozpoczęłyby strajk głodowy. Jak w The Big House. Matczyzna wersja Wallace Berry'ego. Wykopałaby tunel swoją sztuczną szczęką i uciekła.

Zapadła cisza.

— Moglibyśmy im powiedzieć, że jest psychicznie nieźrównoważona — podsunęła Sharon.

— O! To mogłoby się udać — powiedział Bruce, mrużąc oczy za ledwie do wąskich szparek. — Moglibyśmy ją oddać do jakiegoś dobrze strzeżonego domu dla obłąkanych i powiedzieć, że ma demencję starczą.

— Ona zawsze była stuknięta, Bruce. To nie ma nic wspólnego z jej wiekiem — przypomniała mu Sig. — Wie, jaki mamy dzień tygodnia i kto jest prezydentem. — Sig zaśmiała się gorzko. — Jeśli ją o to zapytają, przez kwadrans będą wysłuchiwać jej przemówienia!

— Mamo, czy mogę dostać soku? — zapytała Jessie ponownie.

— Barney, możesz dać Jessie pić? — wrzasnęła Sharon.

Bruce i Sig drgnęli, krzywiąc się boleśnie. Barney umieścił swój wielki brzuch w kuchni i niszcząc systematycznie pozostałe z przyjęcia resztki, oglądał teleturniej. Bruce ujął swoją głowę w obie ręce, Sharon jednak nie zauważyła tego. Nie ruszając się z sofy i nie ścisząc głosu, ostrzegła córkę dzieciennym głosem:

— Jessie, bądź cierpliwa, inaczej będziesz musiała stać w kącie.

Jessie spuściła głowę, po czym ukryła się za jedwabnymi zasłonami Sig (osiemdziesiąt dolarów za metr), zabierając ze sobą narzutę.

— A jeśli powiemy, że ma urojenia? — Sharon desperacko wracała do tematu. — Możemy powiedzieć, że nie jest naszą matką, tylko tak myśli.

Bruce po raz pierwszy usiadł prosto i otworzył szerzej oczy.

— No, Sharon, jestem z ciebie dumny. Cóż za przebiegły pomysł. To mi się podoba — przerwał na moment. — Jak w Gaslight. Mama jako mała, żydowska Ingrid Bergman, a my wszyscy jako Charles Boyer: „Ależ ciociu Phyllis, wiesz przecież, że nie masz żadnych dzieci”. A potem będziemy chować jej kapelusz w garderobie.

— Mam nadzieję, że dobrze się bawisz — powiedziała Sig. — Ale mama nie ma kapelusza, ty nie masz garderoby, a nasz koszmar zacznie się za trzy dni. Nie nabijaj się z Sharon, Bruce. — Tu zwróciła się do młodszej siostry — Sharri, żaden z tych domów nie przyjmie mamy, a gdyby nawet, to jej na to nie stać. Mnie na to nie stać. Wiesz, ile liczy sobie taki DeWitt? Dwadzieścia tysięcy miesięcznie!

— Nie musi przecież być na Wschodniej Siedemdziesiątej Dziewiątej — rzekł Barney, przynosząc w końcu sok. Jego nagi brzuch wystawał spod koszulki. Pomimo opasłości stale krytykował tuszę Sharon. — Nie potrzebuje aż takich ceregieli. Nie jest żadną pieprzoną księżną.

— Zamknij się, Barney— powiedzieli równocześnie Sig i Bruce.

— Wsadźcie ją do jakiegoś szpitala — ciągnął Barney, podając Jessie pełną szklanekę. Do zakładu dla obłąkanych. Tam jej miejsce. Jest wariatką.

— Ona nie jest wariatką, Barney. — Sig mówiła powoli i wyraźnie, jakby kierowała swe słowa do czterolatka. — Nie jest obłąkana. Jest wrogo usposobiona. Do ciebie. W tym tkwi różnica.

— Mów, co chcesz, ja twierdzę, że to wariatka.

Bruce uniósł brwi, patrząc na swego szwagra, po czym przeniósł wzrok na Sharon.

— Może tym razem to Barney powinien pójść do kąta? — powiedział dziecinnym głosem. Barney bez słowa odwrócił się i wyszedł do kuchni. — No, tak lepiej.— westchnął Bruce. — Teraz mogę skonać w pokoju.

— Bruce, przestań. Czy ty masz jakiś pomysł? — zapytała Sig, obserwując nerwowo Jessie i jej sok. Czy siostrzenica wywierciła już palcem dziurę w kaszmirze? I dlaczego ona sama martwi się o rzeczy materialne, kiedy całe jej życie miało wkrótce lec w gruzach?

— No cóż, myślałem o tym. Mama jest swego rodzaju anty-mamą — tu znowu zrobił pauzę. — Co robić, co robić? Może moglibyśmy pomalować ją sprayem na złoto i sprzedać na pchlim targu na Dwudziestej Szóstej ulicy jako stojącą lampę? Jest bardzo w stylu lat pięćdziesiątych.

— Czy ty nigdy nie spowazniejesz? — prychnęła Sig. Bruce nie był głupi, tylko wiecznie błaznował. Żartował nawet kiedy stanął u progu bankructwa. Sig szukała sposobu, by skoncentrować jego uwagę. — Pani Katz do mnie też dzwoniła. Mama, zdaje się, powiedziała jej, że chce się zatrzymać w Chelsea.

— O mój Boże! — wykrzyknął Bruce, niemal upuszczając papierosa. — To tylko trzy ulice od mojego domu!

— Czy to nie tam Sid Vicious i te wszystkie gwiazdy rocka zmarli z przedawkowania? — zapytała Sharon.

— Mogłoby się i nam takie szczęście przytrafić.

Sigourney zignorowała ich oboje. Musiała sobie poradzić ze wszystkim naraz: z przyjazdem matki, świętami i rozpadem związku z Phillipem.

— Czy możecie skończyć z tymi wygłupami i histerią? Spróbujcie choć na chwilę się skupić!

Bruce spojrział na swą starszą siostrę przekrwionymi oczami.

— Wyłącznie, jeśli ty przestaniesz nam rozkazywać! — złapał się za obolałą głowę. — Wiesz, gdy tylko mama się tu zjawi, zacznie znów nazywać cię Susan, a ty nic nie będziesz mogła zrobić. Będzie wołać na ciebie Susan w obecności tych twoich “przekąskowych” i “kontraktowych” znajomych. A po posiłkach będzie chodzić za tobą do łazienki, by upewnić się, czy nie wymiotujesz. Osiągniesz w mig wagę osiemdziesięciu kilogramów i będziesz wyglądać jak balon.

— Z za zasłony rozległ się głos Jessie; pluła sokiem pomarańczowym na dywan i zasłony. — Ojej! W tym coś pływa!

— Tak, kochanie. To się nazywa miąższ. To cząstki pomarańczy — wyjaśniła pogodnie Sharon.

— To sok ze świeżych pomarańczy — powiedziała przez zaciśnięte zęby Sig, usiłując nie dostać apopleksji. — Barney, możesz przynieść papierowe ręczniki i wodę? — zawołała, starając się nie podnosić głosu. — Wytrę ci buzię i zabiorę ten sok.— zwróciła się do siostrzenicy.

Jessie zaczęła płakać. Po chwili, ku powszechnemu zdumieniu, rozpląkała się również jej matka. Brat i siostra spojrzeli najpierw na Sharon, a później na siebie. Sig uniosła brwi w zrozumiałym dla wszystkich geście „Co się stało?”, a Bruce odpowiedział jej wzruszeniem ramion, oznaczającym „Kto wie?”. Nawet Jessie przestała płakać i spojrzała na matkę. Sig zapomniała o plamach i szybko usiadła na kanapie obok Sharon.

— O co chodzi, Sharri?

— Ja wiem, że wy chcecie, żeby mama zamieszkała u nas. O to w tym wszystkim chodzi. Wiem o tym. Ale to niemożliwe. Po prostu niemożliwe! — szlochała Sharon.— Nie mamy gdzie jej ulokować. Nie mamy samochodu, którym mogłaby jeździć. Barney używa wolnego pokoju jako gabinetu, przynajmniej dopóki nie znajdzie pracy, zresztą tak i tak, to po prostu byłoby ponad moje siły.

Sharon łkała dalej, używając kaszmirowej narzuty Sig do wycierania oczu.

— Wiem, że próbujecie mnie do tego zmusić, ale nie zrobię tego. Po prostu nie mogę. Nie mogę pozwolić jej mieszkać z Jessie i Travisem — zawodziła, szukając w swej przepastnej torbie inhalatora. Zawsze, kiedy się denerwowała, sięgała po leki na astmę. — Ostatnio, gdy u nas była, musieliśmy po jej wyjeździe przejść sześć podwójnych sesji z terapeutą rodzinnym, by wrócić do siebie. Macie pojęcie, ile to kosztuje? — Sharon wytarła nos w kaszmir. Po twarzy Sig przemknął grymas. — Travis miał koszmarne sny co noc, a Jessie przestała mówić.

— No, to akurat mogłoby stanowić ulgę ulgę — mruknął Bruce — wartą każdego pensa.

Do pokoju wszedł Barney. Było jednak za późno — Jessie wytarła już usta i język drugim końcem białej narzuty. Spazmy Sharon stały się głośniejsze i rozpaczliwsze. Sig współczuła zarówno swej siostrze, jak i losowi afgańskiego kaszmiru. Poklepała łagodnie pulchne ramię Sharon i podała jej papierowy ręcznik.

— Sharri, nie oczekujemy tego od ciebie. Wiemy, że zrujnowałoby to twoje życie.

— Jak gdyby już nie było zrujnowane... — dodał półgłosem Bruce.

Szloch Sharon przybrał na sile.

Sig rzuciła bratu spojrzenie: i zobacz, co narobiłeś.

— Wcale nie próbujemy cię zmusić, byś wzięła mamę do siebie. Po pierwsze, nie byłoby to w porządku. Po drugie, mama nie chciałaby tego. Nie lubi Westchester. — Sig uznała, iż nie musi dodawać, że Phyllis nie lubiła też Barney’ a. — Po trzecie, to nie rozwiązałoby w ogóle naszego problemu. W chwilach wolnych od wtrącania się w twoje życie przyjeżdżałyby do nas i rujnowały nasze. — Sharri podniosła głowę. Jej płacz powoli cichł. — Posłuchaj, — ciągnęła Sig — musimy znaleźć jakieś trwałe rozwiązanie. Sposób, by ją naprawdę zneutralizować i odseparować od nas raz na zawsze. Myślę, że mam pomysł. Musimy tylko od razu się za to zabrać. Tu chodzi o śmierć i życie.

— O mój Boże! Chcesz, byśmy ją zamordowali -wyszeptała Sharon, zakrywając rękami uszy Jessie. — Zamierzasz nas zmusić, byśmy ci w tym pomogli, prawda? Wszyscy pójdziemy do więzienia.

— Nic z tego. Morderstwo odpada — powiedział Bruce. — Nie z powodów moralnych, z przeproszeniem. Po prostu ta kobieta zmarnowała pierwszych trzydzieści lat mojego życia i nie zamierzam z jej powodu spędzić drugich trzydziestu w więzieniu — zadrżał.— Boże, każda noc byłaby jak chrzest bojowy. Założę się, że Todd nawet by mnie nie odwiedził. — Bruce spojrzał poważnie na Sigourney. — Nie masz wśród tych swoich klientów spod ciemnej gwiazdy kogoś, kto mógłby ją usunąć z tego padolu nie mieszając nas do tego?

Sig wzniosła oczy ku górze. Czy Bruce nie mógł być choć przez chwilę poważny, a Sharon rozsądna?

— Nie możemy jej zabić — wyjaśniła, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby. Czasami Sharon była kapletną idiotką. — Po pierwsze, jest naszą matką, a co ważniejsze, nie mam ochoty zajmować apartamentu w skrzydle braci Menendez w najbliższym zakładzie karnym. Mówiąc, że chodzi o śmierć i życie chciałam podkreślić powagę sytuacji. Dlatego musicie mi pomóc. — Spojrzała surowo na rodzeństwo. Tak samo patrzyła na nich w dzieciństwie, zmuszając ich do gry w monopol tak długo, aż wylądowała na Broadwalk i Park Place i postawiła tam hotele.

— Potrzebujemy planu, strategii, a ja je mam. Musimy jednak popracować wspólnie, by wprowadzić ten plan w życie. — W końcu, po raz pierwszy zapadła cisza. Sig skupiła uwagę wszystkich. Dokładnie tak, jak lubiła.

Jej umysł działał z szybkością błyskawicy, pracując nad tym, w czym była najlepsza. Zbierając szeroki i różnorodny wachlarz informacji przetwarzała go na zwarty, realny program działania. Mogła poradzić sobie ze słabościami rodzeństwa, uświadamiając im ich mocne strony. Wiedziała, że potrafi ich zmobilizować, by choć raz postarali się działać razem. Widziała już, tak jasno jak żelazny księżę musiał widzieć plan bitwy pod Waterloo, rolę, które każde z nich powinno odegrać, by nie tylko wygrać bitwę, ale zakończyć również wojnę. Jak zwykle, kiedy pracowała intensywnie, wróciło jej opanowanie. Miała wrażenie, że czas stanął. Wiedziała już, że da sobie z tym radę.

— Sharon — poza tym, że brak ci pieniędzy, potrzebujesz czegoś do roboty. Jesteś bystra, byłaś świetną bibliotekarką. Możemy wykorzystać twoje zdolności. — Sharon otworzyła małe oczka najszerzej, jak mogła. — Bruce — tobie potrzebny jest inwestor dla twojej podupadającej firmy, a masz przy tym niezłe wyczucie stylu. Ja potrzebuję nowych klientów. A wszystkim nam razem potrzebne jest coś, co utrzyma mamę z dala od naszego życia, tak by nie doprowadziła nas do całkowitego obłądzenia. — Tu Sig zrobiła efektowną przerwę — mam sposób, by zaspokoić wszystkie nasze potrzeby.

Bruce przekrzywił głowę.

— Jaki?

— Wydamy ją za męża.

— Co takiego? — zapytali równocześnie Sharon, Bruce i Barney.

— Wydamy ją za męża. Najchętniej za bogatego faceta o słabym zdrowiu, pozbawionego spadkobierców.

— Aha — powiedział Bruce, pojmując, o co chodzi. — Zajęcie godne starej Anny Nicole Smith.

— Wolalabym nazwać to Operacją Stary Pryk — oznajmiła Sig z godnością. — Jeśli będziemy pracować razem, może nam się udać. — Sig podnosiła temperaturę dyskusji, jak wtedy, gdy przepychała jakieś niezbyt atrakcyjne papiery wartościowe. — Wystawimy mamę jak klejnot w aksamitnym pudełku. Ubierzemy ją jak królową — Bruce, to będzie twoja działka. Umieścimy ją w dobrym hotelu — nie, nie tylko dobrym, ale w najlepszym. Ja się tym zajmę. A później przedstawimy ją kandydatom. Tych musisz ty znaleźć, Sharon. Jeśli dobrze to rozegramy, będzie to krótka sprzedaż — znajdziemy kogoś, kto się na to złapie, zanim notowania mamy spadną.

— A jeśli się nie uda? — zapytał Bruce.

— To schowamy ją do magazynu — odparła Sig, wznosząc oczy do góry — a ja stracę mnóstwo pieniędzy.

— Ale co z tatusiem? — zapytała Sharon. Wszyscy odwrócili się, by na nią spojrzeć.

— Sharon, tato nie żyje — przypomniał jej Bruce.

— Wiem o tym. Ale to nie znaczy, że mu się to spodoba. Poza tym, na co jej jakiś sędziwy pryk? Nigdy nie zajmowała się nawet nami. Dlaczego miałaby zajmować się kimś takim? — Oczy Sharon zwilgotniały. — Oni są zwykle chorzy i nie pachną zbyt ładnie.

— To nie ona ma się zajmować nim. To on ma się zająć nią — wyjaśniła Sig. — Chcemy, żeby był chory. Musimy wydać mamę za kogoś naprawdę starego i bardzo bogatego. Kogoś, kto

nas polubi, i to bardzo. Kto zdobędzie mi bogatych, potężnych klientów, załatwi pracę Barneyowi i zapłaci za prywatne szkoły Jessie i Trávisa. A nawet wyciągnie na prostą interes Bruce'a.

— Musiałyby być głuchy, niemy i ślepy — powiedział Bruce.

Sigourney skinęła głową.

— To byłoby niezłe — zaczęła wyliczać na palcach — Głuchy, niemy, ślepy, stary i bogaty.

— Och, daj spokój, Sig — w głosie Sharon słychać było niemal szyderstwo — Ty masz tylko czterdzieści jeden lat. Jesteś zgrabna, piękna, masz oryginalne imię, odnosisz sukcesy zawodowe i nawet ty nie możesz znaleźć sobie przyzwoitego faceta. Phillip Norman to oferma. On cię nawet nie docenia. Mężczyźni szukają młodych, pięknych, świeżych dziewcząt. Jak, na Boga, mamy znaleźć bogatego frajera dla mamy?

Sig skuliła się, jak pod ciosem. Phillip Norman był na jej przedpołudniowym przyjęciu. Kiedy czekając na rodzeństwo sprzątała po gościach, powiedział jej, że choć naprawdę ją lubi, nie widzi przyszłości dla ich związku i uznał za stosowne ją o tym poinformować. Sig nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Układ z Phillipem był takim kompromisowym rozwiązaniem w jej życiu. Fakt, że jej nie chciał, zakrawał na żart, zaprawiony gorzką ironią. Jak nisko teraz upadnie? Czy znajdzie gdzieś innego mężczyznę? Jeszcze trochę, a będzie sypiała ze swoim malarzem pokojowym.

— No właśnie — zgodził się Bruce. — Jeśli ja nie znalazłem nikogo, dlaczego jej miałyby się udać? A nawet jeśli wyszukamy właściwy obiekt, w jaki sposób zmusimy mamę, by się z nim spotkała? Wiesz, jaka jest. — Bruce wzruszył ramionami. — Znać ją, to być w stanie permanentnej irytacji.

Sigourney pozbierała się. Teraz albo nigdy. Usiłowała okazać niezwykle entuzjazm.

— Och, dajcie spokój, dzieciaki. Nie mówię, że to będzie łatwe, ale jeszcze nie przegraliśmy. Sharri, nie straciłaś przecież wszystkich swoich zdolności analitycznych. Możesz przeszukać rynek, by znaleźć odpowiednich kandydatów. Bruce, masz chyba wciąż te wszystkie kiecki w swojej szafie — Bruce skrzywił się z niechęcią.

— No, dobra. Kupimy jej kostiumy! Ale możemy wykorzystać twoje kosmetyki. Zrobisz jej makijaż. Ja napiszę skrypt ze szczegółowym planem, a Barney — zatrzymała się, tracąc swój entuzjazm. — No, znajdziemy coś, czym ty będziesz mógł się zająć. To co, dzieciaki? Zaczynamy przedstawienie!

Pozbywając się fałszywego zapału, uczyniła swój głos tak zimnym i przerażającym, jak tylko potrafiła.

— Bo jeśli tego nie zrobimy, powiedzmy sobie szczerze, nasze życie stanie się jeszcze gorsze aniżeli jest teraz.

5

Pomimo dwudziestu sześciu stopni C, i palącego słońca lotnisko w Miami udekorowane było zupełnie niestosownie sztucznymi jodełkami i świątecznymi błyskotkami. Sylvia Katz, dzierżąc swą przesadnych rozmiarów torbę, spojrzała na Phyllis i potrząsnęła głową.

— Pierwsza klasa? To zły pomysł. I strata pieniędzy — powiedziała.

— A co, u diabła — Phyllis wzruszyła ramionami — nigdy w życiu nie leciałam pierwszą klasą. A ta osoba w biurze podróży spojrzała na mnie z szacunkiem.

— Szanuje cię za wyrzucanie pieniędzy?

— Och, życie może być czasami trochę piękniejsze. Jeśli dobrze rozegram moje karty, nigdy już nie polecę samolotem. Ten ostatni raz może się odbyć nie zwyczajnie, nie uważasz?

— Boże broń. Nawet tak nie żartuj — odparła, dosłowna jak zawsze, Sylvia. — Jesteś pewna, że nie chcesz zmienić zdania? Oddam ci twój stojak na gazety.

— Kuszące, ale dziękuję, nie palę.

— Nie palisz? A co to ma do rzeczy?

Phyllis pochyliła się i ucałowała Sylvię w policzek. Nie знаła nikogo, kto brałby wszystko tak dosłownie, jak Sylvia Katz. Dziewięć dziesiątych tego, co mówiła Phyllis, przepływało ponad ondulowaną głową Sylvii.

— Żyjesz w swoim własnym świecie, Sylvio — powiedziała Phyllis do przyjaciółki. — Dlatego pewnie możesz mnie znieść. Nie gram ci na nerwach, bo ich nie masz.

— Nerwy? Kogo obchodzą nerwy? Teraz nie będę miała żadnych przyjaciół. — Po policzku Sylvii spłynęła łza.

Phyllis pogrzebała w kieszeni zakietu i wyciągnęła pęczek kluczy.

— Klucze do buicka — powiedziała. — Nie wjeżdżaj na I-95 i nie daj się porwać, jeśli potrafisz.

— Dajesz mi samochód? Twój samochód?

— W Nowym Jorku będzie mi niepotrzebny. Nikt tam nie ma samochodu. To cywilizowane miejsce, mamy tam taksówki.

— Twój samochód?

— Sylvio, przestań się powtarzać. Zachowujesz się jak obłąkany tukan. — Phyllis wyciągnęła rękę i ujmując pulchną, pomarszczoną dłoń pani Katz, położyła na niej kluczyki.

— To mały prezent gwiazdkowy. Dla ciebie ode mnie.

— Ależ dałaś mi już tak dużo. Ten stojak na gazety, rośliny... — Sylvia wyjęła zmiętą chusteczkę i głośno wytarła nos.

— Sylvio, kto jeszcze używa chusteczek z materiału? — zapytała Phyllis, z obrzydzeniem patrząc na mokrą szmatkę. — I co zamierzasz z tym teraz zrobić?

— Włóż do torebki.

— Fe. Smarki rozmażą ci się na portmonetce. Idź z duchem czasu i kup sobie jednorazówki kleenexu.

— Nie sądzisz, że powinnaś zadzwonić do dzieci? — zapytała Sylvia. — Zawiadomić ich?

— Chcesz powiedzieć ostrzec ich? Nie. Dlaczego miałabym to zrobić? Żeby się ze mną kłócili? — tu przerwała — Sylvio, czyżbyś się w to wmieszała?

Sylvia spuściła oczy, skruszona. Phyllis nie musiała dalej pytać.

— Wciąż chcesz mi dać swój samochód?

— Tak. I wiem, że nie zamierzam być ciężarem dla moich dzieci. Zatrzymam się w hotelu i załatwię sobie własne mieszkanie. To będzie miła niespodzianka. — Phyllis nie była całkiem pewna, czy którekolwiek z jej dzieci użyłoby słowa — miła, ale to wolny kraj.

— Będzie mi ciebie brakowało, Phyllis.

— Wiem.

— Jeśli ci się nie powiedzie, możesz zawsze wrócić i zamieszkać u mnie.

— Wiem.

Pulchna kobieta grzebała w swej przepastnej torbie.

— Mam dla ciebie tylko taki drobiazg. Malutki.

— Wiem. Ktoś, kto od siedmiu lat nie realizował czeku nie może nagle zacząć rozdawać prezentów nabytych u Harry'ego Winstona.

— Phyllis wzięła małą paczuszkę i otworzyła ją. — Och. Chusteczki. Cóż ja bym bez nich zrobiła?

— Co ja zrobię bez ciebie? — westchnęła Sylvia. Sarkazm w stosunku do niej był całkowicie chybiony.

— Graj w kanastę. Teraz tutejsze damy dopuszczają cię z powrotem do gry, kiedy już ja nie będę ich obrazać.

— Nie powinny cię nigdy wyrzucać — powiedziała pani Katz z oburzeniem.

— Sylvio, to było cztery lata temu. Zapomnij o tym i graj w kanastę. Wykładaj się. Życzę ci wielu czerwonych trójek. Idź do Loehmanna, powłócz się po Saw Grass Mall. Dasz sobie radę. — Phyllis nigdy nie potrafiła radzić sobie z uczuciami. Cóż w nich takiego? Większość spraw w życiu zamieniała w żart, a resztę ignorowała.

Pani Katz wytarła oczy.

— Będzie mi ciebie brakowało.

— Sylvio, znowu się powtarzasz. Muszę już iść. — Przyjaciółki objęły się na chwilę, po czym Phyllis odwróciła się i wmieszała w tłum, zmierzając ku punktowi odpraw i poczekalniom.

Starsza pani przeszła pod wielkim plakatem wołającym: Wróć do Miami niedługo! Będzie nam ciebie brakowało!

— Małe szanse — odpowiedziała sobie głośno uszczypliwym tonem. — Chcę stąd wyjechać żywa.

Sig siedziała przy stole w jadalni, przed nią stał kieliszek czerwonego włoskiego wina. Ukradkiem wypełniała formularz z agencji, chcąc wystawić mieszkanie na sprzedaż. Zastanawiała się, czy mogłaby renegotjować pożyczkę pod zastaw domu lub obciążyć hipotekę. Tak czy owak, nawet próbując obu tych sposobów, powinna podjąć ów desperacki krok. Nie była w dobrym nastroju. Ubiegłej nocy chciała już dzwonić do Phillipa, zachowała jednak na tyle godności i zdrowego rozsądku, by tego nie zrobić.

— To nie jest łatwe — mówiła Sharon ze swego miejsca na drugim końcu stołu. Obok swego laptopa i drukarki rozłożyła na jego lakierowanej powierzchni dziesiątki kartek z notatkami. — Nie wiem, dlaczego zawsze dostaję najgorszą pracę.

Zanim Sig zdołała zareagować i wygarnąć siostrze, jak ciężko sama musi pracować, aby obmyślić i sfinansować całą Operację Stary Pryk, zabrzmiał dzwonek. Sig nie zdążyła się nawet podnieść, kiedy Bruce, otworzywszy zamek swoim kluczem, wszedł i opadł na sofę pod oknem jadalni.

— Ja prowadzę poszukiwania — kontynuowała Sharon.

— O tak, a ja pracuję ciężko, by opłacić całą tę bolesną operację — przypomniała im. Spojrzeli niepewnie po sobie. Nastąpiła chwila ciszy, która mogła zakończyć się dwojako: albo zacząć znów dziecinną kłótnię bez końca, albo spróbują współdziałać. Bruce zdecydował się na heroiczny wysiłek.

— A więc, jak idą te poszukiwania?

Sharon wstała, pokonując pewne trudności spowodowane tuszą i znalazłszy swój wielki, płócienny worek wyjęła z niego kolejne naręcza notatek, magazynów i wycinków z gazet. Sig pomyślała, że chyba oszaleje.

— No dobrze. Operacja Stary Pryk. Podział na kategorie. — Sharon zaczęła sortować kolorowe foldery, układając je w stosiki na stoliku do kawy. Mam tutaj nieżonatych mężczyzn z naszej metropolii, wiek: siedemdziesiąt i starsi, warci netto ponad 50 milionów — spojrzała wystraszona na Bruce'a i Sig. — Nie wiedziałam, czy postawić granicę na pięćdziesięciu, czy stu milionach. Ale tych drugich nie było wielu, więc wybrałam pięćdziesiąt. Zatrzymałam jednak tamtą listę, więc jeśli chcecie, możemy do niej wrócić.

— Myślę, że trafnie zdecydowałaś, Sharon.— powiedział Bruce.

Sharon ruchem brody wskazała na swój posortowany dorobek.

— Podzieliłam ich według pochodzenia, przekonań religijnych, poprzednich małżeństw... — podniosła głowę — Oddzieliłam wdowców od rozwiedzionych. Nie byłam pewna, ale uważałam, że potem może to stanowić różnicę. Spośród rozwiedzionych wypisałam tych, którzy mają jakieś zobowiązania. Ustaliłam też, którzy wymagają umowy przedmałżeńskiej. I wreszcie wynotowałam ich działalność filantropijną. Jak rozumiem, potrzebny nam ktoś hojny.

Sig rozlała resztkę kawy do filiżanek z chińskiego serwisu. Mogła zamawiać dania na wynos, ale jadła na porcelanie. Sharon wyjęła spory segregator i wręczyła rodzeństwu do oceny.

— Tu jest rezultat końcowy mojej analizy. Na tej liście mamy Bernarda Krinza, Johna Glendona Stanforda i Roberta Himmelforba. Uznałam, że ci trzej będą dobrzy na początek. Wszyscy mieszkają w Nowym Jorku — zawahała się — No, Himmelforb jest z Sands Point, ale udziela się na Manhattanie.

Sig przeglądała wyniki pracy Sharon.

— Całkiem niezłe cele — zgodziła się.

— Przy tego rodzaju okazjach wreszcie staje się przydatne posiadanie tak obrzydliwie dociekliwej siostry — powiedział Bruce.

Sharon skrzywiła się.

— Pracowałam nad tym bardzo ciężko, Bruce. Nie powinieneś być taki krytyczny.

— Sharri, on cię nie krytykuje — zapewniła ją Sig — Na swój sposób, mówi ci, że to jest dobre.

Sharon spojrzała na brata.

— Naprawdę tak myślisz? Uważasz, że jest niezłe?

— Myślę, że to świetne! Sharri, wykonałaś fantastyczną robotę.

— Szczerze?

Bruce uniósł rękę w geście, jakim policjant zatrzymuje ruch.

— Sharon, zamknij się już. Zawsze posuwasz się za daleko. Koniec tych pochwał. To jest dobre, zabierzmy się więc do pracy.

Sig zadzwoniła, by przyniesiono więcej kawy. Nigdy nie parzyła jej sama, lecz zamawiała w greckiej knajpce na rogu. Rodzeństwo zagłębiło się w lekturze. Przeżuwali wiadomości w milczeniu, przerywanym niekiedy gwizdem uznania lub wykrzyknikami przy odczytywaniu liczby domów, byłych żon i zagranicznych kont bankowych.

— Sharri, to jest naprawdę znakomite — odezwała się w końcu Sig. — Dokonałaś wielkiej rzeczy.

Jej młodsza siostra pojaśniała z dumy.

Bruce spojrział na nią z uznaniem.

— Wiesz, Sharon, potrzebuję w mojej firmie kogoś takiego do badań rynkowych.

— Sharon, dlaczego ty nie poszukasz pracy? Zapomnij o tej niedoszłej karierze Barneya — powiedziała Sig. — Przecież potrzebujesz pieniędzy.

— Och, nie mogłabym tego zrobić. Biblioteki teraz nie zatrudniają pracowników. — Sharon wzruszyła ramionami. — Tak czy owak, to Barney czuje potrzebę podniesienia własnej wartości.

— Nazwijcie ją Kleopatram, Królową Odmowy! — jęknął Bruce.

— Nie musisz pracować w bibliotece, Sharon. Możesz robić to właśnie

— Sig machnęła kartką papieru. — To świetne badania rynkowe. Naprawdę dokładne.

Sharon tylko potrząsnęła głową.

— A któżby mnie zatrudnił?

— Wiecie, kogo tu mam? — zapytał Bruce. Jego siostry potrząsnęły głowami. — Mam Pana Właściwego.

— Nie pamiętam takiego nazwiska — zmarszczyła brwi Sharon.

— Och, nie bądź taka dosłowna. — Bruce spojrział na listę. — Facet mieszka tu, w Nowym Jorku, jest nadziany, wdowiec i... wydaje mnóstwo pieniędzy na cele charytatywne.

— Który to?

— Bernard E. Krinz.

— Ten architekt? — zapytała Sig.

— Właśnie. — Bruce przewrócił oczami i przybrał minę, którą Sig nazywała filmowym spojrzeniem. — Hej, to mogłoby być jak z Patricią Neal i Garym Cooperem w Fountainhead. Wyjawszy scenę łózkową. — Bruce otrząsnął się. — Rety, spójrzcie na to — Wyjął jedną stronę z segregatora — No, może niezupełnie. "E" to skrót od Egberta. Jego matka musiała go nienawidzić.

— Phyllis Krinz. Błę! — skrzywiła się Sig.

— Zmienisz zdanie, gdy zajrzysz do jego danych — Bruce podał siostrze segregator. Obydwie uniosły brwi z uznaniem.

— Cóż, jakie znaczenie ma nazwisko? — Sharon wzruszyła ramionami.

— Ogromne — odparł Bruce. — Rotshild jest niezłe. Rockefeller też. Gates jest bardzo dobre.

— Nazwiska! Imiona! Nie mówcie na ten temat! Susan! Czy jest coś mniej oryginalnego niż to? — zapytała ze złością Sig. — Czy istnieje imię bardziej staroświeckie, nudne i stereotypowe niż Susan?

— No cóż, właściwie Bruce brzmi jak samospelniające się proroctwo. To ona uczyniła mnie gejem, nie sądzisz? — zapytał.

Sharon uniosła głowę.

— Na co wy w ogóle się skarżycie? Ja zostałam nazwana na cześć kobiety, która wetknęła rękę w tyłek owcy, by zarobić na życie.

Pokonani tym argumentem Sig i Bruce spojrzeli na siebie i skinęli głowami.

— Trafiła w sedno — przyznała Sig.

— Zobaczmy — zastanawiał się Bruce, przeglądając foldery. — A w jaki sposób zmusimy mamę do spotkania z naszym kandydatem, jak go już wybierzemy? — zapytał.

— Dowiemy się, gdzie zamierza być w najbliższym czasie. Ci ludzie prowadzą światowe życie. Biorą udział w otwarciach, premierach, chodzą na kolacje. Zwłaszcza te charytatywne — mówiła Sig. — Wiem o wszystkich wydarzeniach, które moja firma pomaga ubezpieczać i sądzę, że mogłabym mieć pewien wpływ przy ustalaniu miejsc. Posadzimy naszego kandydata tuż obok nas. Zdobędziemy mamie bilet i dopilnujemy, by spotkała się z nim i co więcej, by mu się spodobała.

— O, tak. Jak sobie poradzimy z tym ostatnim? — zapytał Bruce. — Możesz dać koniowi wiadro z wodą, ale nie zmusisz go do picia.

— Oczywiście jedno z nas musi zawieźć ją tam, doprowadzić w pobliże celu i sprawić, by cała sprawa ruszyła.

— Nie ja — zastrzegł się Bruce. — Wystarczającym przeżyciem będzie ubrać ją w sklepie, nie mówiąc o...

— Och, ja chciałabym pójść na przyjęcie — zgłosiła się na ochotnika Sharon.

— Ty nie możesz — stwierdził Bruce. — Sig, idź ty z Phillipem Normanem.

Sig omal się nie zarumieniła. Nie miała odwagi przyznać się, że Phillip ją rzucił.

— Nie sądzę, by to był dobry pomysł — oświadczyła tak niedbale, jak tylko potrafiła. — To będzie kosztowne przedsięwzięcie — dodała. — Ubranie, bilety, limuzyna. Bruce, myślę, że powinniśmy iść my oboje i upewnić się, że mama przynajmniej znajdzie się w pobliżu Pana Właściwego. — Sig zwróciła się do Sharon. — Sharri, potrzebujemy cię jako tajnej broni. Jak dotąd wykonałaś wspaniałą pracę. Teraz musisz zrobić następny krok.

— Jaki następny krok? Nic innego nie potrafię robić.

— Owszem, potrafisz. Dowiedz się, gdzie w najbliższym czasie odbędą się wielkie gale związane z działalnością charytatywną. Ja sprawdzę, które z nich sponsoruje moja firma i czy któryś z tych trzech pajaców ma zamiar na nich być. Później wykopiesz wszystko, co zdołasz, na temat naszego pierwszego celu.

Złożyła trzy foldery z powrotem w ręce Sharon.

— Nie muszę chyba dodawać, że jeśli cokolwiek pójdzie nie tak w naszej misji, wyprzemy się wszystkiego, co...

Bruce przerwał jej.

— Masz rację. To jest Mission impossible.

Sig odłożyła trzymany w rękę segregator.

— Jedno wiem na pewno: nie złapiesz ryby nie zakładając przynęty. Sharon wykonała swoją pracę, ja wykonuję co do mnie należy. Zobaczmy, co ty osiągniesz z Mamą, kiedy się tu zjawi.

6

Trójka rodzeństwa czekała w napięciu na lotnisku La Guardia. Opuszczająca samolot grupa ludzi posuwała się wolno do wyjścia. Za nimi kroczyła Phyllis.

— To zdumiewające — odezwał się półgłosem Bruce — ona jest jak cesarz Söze w Usual Suspects. Sunęła między nimi nie ujawniając swych morderczych talentów.

— Zamknij się — ostrzegła Sig. — Idzie tu. Jeszcze cię usłyszy.

— Postarajcie się wyglądać na ucieszonych — powiedziała Sharon, ale ani Sig, ani Bruce nie zareagowali.

— Cześć, mamó! — wykrzyknęła Sharon z fałszywą radością w głosie.

Phyllis podeszła do nich.

— Skąd wiedzieliście, że przyjeżdżam?

— Dzwoniła pani Katz.

— Tak myślałam. Niczego nie potrafi zachować dla siebie — pokiwała głową. — No i cóż? Żadnych kwiatów? — zapytała, po czym spojrzała na Sharon. Przybyło ci chyba kolejnych dziesięć kilogramów, Sharri — jej młodsza córka skuliła się pod jej wzrokiem. — Ja zawsze przybierałam na wadze, gdy przeżywałam frustracje seksualne. Czy Barney jest już zupełnym impotentem? — zapytała, całując otyłą córkę, która wycofała się za swoje rodzeństwo.

— Zabawa się zaczęła! — powiedział Bruce.

Phyllis zwróciła się w jego stronę.

— Cóż, jak idą interesy z kartkami okolicznościowymi dla gejów? Zbankrutowałeś już? — musnęła wargami policzek syna i pomachała ręką w powietrzu. — Mój Boże, wylałeś na siebie więcej perfum niż ja!

— Przynajmniej są to dobre perfumy.

Na końcu Phyllis zmierzyła wzrokiem Sig.

— Wiele osób uważa, że czerwony i czarny dobrze wyglądają w zestawieniu — wzruszyła ramionami. — Nie pytaj mnie Susan, dlaczego.

— Może dlatego, że są klasyczne — uśmiechnęła się Sig.

— Lub może dlatego, że są banalne — odparła Phyllis, ponownie wzruszając ramionami. — Ale jeśli chcesz wyglądać jak mały dobosz... Bum tara bum.

Phyllis mrugnęła do Sig, po czym rozejrzała się po zatłoczonym lotnisku. Tutaj Bożonarodzeniowe gadżety wyglądały dobrze: błyskotki, girlandy, czerwone kokardki i biały śnieg — no, szary śnieg — za oknem.

— Chodźmy do taśmy z bagażami, zanim jakiś łobuz zniknie z moimi walizkami.

Poirytowana trójka rodzeństwa ruszyła ponuro za matką. Phyllis uśmiechnęła się szeroko.

— Jak dobrze znów być w Nowym Jorku! Rozmowy z mieszkańcami Florydy przypominały zucie awokado: wszyscy tam są tacy miękcy. Tutaj ludzie są jak suchary; kiedy je żujesz, czujesz, że twoje szczęki pracują. W samolocie prowadziłam cudowną konwersację.

— Wyobrażacie sobie zostać przykutym obok Mamy?

— O mój Boże — Sharon gwałtownie nabrała powietrza. — Dostaję klaustrofobii na samą myśl o tym. Gdzie mój inhalator?

— Ten człowiek poprosił mnie o numer telefonu — dodała Phyllis zadowolonym z siebie głosem.

— A co sprzedawał? — zapytał Bruce, zaciągając się dymem z marlboro, pomimo znaków zabraniających palenia.

— A co za różnica? Mama i tak nie ma pieniędzy.— przypomniała mu Sig.

— Okropni jesteście — prychnęła Phyllis. — On był bardzo miły.

Bruce westchnął ciężko.

— Zaczęło się — zaśpiewał cicho:

Sharri jest gruba.

Mama zgryźliwa

Sig wciąż samotna

Ja — owca parszywa.

Phyllis odwróciła się i spojrzała z dezaprobatą na niego i jego papierosa. Pomachała swoją poznaczoną plamami wątrobowymi dłonią przed jego nosem.

— Wiesz, że zabijasz nas tym dymem!

— Nie dość szybko — mruknął Bruce.

Udając, że tego nie dosłyszała, Phyllis przyspieszyła kroku, kierując się ku bagażom. Wyglądała, jakby miała zamiar kogoś ugryźć. Jej ogłuszone dzieci postępowały za nią.

— Niewiarygodne. Niezależnie od tego, jak często z nią przebywam, w chwilach przerwy zapominam, jaka jest — powiedział Bruce.

— To samo mówią o UFO — stwierdziła Sig. — Chociaż niedowiarki wciąż się upierają przy swoim.

— Nic dziwnego, że jestem gruba — mruknęła zrezygnowana Sharon.

— Nic dziwnego, że jestem samotna — dodała Sig.

— Nic dziwnego, że jestem gejem.

— Bruce, ty jesteś gejem? — zapytała Sig, udając zdumienie. Bruce rzucił jej mordercze spojrzenie.

— Zapomnijmy o Operacji Stary Pryk. Po prostu ją zamordujmy — zaproponowała Sharon z żądzą krwi w oczach. — Nie przytyłam dziesięciu kilogramów. Najwyżej siedem.

— Dziesięć! — zawołała jej matka, odrywając wzrok od taśmy z bagażami.

— Boże, ona wciąż ma te swoje zdolności — skomentował Bruce.

— Już niedługo — zagroziła Sig. — Chodźcie. Zabierzmy ją do ciebie i przedstawmy sprawę.

— Do mnie? Dlaczego do mnie? — niemal zakwicztał Bruce. — Blżej mamy do ciebie — zwrócił się do Sig.

— Tak, ale u ciebie nie ma miejsca, by została na dłużej. Plus jest jeszcze Todd. Wyniesie się w te pędy.

Pomimo tłumu Phyllis natychmiast wypatrzyła swoje walizki i rzuciła się ku nim. Jak na starszą panią, była wciąż szybka. Po paru minutach stali już w chłodzie przed lotniskiem czekając, aż Todd zabierze ich swoją półciężarówką. Pomimo zimowego płaszcza Phyllis drżała. Zirytowana i zniecierpliwiona Sig przytupywała nogami. Musieli jak najszybciej przekonać swoją matkę, skłonić ją do współpracy i zainstalować w hotelu Pierre, gdzie Sig zarezerwowała już apartament. Nie będzie to jednak łatwa operacja.

— Nie możemy wymyślić czegoś innego?

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Dlaczego? Bo ja tak mówię — odparła bratu.

Phyllis roześmiała się.

— Jakbym słyszała samą siebie — powiedziała do córki.

— Nieprawda.

— Prawda — potwierdzili równocześnie Bruce i Sharon. W tym momencie, dzięki Bogu, podjechał Todd. Załadowanie wszystkich gratów do sfatygowanego auta, którego Bruce używał do przewożenia swych kart, zajęło im piętnaście cennych minut.

— Czy potrzebujemy czegoś jeszcze? — zapytał pogodnie Todd, gdy wszyscy się już usadowili.

— Tylko valium i kija baseballowego — odparła Sig przez zaciśnięte zęby.

— Nie ma mowy. Nawet nie zamierzam brać tego pod uwagę — oznajmiła Phyllis swym dzieciom.

Siedzieli stłoczeni w ciasnym pokoju dziennym Bruce'a. Phyllis nie zwracała uwagi ani na bałagan, ani na przedstawiane argumenty.

— Mamo, nic nie rozumiesz. To nie dlatego, że nie chcemy, byś mieszkała u kogoś z nas — kłamała Sig. — Ty po prostu nie znasz obecnych realiów życia w Nowym Jorku. Tu nie jest już tak bezpiecznie jak kiedyś. Ani tak tanio.

— Od kiedy to hotel jest tani? — zapytała Phyllis.

— Nie jest tani, ale bezpieczny. Nowy Jork się zmienił — odparł Bruce. Rozpaczliwie starał się wypchnąć matkę ze swej i tak ograniczonej przestrzeni życiowej.

— Nie martwcie się o mnie — powiedziała Phyllis. — Potrafię zadbać o siebie. Zawsze potrafiłam. Nie mam zamiaru być dla was ciężarem — przerwała na chwilę. Nie było jej łatwo przyznać się komukolwiek do błędów, a już najmniej własnym dzieciom. — Posłuchajcie, — zaczęła — nie przyjechałam tu po to, by was odwiedzić. I nie przyjechałam tu dla siebie. Jestem tu z waszego powodu. Wiem, że wasz ojciec i ja byliśmy tak zajęci interesami, iż nie poświęcaliśmy wam tyle uwagi, ile potrzebowaliście. Gdybym była... — wzruszyła ramionami — Cóż, mogło być inaczej.

— Mamo, ty...

Phyllis podniosła rękę.

— Nie znosiłam tych kobiet z komitetów rodzicielskich. Nie byłam opiekunką skautek. Nie pomagałam wam w odrabianiu pracy domowej. Chciałabym teraz wynagrodzić wam to wszystko. Chcę tu zostać już na cały czas — powiedziała tak odważnie, jak tylko potrafiła.

— Cały czas czego? — wyrwało się Sig. Jej matka była na Manhattanie od dwóch godzin, a ona miała wrażenie, że minął już miesiąc.

Sharon wymknął się cichy pisk, a jej brat jęknął głucho.

— To znaczy, że na poważnie myślisz o zamieszkaniu tutaj na stałe? — zapytała Sig.

— No cóż, przynajmniej do czasu, gdy wyprostujecie wasze drogi życiowe. Jestem waszą matką i przyjechałam, żeby wam pomóc. I nie zamierzam zatrzymywać się w jakimś ekskluzywnym hotelu — poklepała swą torebkę. — Nie musicie się o nic martwić. Mam trochę oszczędności i pieniądze z ubezpieczenia. No i wciąż dostaję część emerytury ojca. Dam sobie radę.

Sig uderzyła dłonią w czoło. Niezależnie od tego, jak często prosiła swoją matkę, ta nigdy nie kupiła żadnych obligacji ani innych papierów wartościowych.

— Z ubezpieczalni masz sześćset sześćdziesiąt trzy dolary miesięcznie — powiedziała Sig — Emerytura taty... ile? Trzysta? Czterysta?

— Trzysta osiemdziesiąt, ale to wolne od podatku.

Bruce zakrył oczy rękami. Sharon odwróciła wzrok. Znowu, jak zawsze, Sig musiała sama nieubłaganie kontynuować.

— Świetnie. Masz więc tysiąc dolarów miesięcznie na przeżycie tu, na Manhattanie, w najdroższym mieście świata.

— No nie, Sig. Zdaje się, że Hongkong i Tokio ocenia się obecnie na nieco droższe — poprawiła ją Sharon.

— Tak, Sharon, ale mama nie zamierza zamieszkać w Hongkongu ani w Tokio — odparła Sig przez zaciśnięte zęby.

— A szkoda — mruknął Bruce pod nosem.

— Słyszałam to, Bruce — ostrzegła matka — Susan, tysiąc dolarów to dużo pieniędzy. Poza tym mam moje oszczędności — powtórzyła.

Sig z goryczą potrząsnęła głową. Gdyby tylko matka pozwoliła jej zainwestować choć część tych pieniędzy, miałyby teraz dwa razy tyle. Ale oczywiście nie zrobiła tego.

— Mamo, ty po prostu nie rozumiesz. Wiesz, ile kosztuje tu wynajęcie małej kawalerki? Bardzo małej?

— Oriętuje się nieco, Susan. Jestem gotowa zapłacić czterysta pięćdziesiąt lub pięćset dolarów, jeśli będę musiała.

Bruce roześmiał się głośno.

— Mamo, miejsce parkingowe w centrum kosztuje czterysta dolarów.

— Nie bądź śmieszny — obruszyła się matka, odstawiając filiżankę z herbatą. Todd obsłużył ich i dyskretnie zniknął w niewielkiej sypialni. — Może jestem stara, ale nie głupia — potrząsnęła głową. — Czterysta dolarów za miejsce parkingowe? Myślisz, że urwałam się z choinki?

— Nie, przybyłaś z planety seniorów. Wierzysz w zniżki dla pierwszych klientów i ulgi w kinach. A teraz chcesz żyć tutaj, w tym dziwnym miejscu — między ludźmi na planecie Ziemi.

— Nawet gorzej: między nowojorczykami na Manhattanie — uściśliła Sig i wręczyła matce zwiniętą gazetę. — Na Manhattanie nie ma zniżek na obiadach dla pierwszych klientów ani ulg dla emerytów w kinach. Poza seansami porannymi, na które bilety kosztują tylko cztery pięćdziesiąt.

— Cztery pięćdziesiąt? — wykrzyknęła Phyllis — Na Florydzie płaciłam trzy dolary. A ile kosztuje zwykły bilet?

— Osiem pięćdziesiąt.

— Za chwilę mi powiecie, że bilety na metro kosztują dolara — roześmiała się.

Bruce wzniosł oczy do góry.

— Przejazd metrem będzie cię kosztował półtora dolara, mamo. Jeśli cię nie okradną.

— Póki co, w nieruchomościach też nie ma zniżek dla seniorów. Przeczytaj to i zapłac nad swym losem — zażądała Sig, wskazując gazetę. — Zaznaczyłam ci kilka tańszych ofert.

Czekali w milczeniu, podczas gdy Phyllis studiowała ogłoszenia. Po chwili matka podniosła wzrok.

— Zamieszkać więc w Queens — powiedziała. — Manhattan był tylko pierwszą propozycją. Queens jest bardzo ładne i ma dobre połączenie metrem.

Sig, przygotowana na to, wręczyła matce następną gazetę z zakreślonymi ogłoszeniami.

— Queens — powiedziała z zadowoloną miną.

Phyllis po raz kolejny zdała sobie sprawę, że nigdy nie było jej łatwo kochać tej córki. Przejrzała uważnie ogłoszenia, jedno po drugim, po czym rzuciła gazetę na podłogę.

— No dobrze. Poszukam więc pracy. Na pół etatu.

Sig bez słowa podała jej inną część gazety. Tu nic nie było zaznaczone.

— Absolwenci college'u Ivy League pracują za minimalne wynagrodzenia w barach szybkiej obsługi, mamo — poinformowała ją Sig. — Dzieciaki z ukończonym MBA pracują dla Reeboka. Co konkretnie miałaś na myśli?

Phyllis była wstrząśnięta, jednak duma nie pozwalała jej się do tego przyznać. Wstała i siłą się na nonszalancję, strzepnęła spódnice.

— Wiecie co, zastanowię się jeszcze. Na razie pomóżcie mi tylko przenieść moje rzeczy do hotelu Chelsea, a potem zobaczymy. Jakoś się to wyklaruje.

— Soki się klaruje, mamó. Życie trzeba planować.

— Tak czy owak nie możesz mieszkać w “Chelsea” — stwierdził Bruce. Po pierwsze, nie stać cię, a po drugie, to nie jest bezpieczne miejsce dla staruszki.

— Nie jestem staruszką — warknęła Phyllis. — Mogę być starszą panią, albo babcią, albo starszą kobietą, ale z całą pewnością nie jestem staruszką i proszę, byś, do jasnej cholery, o tym pamiętał.

— Przejęczyłem się — usprawiedliwił się Bruce, sięgając po papierosa.

Sharon nabrała powietrza i sięgnęła po maślanego herbatnika.

— Myślicie, że te ptysie są dobre? — zapytała.

Nikt inny niczego nie jadł, pomimo że Todd zostawił im tacę pełną ciastek i słodyczy. Żadne z rodzeństwa nie zwróciło uwagi na pytanie Sharon. Zawsze ją ignorowali, pomyślała zrezygnowana.

— Niezależnie od tego sędzę, że niepotrzebne ci kolejne fałdki na biodrach. — Phyllis upiła łyk kawy i usiadła z powrotem na krześle. Potrząsnęła głową. — A więc, o co w tym wszystkim chodzi? Czuję jakiś podstęp. Które z was ma zamiar wziąć mnie do siebie?

Sharon gwałtownie nabrała powietrza ze zdumienia czy też z powodu astmy, albo z obu przyczyn na raz.

— Mamó, nic podobnego nie...

— Ach, rozumiem. Próbujecie po prostu wysłać mnie z powrotem na Florydę, zgadza się?

— Nie, mamó — odparła Sig tak stanowczo, jak tylko potrafiła. — Próbujemy tylko przekonać cię do „Pierre’a”.

Hol w hotelu Pierre był zawsze elegancki i piękny, lecz w czasie Bożego Narodzenia miał oprócz swego zwykłego uroku wyjątkową, dyskretną, świąteczną dekorację, która dodawała blasku złoceniom na drewnianych i brązowych detalach wykończenia. Nie było tu białych, tandetnych, sztucznych choinek, jak zauważyła Phyllis. Jednak dopiero na górze, gdy weszli do apartamentu 1604 i rozejrzeli się, wyrwał jej się przeciągły, głośny gwizd.

— I uważacie, że tu powinnam mieszkać? — zapytała. — Maria Antonina tu by się źle czuła. To jest za duże i zbyt królewskie.

— Życie należy czasami trochę upiększyć — wtrąciła złośliwie Sig.

— O tak. Gdybym przywiozła swój diadem, czułabym się jak w domu — odparła Phyllis, oglądając olbrzymi salon z kominkiem, adamaszkowe zasłony w oknach z widokiem na Central Park, niewielki fortepian o barwie hebanu i puszysty dywan. Jakaś waza — Phyllis miała wrażenie, że chińska — stała na małym stoliku, wypełniona liliami. Kwiatów było więcej, niż starsza pani widziała na ostatnich trzech pogrzebach, w których uczestniczyła. Otworzyła jedne z drzwi i znalazła za nimi sypialnię, wyposażoną w łóżko z baldachimem. Inne drzwi prowadziły do mniejszego pokoju z wygodną sofą i półkami pełnymi książek.

— Uważacie, że potrzebuję tego wszystkiego, by kogoś poderwać? — zapytała. — Ile to wszystko kosztuje?

— Dostałam firmową zniżkę — skłamała Sig. — Nieważne, traktuję to jako ofertę łączoną. Jak w supermarkecie, kiedy mają jakąś promocję i sprzedają coś po cenie niższej od wartości towaru, zmuszając cię do kupienia innego produktu.

— O czym ty mówisz? — zapytała Phyllis. — Czyżbyś zmieniła się we wróżkę?

Jak dotąd, cała sprawa i sama rozmowa nie mogły pójść gorzej, pomyślała Sig. Gdyby byli w izraelskich Oddziałach Specjalnych, wszyscy zakładnicy dawno by już zginęli. Zaczynała

wątpić w celność pomysłu z małżeństwem, który, łagodnie rzecz ujmując, spotkał się z całkowitym brakiem zainteresowania ze strony matki.

— Pieprzyć to — powiedziała Phyllis. — Potrzebny mi mężczyzna jak rybie rower — stwierdziła.

— Nigdy nie rozumiałem, co to właściwie znaczy. — odezwał się Bruce.

— Nie jesteś kobietą — mruknęła z goryczą Sig, myśląc o Phillipie Normanie.

Phyllis jeszcze niezupełnie zgodziła się na pomysł znalezienia jej męża, ale usiłowała wysłuchać swoich dzieci. Był to jeden z głównych problemów w czasach, kiedy dorastali: nie słuchała ich.

— Myślałam, że już się zgodziłaś spróbować — powiedziała Sig, wyprowadzona z równowagi.

Phyllis westchnęła.

— Dzieci, kobieta potrzebuje mężczyzny dla seksu lub dla pieniędzy... Miałam już to pierwsze i wciąż mam to drugie, ergo: nie potrzebuję mężczyzny — odparła.

Sig zignorowała ją.

— Wracając do małżeństwa. Wiesz, dlaczego sądzimy, że byłoby to dla ciebie dobre? Bo niezależnie od tego, ile masz pieniędzy, poprawiłaby się sytuacja finansowa, i to nie tylko twoja, ale i nasza.

— Czy ja prosiłam choć o jednego pensa? Jednego? — zaprotestowała Phyllis.

— To nie o to chodzi. Potrzebujesz jakiegoś zabezpieczenia. I towarzystwa. Potrzebujesz uwagi i czasu. My jesteśmy ciągle zajęci. Miło by ci było mieć kogoś w życiu, kto...

— Skończ to gadanie. Chcecie mnie wydać za mąż dla forsy i mieć mnie z głowy. Nie jestem tym typem dziewczynki.

— Nie jesteś dziewczynką od sześćdziesięciu lat, mam.

— Och, wiesz dobrze, o czym mówię. Nigdy nie mieszałam w to pieniędzy. Mogłabym zrobić karierę na scenie, gdybym chciała uprawiać figle-migle dla osiągnięcia korzyści.

— Figle-migle? — Bruce jodłował. — Figle-migle? — odchylił się do tyłu, wybuchając śmiechem.

Phyllis zlekceważyła go.

— Wszystko jedno — powiedziała z godnością — Nigdy w życiu nie pociągali mnie bogaci mężczyźni. Są nieznośnie aroganccy i władczy.

— Jak nikt inny w tym towarzystwie — mruknął Bruce.

— Nie każemy ci wychodzić za kogoś, kto ci się nie będzie podobał — stwierdziła Sharon, chcąc wnieść wkład w wysiłki rodzeństwa. — Możesz go polubić, a on mógłby być zarazem bogaty.

— Ja już raz byłam zameżna. Przerobiłam to i mam to za sobą.

— No właśnie. Byłaś żoną taty i podobało ci się to. Dlaczego więc nie zrobić tego jeszcze raz?

— Kiedy wychodziłam za waszego ojca, pobieraliśmy się na całe życie. Wszyscy tak robili. Tylko gwiazdy filmowe się rozwodziły, a nawet wtedy nie obywano się bez skandalu. Nie to, że bym uważała rozwód za coś złego — spojrzała znacząco na Sharon. — Niektórym dobrze by to zrobiło. Nie chciałabym tego dyskredytować. — Sharon, postanowiwszy zignorować słowa matki, wybrała z tacy przeraźliwie słodką truskawkę w czekoladzie i odgryzła połowę. — Teraz czasy się zmieniły — ciągnęła Phyllis — dzisiaj każda kobieta powinna albo zostać panną, albo wyjść za mąż cztery razy.

— Cztery razy? — zapytała Sig, wstrząśnięta.

Cztery wesela? Nie miała na koncie nawet jednego. Jej matka była nieprzewidywalna jak tornado w Oklahomie i niemal tak samo dezorientująca — Cztery wesela i pogrzeb — dodała sarkastycznie.

— Cztery — potwierdziła Phyllis z irytującą pewnością siebie, którą okazywała przy każdej okazji. — Bądźmy szczerzy: pierwsze jest zawsze pomyłką — uśmiechnęła się znów do Sharon i wzruszyła ramionami. — Ty wyszłaś za Barneya, — oświadczyła — a w moim przypadku był to Ira. Któż zna wyroki losu?

— Mamo! Co złego było w tacie? — wykrztusiła Sharon z ustami pełnymi drugiej połowy truskawki.

— Był mężczyzną. Poza tym nic. Jak na pierwsze małżeństwo. Ten pierwszy raz uczy cię, jak mężczyzna potrafi rozczarować.

— Dzięki, mamu. Nic dziwnego, że mam kłopoty z własną osobowością.

— Och, nie bierz tego do siebie — odparła Phyllis.

— Po cóż więc kobieta ma wychodzić za mąż jeszcze raz? — nie potrafiła się powstrzymać od pytania Sig.

— Drugie jest z miłości. Ha! Tak przynajmniej się sądzi. — Phyllis potrząsnęła głową. — Musisz pozbyć się tego paskudztwa z organizmu, bo inaczej zginiesz. Każdy rozsądny człowiek w końcu się poddaje. — Spojrzała na Bruce'a. — Z wyjątkiem ciebie. Ty wciąż fruwasz z kwiatka na kwiatek — podbródkiem wskazała Todda, który robił zdjęcia z balkonu.

Jej drwina spłynęła po nim jak woda po kacze.

— A co z numerem trzecim? — zapytał. Jego matka fascynowała go czasami, jak wyścigi w Bronco. — Wiesz, że to może skończyć się tragedią, ale nie możesz oderwać oczu.

Phyllis usiadła na krześle.

— Trzecie małżeństwo powinno służyć d.z.f — dożywotniemu zabezpieczeniu finansowemu. To powinien być ktoś, komu zależałoby na tobie i dzięki komu nigdy nie będziesz zmuszona korzystać z opieki socjalnej.

Sig czuła się zahipnotyzowana, jak wąż przed zaklinaczem.

— A ten czwarty raz po co?

— Dla towarzystwa — uśmiechnęła się z zadumą Phyllis. Jakby nie było, dotąd jej towarzystwo składało się wyłącznie z Sylvii Katz.

— Cóż, to wszystko tylko potwierdza naszą tezę: potrzebny ci mąż. Masz o trzech za mało.

— Dla mnie już za późno. Ja mówiłam o was. Ja nie chcę męża! Chcę mieć więcej wnuków.

— Masz już dwoje — przypomniała jej Sharon. — To ci nie wystarcza?

— Tak, Sharon. Ty już swoje urodziłaś — powiedziała Phyllis, po czym zniżyła głos — sprytne kobiety nie rodzą nigdy — dodała gorzko niemal szeptem.

Bruce i Sig wymienili spojrzenia.

— Tylko nie to. Znowu? — mruknęła Sig.

— Myślałem, że mi już darowałaś, mamu — rzekł Bruce — To znaczy, odkąd się wydało.

— Odkąd się wydało! Zrobiłeś z tego taki dramat! Jakbym nie wiedziała od dawna. A któż mi podbierał mascare? I który inny czternastoletni chłopak znał nazwiska wszystkich projektantów obuwia we Francji?

— Wiedziałaś? — zapytał Bruce wstrząśnięty.

Matka skinęła głową.

— Dlatego ten twój interes zmierza donikąd. Homoseksualiści nie potrzebują zabawnych kartek z napisami: wyszedłem z szafy, ani wstawionego Mikołaja na Gwiazdkę. A lesbijkom w ogóle niepotrzebne są takie rzeczy.

Bruce opadł na krzesło.

— Muszę się pozbierać. Jestem tak oszołomiony, że nie mogę jasno myśleć.

— Nigdy tego nie potrafiłeś, Bruce.

— Ale ty zawsze mnie męczyłaś, żebym się ożenił.

Phyllis zniżyła głos.

— Owszem. Ponieważ chcę, żebyś się ustatkował. Znajdź sobie kogoś i zwiąż się na stałe.
— Kiwnęła głową w kierunku Todda, fotografującego Central Park. — On jest zupełnie miły. Czy ja kiedykolwiek twierdziłam, że to musi być dziewczyna? Spójrz na swoje siostry — machnęła uspokajająco ręką w stronę Sig i Sharon. — Nie musicie czuć się winne. Jak na brunetki robiłyście, co w waszej mocy — pocieszyła je.

Pochyliła się do Bruce'a i położyła mu rękę na kolanie.

— Przy nich spieprzyłam sprawę — przyznała półgłosem. — Jak on ma na imię, bo znowu zapomniałam?

— Todd.

— Todd? Pewien jesteś, że jest Żydem?

— Owszem, jest Żydem, ale jest też zbyt młody i prawdopodobnie zbyt głupi. To typ, którego zajmuje głównie własny wygląd. Mocno przypomina Davida Hemmingsa z Powiększenia — stwierdził Bruce. — Nie mylić z remake'iem. Travolta jest cudowny, ale De Palma nie może się równać z Antonionim.

— To żaden grzech być młodym i głupim. Można przy tym być dobrą żoną. Lepszą niż ja byłam. Myślisz o nim na poważnie?

— Mamo, możesz mi dać spokój? Lubię go. Jest miły, ale potrzebuje własnej przestrzeni.

Phyllis potrząsnęła głową.

— Powinnam wynająć strych w Nowym Jorku dla tych wszystkich mężczyzn, którzy potrzebują więcej przestrzeni — powiedziała. Ty i twoja siostra Susan znacie co najmniej tuzin takich. Ty jednak wiesz, jak się dobrze bawić. Teraz byłby czas się ustatkować. Znajdź jakąś gospodynię, która potrafi gotować i przestań się żywić tymi paskudztwami branymi na wynos. Zaadoptuj jakieś ładne chińskie dziecko. Rozumiesz?

— Jeśli tak zależy ci na małżeństwie, dlaczego ty nie wyjdiesz za męża? — zapytała Sig zirytowana. — Dlaczego nie chcesz nas wysłuchać?

— Kochanie, ja już byłam mężatką. Doprowadzałam waszego ojca do szału przez czterdzieści siedem lat. Potem umarł. Myślę, że to wystarczy. Teraz wasza kolej, by doprowadzać innych do szaleństwa.

Utknęli w martwym punkcie. Sig, jak zawsze, próbowała szybko myśleć, by znaleźć jakąkolwiek zachętę, która mogłaby zadziałać.

— Dzieci, chcę, byście wiedzieli: jestem tu dla was. Chcę wam wynagrodzić wszystkie te wieczory, kiedy byliście chorzy, a mnie z wami nie było, wszystkie opuszczone spotkania komitetów rodzicielskich i zbiórki harcerskie, w których nie uczestniczyłam. Chciałabym wam wynagrodzić...

— Mamo — przerwał jej Bruce — rozumiem, że żałujesz pewnych rzeczy. Myślę, że przeżywa to każdy rodzic. Ale możesz nam to wynagrodzić wracając na Florydę.

Phyllis starała się bardzo, by nie wybuchnąć. Było nie było, Bruce został głęboko zraniony. Ira nie poświęcał mu zbytnej uwagi. Ona zresztą chyba też nie. A może poświęciła mu zbyt wiele? Czy ona i Ira uczynili go tym, kim był? Zwróciła się do Sig.

— Mamo — odezwała się jej starsza córka — to dla mnie naprawdę bardzo ważne.

— Dla mnie też — dodał Bruce. Sharon milczała, ale przyglądała się matce tak intensywnie, jakby zależało od tego całe jej życie.

I nagle Phyllis zrozumiała, o co w tym wszystkim chodzi. Była na właściwiej drodze. Dzieci potrzebowały matki, ale to nie było wszystko. Potrzebowały też ojca. To było ich wołanie o pomoc i tym razem musiała je zrozumieć. Nie zawiedzie ich znowu, jak zdarzało się to wcześniej, ani tak jak ją zawiedli jej matka i ojciec.

Ale co pomyśli Ira? Przez całe życie Phyllis nie miała innego mężczyzny poza nim. Czy poczuje się zraniony? I czy jakiś inny mężczyzna będzie chciał z nią być? Rozważyła tę możliwość i zagryzła wargę.

A może — tylko może — gdyby zgodziła się na ten ich, jak go tam zwali, plan, Sig znalazłaby przyzwoitego mężczyznę, Bruce ustatkowałby się w końcu, a Sharon zostawiłaby tego obrzydliwego półgłówka... Phyllis nie była pewna, czy udałoby się jej tego dokonać, ale mogłaby przynajmniej spróbować.

— Przemyślę to — powiedziała w końcu.

— To zgadzasz się? Spotkasz się z którymś z tych facetów? Będziesz dla nich miłą?

— Miła? — zaoponowała Phyllis. — Nie wydaje mi się, bym wspominała coś o byciu miłą.

— Masz rację. Nie oczekujemy zbyt wiele. Będziesz ich zachęcać najlepiej, jak tylko potrafisz?

Phyllis westchnęła.

— Naprawdę miejsce parkingowe kosztuje tu czterysta dolarów miesięcznie? — przerwała w zamyśleniu. — Gdybym nie oddała Sylvii Katz mojego buicka, mogłabym mieszkać w samochodzie. — Przez chwilę przyglądała się parkowi za oknem. — Może zadzwonię do Sylvii.

— Zgadzasz się więc? — zapytała Sig, kiedy milczenie zaczęło się przedłużać.

— Mamo, proszę — przyłączyła się Sharon.

— Dołączę i ja — dodał Bruce.

Boże, kiedy ostatnio jej dzieci zgodziły się w czymkolwiek? To było ważne, niezwykle ważne dla całej trójki. A jeśli można było je uszczęśliwić, jeśli zastępczy ojciec miał spełnić swą rolę, kimże była ona lub taki Ira, by im się sprzeciwić? Phyllis skinęła wreszcie głową.

— A więc zrobisz to? — zapytała Sig.

— Czy papież pisuje bestsellery? — odparła pytaniem.

8

Bruce przyglądał się swojej matce krytycznie, jak zawsze zresztą. Tym razem jednak miał w tym cel. Sig wyposażyła go w pewien zasób gotówki i upoważniła do robienia zakupów na jej rachunek. Tego dnia rozpocząć się miała transformacja.

Po spotkaniu się w hotelu, Bruce z matką szli w dół Piątej Alei, mijając Tiffany'ego, Plażę i Sherry Netherland. Wszystkie wystawy i wejścia do sklepów przyozdabiały nowojorskie dekoracje świąteczne: srebrne tasiemki, girlandki i subtelne chmurki sztucznego śniegu. Jedyne tłum wyglądał ponuro. Bruce patrzył na ich kurtki, obrzydliwe, workowate okrycia i zadrzał. Heteroseksualiści nie mieli pojęcia o dobrym guście.

— Zaczniemy od włosów.

— Moich włosów? A cóż w nich jest nie tak?

— Właściwie wszystko — odparł spokojnie Bruce. — Kolor. Strzyżenie. Ta — Bruce skrzywił się — trwała ondulacja. Dlaczego wszystkie starsze kobiety robią sobie trwałą i farbują ją na blond? Potrzebny nam będzie geniusz — uniósł kosmyk jej włosów. — To gorsze niż katastrofa Hindenburga. I ty nazywasz to fryzurą? I Mojżesz by tego nie naprawił. Musimy się dostać do pogotowia.

— Na Górze Synaj? — zapytała drwiąco Phyllis, nawiązując do Mojżesza, ale Bruce zignorował jej żart.

— U Flexa. Einsteina w dziedzinie koloru włosów.

— Flex? Jego matka nazwała go Flex?

— Jego prawdziwe imię brzmi Angelo. Flex to pseudonim zawodowy.

— Fryzjer o takim imieniu? Nie ma mowy.

— Pójdiesz. Jeśli nam się uda umówić spotkanie.

— Bruce, jeżeli uda mi się spotkać z geniuszem, nie będę z nim rozmawiać o fryzurach. Farbuję swoje włosy od dwudziestu lat i wiem, jak to robić.

— O tak, ty zawsze jesteś ekspertem. Wiesz o włosach więcej niż Flex, koordynator stylu w Teatrze Dramatycznym.

— No cóż...

Bruce, którego gniew nigdy nie trwał długo, czule ujął matkę pod łokieć.

— Mamo, przestań, miałaś współpracować. Jesteś uparta jak Charlton Heston w Ben Hurze. Wiem, że to wbrew twojej religii, ale możesz złamać przykazanie, tylko ten jeden raz.

— Przepraszam cię, ale czy jedno z nich nie mówi o czczeniu ojca swego i matki swojej?

— Owszem, ale nie wspomina o fryzurze matki. Chodź już, przyjaciółko ma. Zabieram cię na Columbus Avenue.

Columbus Avenue stanowiła ciąg nowych sklepów z gatunku tych, do których Phyllis nigdy nie wchodziła. Ich wystawy albo przytłaczały ilością wciśniętych w okno szalonych ekspozycji, albo szokowały pustką, prowokując ograniczone do trzech czarnych koszulek po czterysta dolarów każda. Na ulicy prowadzono jakieś roboty, wszędzie leżały sterty brudnego śniegu, a świąteczny tłum młodych ludzi z łatwością poruszał się wśród chaosu i zimna. Phyllis z niechęcią musiała przyznać, że zarówno temperatura, jak i ludzie tutaj byli dużo chłodniejsi niż

to pamiętała. Kiedyż to ostatnio była w Nowym Jorku zimą? Zaaferowanie, bieganina i ziąb wyczerpywały jej siły. Po przejściu trzech przecznic poczuła wdzięczność do Bruce'a, gdy ująwszy ją pod łokieć wprowadził do cieplej przystani.

No, przystań nie było może zbyt trafnym określeniem miejsca, w którym się znaleźli. Salon piękności nie przypominał tych, do których przywykła. Nie było tu szeregu kobiet siedzących pod dzwonołymi suszarkami. Ogłuszający ryk muzyki z głośników był tak głośny, że Phyllis nie słyszała już niczego innego. Dziwne było także to, że nie słyszała również muzyki. Dochodziło do niej jedynie natężenie dźwięku i sposób, w jaki wokaliści — jeśli można ich tak nazwać — śpiewali. Chude dzieciaki poubierane w czarno-białe stroje biegały tam i z powrotem po wąskim, długim pomieszczeniu zakładu. Napływający wciąż klienci rozmawiali wrzeszcząc, podczas gdy myto i suszono im głowy. Wszystkie stanowiska obramowane były kolorowymi świątecznymi girlandami, fruującymi za każdym razem, gdy włączano suszarkę. Wszędzie migotały małe choinkowe lampki, uzupełniając wściekły blask różowo-niebieskiego neonu okalającego recepcję i poczekalnię. Phyllis nie pasowała do tego miejsca. Zdecydowanie mogło ono doprowadzić do ataku konwulsji.

Jednak to nie wrzaskliwe konwersacje ani światła dezorientowały najbardziej, ale ten piekielny, ogłuszający hałas z radia, magnetofonu czy co to tam było. Grzmiał w uszach, wdzierając się do mózgu. Phyllis nie podobało się to wcale. Było nie było, zawsze szczyliła się przytomnością swego umysłu. Nie była jedną z tych zbzikowanych staruszek jak Sylvia Katz, które nie bardzo wiedziały, co się wokół nich dzieje. Teraz przyobleczono ją w kimono, obłano włosy szamponem i jakimiś chemikaliami, spłukano i nałożono na nie odżywkę i Bóg wie co jeszcze, a ona wciąż nie rozumiała, o czym była ta przeraźliwie głośna piosenka. Przestała myśleć i skupiła się na słowach.

— Czy oni śpiewają “Hot tramp, I love you so?” — zapytała.

Bruce, pochłonięty krzykliwą konwersacją z Flexem, spojrzał na nią. Przechylił głowę i bez wysiłku wsłuchał się w muzykę.

— Tak, to Bowie. “Rebel, Rebel”.

— Lubi go pani? — zapytał Flex.

— A kto to jest? To ktoś nowy?

Mężczyźni roześmiali się.

— Mamo, to znana gwiazda rocka. Gra od zawsze. Wiesz, od Ground Control po Majora Toma.

Phyllis nie miała pojęcia, o czym on mówi, ale skinęła głową. Zastanawiała się, czy tak czuje się ktoś, kogo dotknęła choroba Alzheimera. Była zmęczona. Musiała przyznać, że pomimo swego temperamentu i chęci, nie miała już tyle wigoru co kiedyś.

Cóż, ma prawie siedemdziesiąt lat, mruknęła do siebie. Czego oczekuje? Te dzieciaki — zdawało się, że nikt w salonie nie przekroczył trzydziestki — te dzieciaki słuchały swojego Franka Sinatry i wykorzystywały własną energię dokładnie tak samo, jak ona robiła to przed laty. Nie ma czego żałować. Nic nadzwyczajnego.

Muzyka nabrała rapowego rytmu. Phyllis usiłowała się wsłuchać. Miała właściwie wrażenie, że to “Jingle bells”, ale takt był tak dziwny, iż nie była pewna, czy dobrze słyszy. Westchnęła.

— Jeszcze tylko chwilkę — powiedział łagodnie Flex. — Czy jest pani zadowolona z koloru?

Phyllis wzruszyła ramionami. Nie widziała swego odbicia w lustrze, mimo że zakrywało ono przed nią całą ścianę od sufitu do blatu. Nie chciała jednak prosić o zwrot okularów, które Flex zdjął jej przed myciem włosów, ponieważ Bruce nie zamierzał ich jej oddać. Dał jej to wyraźnie do zrozumienia.

Zmrużyła oczy i spojrzała w lustro.

— Bardzo ładny — powiedziała, czując się nieco ogłuszona tym wszystkim.

Flex uściśnął ją lekko za ramię. Był naprawdę miłym chłopcem, no i nie nazywał się Flex. Miał na imię Angelo, a wszystkie inne dzieciaki tutaj miały takie przedziwne, przybrane imiona: Lód i Burza, Prąd i Grzejnik. Dlaczego, zastanawiała się Phyllis, dzieci zmieniały swoje imiona? Dlaczego Susan nalegała, by nazywać ją Sigourney? Bolało ją to. Paskudne imię. Susan było takie ładne. Dlaczego oni chcą, żeby nazywać ich Sig czy Flex, czy też Grzejnik? Imię otrzymuje się od matki. Jakby nie było, nie jest łatwo urodzić, a nadanie imienia jest tylko małą rekompensatą za ofiarowanie komuś życia. Westchnęła ponownie, czując ciężar swych sześćdziesięciu dziewięciu lat.

Jakby w odpowiedzi na jej westchnienie, Flex poklepał ją delikatnie po ramieniu.

— Gotowe — oznajmił. — No i jak?

Patrzyła w kierunku lustra, w dalszym ciągu nic nie widząc.

— Niewiarygodne — powiedział Bruce. — Flex, jesteś geniuszem.

Po czym wręczył matce okulary. Z lustra przyglądała jej się jakaś kobieta, lecz Phyllis — ze zmęczenia czy oszołomienia — nie rozpoznała w niej samej siebie.

— Mój Boże — odezwała się wreszcie. — Nieźle, jak na kobietę po sześćdziesiątce.

— Prawda. A nawet tuż przed siedemdziesiątką.

— Ma pani siedemdziesiąt lat? Naprawdę? — zapytał Flex.

— Sześćdziesiąt dziewięć — fuknęła. Siedemdziesiątka przerażała ją. Unikając ich wzroku skupiła się na własnym odbiciu w lustrze.

Jej włosy zmieniły totalnie swój wygląd. Zamiast zaondulowanego kopca koloru blond, który dotąd nosiła na głowie, teraz pojawiła się gęsta, prosta, srebrzysta korona. Potrząsnęła głową. Włosy poruszyły się wokół twarzy, pozostawiając na policzkach delikatne kosmyki, które leciutko podwijały się w kierunku brody. Patrzyła, omal nie otworzywszy ust ze zdumienia. Lekka grzywka zakrywała zmarszczki na czole. W jakiś sposób kolor czy też sama fryzura sprawiały, że i cera wydawała się jaśniejsza.

Oczy Phyllis omal nie wyszły z orbit. Wciąż miała pomarszczoną szyję i wciąż wyglądała jak starsza pani, lecz nie tak stara i jakaś bardziej... dystygowana. Zamrugała pod szklami.

— Nie podoba się pani? — zapytał Flex/Angelo z troską w głosie.

Ten chłopiec naprawdę lubi swoją pracę, stwierdziła już po raz drugi. Jednak wciąż nie mogła wykrztusić z siebie słowa. Wpatrywała się dalej w swoje odbicie, tym razem przechylając głowę w jedną stronę. Włosy z obu stron opadły, tworząc jakby kaskadę. Usiłowała sprecyzować, czego właściwie dokonała ta zmiana. Nie wyglądała przecież młodziej, a jednak jakby... Zastanowiła się. Wyglądała tak, jak starsze, bogate kobiety. Phyllis nigdy nie była piękną, nie była nią także teraz, niemniej jednak poczuła się odmieniona.

— Bergdorf? Bruce, czy ty oszalałeś? Nie wystarczy ci, że wydaliśmy fortunę na moją fryzurę? — Ze wszystkich sklepów w Nowym Jorku Bergdorf Goodman był najbardziej elegancki, a teraz, na dwadzieścia dni przed Bożym Narodzeniem, wypełniała go wytwornie ubrana klientela. Zdecydowanie nie był to Saw Grass Mall.

— Musisz mieć co na siebie włożyć, mamo.

— Ja mam co na siebie włożyć. Mam dużo ubrań. Zajrzyj tylko do moich walizek.

— Już to zrobiłem. To przerażające. Nie wiedziałem, że wciąż szyją żakiety naugahyde. Nie masz nic. Ani jednej przyzwoitej rzeczy. To nie jest Collins Avenue.

— Czego mi wobec tego brak? — zapytała Phyllis.

— Po pierwsze, nie masz ubrania sportowego.

— Sportowego? Na cóż mi sportowe ubranie? Czy ja wyglądam jak Andre Agassi?

Bruce zatrzymał się przy fontannie przed hotelem Plaza i zmierzył matkę zimnym spojrzeniem.

— Wiesz, jak niestosowne jest ranne wyjście po bułki w jednej z tych twoich starych sukienek koktajlowych?

— A dlaczego? Recykling jest teraz modny, nieprawda? Zresztą, jeśli nawet potrzebuję czegoś, dlaczego nie możemy pójść do Loehmanna?

— Ponieważ, droga matko, obecnie u Loehmanna sprzedaje się rzeczy, które na nikim nie wyglądały dobrze u Bergdorfa w zeszłym sezonie — przerwał i spojrzał ponad fontanną na hotel. — To miejsce, w którym Barbra Streisand wpadła na Boba Redforda w *The Way We Were* — powiedział, wzdychając. — Jakie to wzruszające.

— Wzruszające? On był wyjątkowym bufonem, a ona idiotką, że tego nie zauważyła.

Bruce przeciągnął Phyllis obok zespołu Armii Zbawienia grającego kolędy i wepchnął ją w obrotowe drzwi. Wpadli prosto w wir świątecznych zakupów. Bruce wrzucił do puszki pięć dolarów z pieniędzy Sig. Ustawivszy matkę na ruchomych schodach, obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

— Wiesz, mamó, kiedy pozbyliśmy się tej okropnej fryzury, pomimo tego straszliwego makijażu i przerażającego ubrania wyglądasz naprawdę nieźle.

— Dziękuję ci, mój drogi — odparła zimno. — Brak mi słów, by wyrazić mą wdzięczność za twe uznanie.

Bruce wszedł o stopień wyżej, by zyskać pewien dystans i zmrużył oczy.

— Patrzę na Phyllis Geronomous — wymruczał — lecz widzę Carolinę Herrera.

Zeszli ze schodów na piętro projektantów mody. Phyllis zatrzymała się przed jednym z manekinów, przyobleczonego w jardy tiulu i jedwabiu.

— Sutki? Manekiny mają teraz sutki?

— Wielka rzecz — wzruszył ramionami Bruce, ujmując ją pod rękę.

Wyrwała się i stała jak wryta, wpatrując się w manekiny z niesmakiem.

— Poczekaj, jeśli chcą być tak anatomicznie dokładni, to gdzie są wałeczki na brzuchu i okrągłe biodra? — zapytała z goryczą i wskazując na nogi manekinów, dodała — Gdzie żyłaki, halluksy i płaskostopie?

— Boże! Oszczędź mnie! — wykrzyknął Bruce. W tej chwili najbardziej właśnie potrzebował tego rodzaju scen. I to na środku ekskluzywnego sklepu ze strojami wieczorowymi.

Phyllis jednak potrząsnęła tylko głową.

— Ameryka nienawidzi kobiet takimi, jakie są naprawdę — powiedziała ze smutkiem.

— Nieprawda. Spójrz na gwiazdy filmowe. Spójrz na modelki. Kobiety robią większe pieniądze, stoją wyżej na świeczniku... — ponownie ujął ją pod ramię i zaczął holować w pożądanym kierunku.

— Och, daj spokój! Mężczyźni mają władzę nad wszystkim, nie zapominaj o tym. Są właścicielami wszystkich programów telewizyjnych czasopism, które kobiety wydają, do których piszą i które czytają. Wybierają parę mutantów, które genetycznie są kobietami i służą jako wabik by upokorzyć resztę z nas. Nie znoszą starszych kobiet. Nienawidzą obwisłości i menopauzy. Starych brzuchów. Starych rzeczy. Mężczyźni, obojętnie jak starzy, łyśi czy grubi, uważają, że są wspaniali. W przeciwieństwie do kobiet, nie mają zegara biologicznego. Dlatego też nie wiedzą, która, do cholery, jest godzina. Zaprzeczają śmierci.

Bruce, trzymając ją pod łokieć, z trudem zdołał oderwać ją od manekina i pociągnąć za sobą przez labirynt pełnych wieszaków z odzieżą. Dotarli do części jednego ze stojaków, do której zmierzał Bruce.

— To mogłoby być nieźle — powiedział, siłąc się na beztronski ton i podnosząc do góry wieszak z czarną satynową suknią. — Satyna robi furorę w tym roku.

— Eee. Zbyt nudna. Wolę coś ciekawszego.

— To Karen Kahn. To nie jest nudne, mamó, to klasyczne

Podeszła do nich młoda, szczupła ekspedientka.

— Czy mogę w czymś pomóc?

Bruce uśmiechnął się do niej.

— Szukamy kreacji wieczorowej. Może czegoś z czarnej satyny. — Spojrzał w dół na lekko wystający brzuch matki. — Z baskinką — dodał.

— Mam coś akurat dla pani — powiedziała kobieta z ożywieniem. Podeszła do innego wieszaka i uniosła czarną, ozdobioną paciorkami suknię z żakietem. — Escada.

— Czarna. Dlaczego czarna? — zapytała Phyllis. — Nikt nie umarł. Przynajmniej jeszcze nie. A cóż jest złego w kolorach? Dodajmy życiu barw.

— Świetnie. Pewnie chciałabyś coś w zieleni i czerwieni. Chcesz wyglądać jak gwiazdkowy elf — psychopata? — jęknął Bruce. Przyłożył do niej suknię. Phyllis spojrzała na metkę z ceną.

— O mój Boże, Bruce! To więcej niż całoroczna emerytura twojego ojca!

Bruce oparł ręce na biodrach.

— Dlaczego zawsze sięgasz najpierw po cenę? Jeszcze kiedy byłem dzieckiem, cokolwiek chciałem, zawsze najpierw pytałaś ile?! Nawet nie spojrzałaś na tę suknię.

Sprzedawczyni przenosiła wzrok z jednego na drugie, czując, że jej wizja szybkiej sprzedaży ulatnia się.

— Zostawię państwa samych, — powiedziała — proszę się nie spieszyć.

— To właśnie jest w tobie takie beznadziejne! — ciągnął Bruce z goryczą. — Nigdy nie liczyła się jakość, zawsze cena. Kiedy miałem jedenaście lat i chciałem dostać dwie perfekcyjne koszulki od Izoda, ty kupiłaś mi dwanaście w J.C.Penney!

— Bruce, w Del Roy można by za to kupić futro!

— O tak, ale w futrze z Del Roy czułabyś się jak Kopciuszek. W tym poczujesz się jak Greer Garson z Mrs. Miniver. Będziesz królową.

— Czy jedna królowa w rodzinie nie wystarczy? — westchnęła.

Zacisnął usta i wsparł ręce na biodrach.

— Matko, czy ty nigdy nie zamierzasz ustąpić?

— Nie. — Phyllis była niewzruszona. Jej syn zamilkł, niecierpliwie stukając nogą w podłogę. — Bruce, nie zamierzam przymierzyć sukni, która kosztuje cztery tysiące siedemset dolarów. Nie i już.

Spojrzał w sufit, jakby szukał tam pomocy.

— Dobrze więc — powiedział. — Spróbuję jeszcze raz. Wydaje mi się, że nie zrozumiałaś istoty całego przedsięwzięcia. Widzisz, aby wydać się atrakcyjną komuś, kto ma pieniądze, musisz wyglądać tak, jakbyś też je miała. Nie myśl o tym jak o rozrzutności, potraktuj to jako inwestycję w przyszłość.

— Moja przyszłość nie będzie tak długa, by zamortyzować kieckę za cztery tysiące siedemset dolarów.

— Twoja może nie, ale moja owszem, a jeśli nic się nie zmieni, moje bankructwo już wkrótce będzie faktem. — Spojrzał na nią, po raz pierwszy z powagą na twarzy. — Mamo, ta firma wiele dla mnie znaczy. Naprawdę. Zatrudniam trzy osoby, a zaczęło się od mojego mieszkania. Zaszedłem już tak daleko. Tak dobrze mi szło. I wtedy ten sukinsyn...

Phyllis spojrzała na niego podejrzliwie.

— Wziąłeś pożyczkę z banku? Spłacasz ją?

— No... pożyczkę. Niezupełnie z banku. Banki nie udzieliłyby mi kredytu po zniknięciu Billa. Musiałem pożyczyć od pewnego człowieka imieniem Lefty. Prowadzi interesy.

— I założę się, że nie ma żadnych zasad — mruknęła i potrząsnęła głową — Bruce, Bruce, Bruce.

Po czym, poddając się, podażyła za synem do przebieralni.

Wnętrze przebieralni na trzecim piętrze domu mody Bergdorfa wyglądało co najmniej dziwnie. Na podłodze leżał zmięty wyszywany cekinami żakiet za trzy tysiące dolarów. Turkusowa suknia z dopasowanym kolorystycznie szalem z włoskiego jedwabiu wisiała smętnie na jednym ramiączku, kłując w oczy czterocyfrową ceną na bujającej się metce. Podłogę i

wieszaczki zaśmiewała taka ilość wybrakowanej odzieży, która mogła rywalizować ze stosami zalegającymi mieszkanie Bruce'a .

Udająca skórę leoparda obcisła suknia bez ramiączek z dopasowanym bolerkiem przerzucona była przez jedno z dwóch niewielkich, tapicerowanych krzeseł. Na drugim siedział Bruce, spokojny już i rozpromieniony.

Wyczerpana do cna Phyllis resztką sił wbijała się w kolejną suknię, tym razem czerwoną, wykończoną złotą lamówką i złotymi guzikami. Spojrzała w lustro.

— Bez-na-dziej-ne. Święte Dzieciątko Jezus! Czemu mam wyglądać jak Nancy Reagan?

Bruce mierzył ją wzrokiem od stóp do głów, całkowicie ignorując jej komentarz. Zwrócił się do obsługującej ich kobiety:

— Wie pani co? W zasadzie nie jest to takie złe. Może trochę za bardzo w stylu St. Johna. Za dużo guzików. Chciałbym coś gładszego. Nie Adolfo, a Lacroix wykonany przez Calvina Kleina.

Ekspedientka znieruchomiała na dłuższą chwilę.

— Po jakimu ty mówisz? — zdumiała się Phyllis.

Bruce siedział w milczeniu, kobieta również nie odpowiedziała. Zdawali się porozumiewać na jakieś innej częstotliwości.

— Myślę, że dokładnie wiem, o co panu chodzi — powiedziała w końcu sprzedawczyni.

— To jest pani pierwszą — mruknęła Phyllis, siadając na drugim z krzeseł w oczekiwaniu na kolejną fazę swej transformacji.

— Moja misja wypełniona! Boże, jestem wykończony — powiedział Bruce swoim siostrom, opadając bez sił na fotel. Rzuciwszy na podłogę stos błyszczących toreb z zakupami, zapalił papierosa.

— Ile wydałeś? — zapytała nerwowo Sig.

— Nie obawiaj się. Stać cię na to.

— Gdzie jest mama? — chciała wiedzieć Sharon.

— Powiedziała, że potrzebuje drinka. Została w barze.

— Drinka? Przecież ona nie pije — zdumiała się jego siostra.

— Mówiłam ci, żebyś nie zostawiał jej samej — dodała Sig.

— Nie jest dzieckiem — bronił się Bruce. — Wszystko jedno, jest tu w hotelu.

— Samotnie pijąc drinka? Myślisz, że robiła to tam, na Florydzie?

— Podejrzewasz mamę o alkoholizm? Ha! to najmniejszy z naszych problemów. Chciałbym, żeby piła. Może byłaby mniej złośliwa. Nic nie daje tak przyjemnego złudzenia, że świat jest piękny, jak gin z tonikiem o czwartej czy piątej po południu. Gdybyśmy potrafili określić jakoś naszą matkę, moglibyśmy wstąpić do jakiegoś Towarzystwa Pomocy. No wiecie, jak na przykład Stowarzyszenie Dorosłych Dzieci Alkoholików.

— O tak. To byłaby wielka pomoc — powiedziała z goryczą Sig. — Najpierw jednak musimy postawić diagnozę. Co powiecie na Stowarzyszenie Dorosłych Dzieci Skrajnie Irytujących, Upartych i Sarkastycznych Matek, które Wracają Znienacka?

— Trochę za długie, ale możemy użyć akronimu — roześmiał się Bruce. — Nie masz pojęcia, przez co przeszedłem u Bergdorfa.

— Daj spokój Bergdorfowi, gdzie jest mama? — piskliwie zapytała Sharon. — Zgubiłeś ją!

— Wiesz co, jeśli nie podoba ci się, jak wykonuję moją pracę, zrób to sama.

— Ja zajmuję się poszukiwaniami.

Oboje spojrzeli na Sig, jak gdyby ona pozostawała bez zajęcia.

— Owszem, a ja pracuję, by zarobić na całe to przedsięwzięcie — przypomniała im.

Wszyscy troje popatrzyli na siebie z rezygnacją. Jakież to było znajome. Sig miała przez chwilę wrażenie, że przeżywa déjà vu. Nastąpiła chwila milczenia, która mogła skończyć się

dwojako: albo zaczną kolejną, niekończącą się, dziecinną sprzeczkę, albo zjednoczą swe siły. Tym razem to Sig postanowiła podjąć heroiczny wysiłek.

— Chodźmy poszukać mamy — powiedziała.

Tak też zrobili.

9

Kiedy już wybrali kandydata, Sig zaczęła intensywnie działać. Zdobyła trzy bilety na Zimowy Bal Krainy Czarów, wydawany w hotelu Plaza. Jej firma miała tam swój stolik, ale Sig udało się dzięki tuzinowi telefonów do ludzi, którzy niespecjalnie ucieszyli się słysząc jej propozycję, przesunąć miejsca ich trojga do stolika jedenastego, przy którym miał siedzieć Bernard Krinz. Jeśli oczywiście przyjdzie. Podczas świąt, szczytowego punktu sezonu zabaw w Nowym Jorku wiele osób kupowało bilety, lecz nie korzystało z nich, przedkładając spędzenie tego czasu na Karaibach. Sig sama też by wołała wyjechać. W złotych latach osiemdziesiątych również tam bywała: było to jednak dawno temu, a teraz nastąpiły zdecydowanie gorsze lata dziewięćdziesiąte.

Obecnie, na dzień przed balem, pozostało im jedynie przekonać Phyllis, po czym przedstawić ją Bernardowi lub też jakiemuś innemu przyzwoitemu, bogatemu durniowi. Później należy zaciągnąć go do "Pierre'a", puścić machinę w ruch i mieć nadzieję, że strzała Amora nie chybi celu. Musieli rzucić na tego biedaka urok, stworzyć wrażenie, że Phyllis Geronomous jest bogatą, czarującą i wolną kobietą z dużą klasą. Strzał miał daleki zasięg, ale Sig była wprawiona w walkach, w których szanse były nierówne. Będą musieli wykorzystać tę okazję do maksimum.

Sig wpadła do "Pierre'a" w piątek przed pracą. Padający deszcz ze śniegiem przemoczył ją niemal całkowicie. Miała jedynie nadzieję, że nie zniszczyła sukienki, którą przytargała tu ze sobą wraz z całą resztą potrzebnych akcesoriów. Stwierdziła, że wprawdzie Bruce'a i Todda jeszcze nie ma, ale jest już Sharon, która wprost z pociągu z Westchester pojawiła się w hotelu.

Sharon przyniosła torbę niemal tak wielką jak ona sama. Zamiast wieczorowej kreacji zawierała ona jednak szczegółowe wyniki jej badań. Wyciągając kolejne segregatory, wybrała jeden i otworzyła go.

— Nazywa się Bernard Krinz. Architekt — wyjaśniła matce. — To znaczy, zaczynał jako architekt, później rozszerzył działalność i jest przedsiębiorcą budowlanym. Zbudował biura Thompсона przy Wschodniej Pięćdziesiątej Piątej, zresztą nie tylko; jego dziełem są przede wszystkim biura, niemal tuzin firm ze „Szczęśliwej Setki”. To on wybudował nowe skrzydło w Muzeum, no wiesz, to, o którym tyle się mówiło. Tu mamy zdjęcia tych budynków. Niezależnie od tego, co zarobił, miał też pieniądze, które odziedziczył. I jakby nie dość na tym, osiem lat temu zmarła jego żona i zostawiła mu spory majątek. Nie mieli dzieci, a on nigdy nie ożenił się powtórnie. — Sharon przesunęła palec w dół kartki z notatkami. — Jego wartość netto wynosi około pięćdziesięciu milionów dolarów. — Wyjęła jakiś wycinek z gazety i podała go siostrze. — Tu jest jego zdjęcie.

Sig spojrzała na fotografię. Jakby to powiedział Bruce ze swoją filmową obsesją, zdecydowanie nie był to Gary Cooper z Fountainhead. Ale cóż, jej matka też nie była Patricią Neal.

— Twój architekt, Pan Majętny — oświadczyła, podając jej zdjęcie.

Phyllis obejrzała zasuszoną twarz, łysą głowę i wąskie oczy swego kandydata.

— Jak dla mnie, wygląda jak Frank Lloyd Beznadziejny. Oo, nie! Nie ma mowy.

— Mamo! Obiecałaś, że przynajmniej spróbujesz. Nawet go nie poznałaś.

— Nie muszę.

— Następny jest John Glendon Stanford. Ma osiemdziesiąt osiem lat, ale nigdzie nie znalazłam jego zdjęcia — powiedziała Sharon.

— Ten będzie idealny! Jedną nogą w grobie, a drugą na skórce od banana. Możemy sobie doskonale wyobrazić, jak wygląda — dorzucił Bruce, stając w drzwiach. On i Todd przytargali ze sobą wór kosmetyków, suszarek, szczotek i Bóg wie, czego jeszcze. Mieli dokonać przeistoczenia Kopciuszka.

Sharon zignorowała słowa brata.

— No i jest jeszcze Robert Himmelfarb. Młodszy od Stanforda, ale mniej wart.

— Jeśli naprawdę muszę... — zaczęła Phyllis.

— Chcesz, byśmy poukładali sobie życie? — przerwał jej Bruce. -Mnie potrzebna jest ręka ojca.

— A więcej wnuków? Tego też chciałaś? — dołączyła się Sig. Czasami Bruce bywał przebiegły. — Nie miałaś dla nas czasu, kiedy byliśmy dziećmi. Teraz za to pójdziesz na ten bal i spotkasz się z tym facetem.

Phyllis westchnęła.

— No, to jedziemy dalej — zarządziła Sig. Machina poszła w ruch, należało zacząć przygotowania.

— Teraz powtórka: co to jest kroksztyn? — zapytał Bruce.

— Skrzyżowanie krokodyla z bursztynem.

— Mamo, przestań. Skoncentruj się. — Sharon przez cały ranek uczyła Phyllis terminów architektonicznych. — Kroksztyn to zakończenie belki stropowej wysunięte przed lico muru lub wspornik podtrzymujący balkon.

— W porządku. Jeśli tak twierdzisz — wzruszyła ramionami Phyllis.

— Co to jest ząbek?

— Mały ząb? Albo może syn kroksztyna?

— Mamo! Czym chcesz zaimponować Krinzowi, jeśli jesteś taką ignorantką w dziedzinie architektury?

— Moją kosztowną fryzurą.

— Co to jest Bauhaus? — nie ustępowała Sharon.

— Kroksztyn, ząbek i Bauhaus z kluskami to rzeczy, które uwielbiam pasjami — zaśpiewała Phyllis, parodiując Marię z *The Sound of Music*. Po twarzy Sharon nie przemknął nawet cień uśmiechu. W jaki sposób udało jej się wychować córkę tak kompletnie pozbawioną poczucia humoru, stanowiło dla Phyllis nieprzeniknioną tajemnicę.

— Czy ty nie przestaniesz! Spoważnij w końcu i skoncentruj się! — jęknęła zrozpaczona Sharon. — Tu są dane o jego budynkach. Czy możesz przynajmniej to przejrzeć?

— Budynki! Wyglądają jak roztopione lody.

— Jeszcze jedna rzecz. Krinz uwielbia operę. Jest prawdziwym fanatykiem w tej dziedzinie.

— Nie ma mowy, na to nie pójdę — stwierdziła zdecydowanie Phyllis.

— Teraz już wiesz, przez co przeszedłem — powiedział Bruce, opróżniając wraz z Toddem siatki. Phyllis pamiętała, by uśmiechnąć się sympatycznie do tego chłopca. Był miły. Co za różnica, czy odnosił sukcesy? Byłby dla Bruce'a dobrą partią, a fotografowanie mógłby traktować jak hobby.

— Czas na charakteryzację! — zawołał Bruce. — Todd mi pomoże.

Był sobotni wieczór, niemal godzina zero. Sig krążyła nerwowo po pokoju, czekając na pojawienie się matki. Sharon siedziała na kanapie, gryząc orzeszki. Nie powinniśmy tego robić, pomyślała Sig. To śmieszne. Tracę czas i pieniądze.

— Czy jesteście prawie gotowi? — zawołała w kierunku łazienki, jak jej się zdawało, po raz pięćdziesiąty.

— Prawie! — odkrzyknął śpiewnie Todd.

Sig wygładziła spódnicę. Od tego chodzenia bolały ją stopy. Będzie wymięta i wykończona nerwowo jeszcze zanim pójdą na to przyjęcie.

— Nie wiem, dlaczego ja nie mogę iść z wami — powiedziała z żalem Sharon, wsypując do ust kolejną garść orzeszków. Muszą mieć co najmniej z tysiąc kalorii, pomyślała Sig. Sharon była niemożliwa.

Sig spojrzała na zegarek.

— Spóźnimy się! — zawołała.

— To w dobrym tonie — odparł Bruce, wchodząc do pokoju. — Tra ta ta ta! — zapowiedział wejście gwiazdy.

— O mój Boże.

Phyllis Geronomous stanęła w drzwiach łazienki. Sig parzyła na nią wytrzeszczonymi oczami; Sharon w zdumieniu otworzyła usta.

— Czy to moja matka? — zapytała.

Phyllis wykonała powolny obrót.

— Jestem gotowa na sesję, panie DeMille — powiedziała.

Todd zrobił jej zdjęcie. Satynowy żakiet wraz z obcisłą suknią miał niesprecyzowany kolor, coś pomiędzy lawendowym a szarym. Kiedy się obracała, kosztowny materiał połyskiwał delikatnie w najbardziej matowy, subtelny sposób. Włosy Phyllis, kiedyś uklepane w blond stożek, teraz spływały w eleganckiej fryzurze “na pazia”, kolorem przypominając srebro. Nieskazitelnym makijaż był tak dyskretny, że niemal niewidoczny, nadawał jednak jej cerze matowy blask, który rywalizował z połyskiem jej sukni. W miejsce turkusowych cieni do powiek i rażącej fioletowej szminki, nad jej oczami pojawił się jakby wrzosowy cień, delikatny i tak naturalny, że podkreślał jedynie głębię spojrzenia i mógł być wzięty za kolor jej oczu — gdyby taki miała. Jej usta błyszczały, choć ich kolor także zdawał się być wyłącznie barwą zdrowych warg. Duży — nawet bardzo duży — sznur szarych pereł zakrywał ślady, które niszczycielski czas zostawił na jej szyi. Blask bił jedynie z diamentowego zapięcia naszyjnika, sztywnie przesuniętego na bok, oraz z migoczących przy uszach kolczyków.

— O mój Boże! — powtórzyła Sig. Z trudem oderwała wzrok od zjawiska i spojrzała na stojącego z tyłu, promieniejącego z dumy brata. — Jesteś geniuszem. — Bruce oblał się rumieńcem, Sig jednak była zbyt zafascynowana matką, by to zauważyć.

Nogi Phyllis okrywała jedwabna siateczka, która podkreślała łagodny połysk sukni. Całości dopełniały pantofle. Bardzo kobiece sandały z paseczków; były jednocześnie dystyngowane, wyraźnie drogie i niezwykle seksowne.

— Czy to są blahniki? — zapytała Sig niemal bezgłośnie. Sześćset dolarów za parę.

— Mogą przyprawić o kalectwo — przyznała Phyllis. — Czuję się jak ulubiony koń lady Astor.

Bruce przybrał znów swoje filmowe spojrzenie.

— Dokładnie tak, jak w *My Fair Lady* — wyszeptał. — No wiecie, kiedy Audrey Hepburn wygląda jak anioł, a mówi wciąż jeszcze jak dziecko ulicy.

— Ładnie mówisz o swej matce — stwierdziła Phyllis i przeszła przez pokój, by wziąć leżącą na stole torebkę.

Nawet w jej sposobie chodzenia zaszła jakaś pigmalionowa zmiana. Czy to za sprawą pantofli? — zastanawiała się Sig. A może jej matka chodziła inaczej, ponieważ czuła się inna? Phyllis niemal... płynęła w powietrzu.

— Czy możesz zrobić to samo ze mną? — zapytała brata. — Może mogłabym wtedy poznać jakiegoś przyzwoitego faceta.

Bruce skinął głową z entuzjazmem.

— A ze mną? — zapytała Sharon, wychodząc z transu.

— Nie da rady — odparł Bruce. — Jestem artystą, nie czarodziejem.

— Bruce, bądź miły — ofuknęła go Phyllis. Z torebką w dłoni odwróciła się od stołu i przyjrzała się swojej najstarszej córce.

— Cóż tak ascetycznie, ta spódnica powinna być krótsza — powiedziała, mierząc Sig krytycznym wzrokiem. — Nigdy nie zakładaj białej góry i czarnego dołu na takie okazje. Wezmą cię za obsługę.

Sig spojrzała na swój czarno-biały komplet z Moschino Cheap&Chic. Boże, czasami naprawdę miała ochotę udusić własną matkę.

— No, dobrze. Co teraz? — zapytała Phyllis.

— Teraz zabieramy Kopciuszka na bal, gdzie pozna swojego księcia — odparł Bruce.

10

— Moja pokojówka nazywała się Steen. Wyobraża pan to sobie? Phyllis Steen. Twarz architekta nawet nie drgnęła.

— Z tych Steenów z Cincinnati? Wybudowałem dla nich dom. Mieli udziały w przemyśle stoczniowym.

— Nie, ze Steenów w Bushwick. Ci mieli tylko kłopoty.

— Słucham? — nie zrozumiał Bernard Krinz. Wyglądał na zdezorientowanego. Phyllis wzniosła oczy do góry.

— To był żart, Bernie.

— Bernard.

Sig poprawiła się na krześle. Zimowy Bal Krainy Czarów przemienił i tak przepiękną salę balową w hotelu Plaza w świąteczną wiedeńską pocztówkę. Żyrandole obwieszono sztucznymi sopłami lodu, a stoły udekorowano małymi makietami modrego Dunaju, pełnymi drobniutkich figurek łyżwiarzy. Zespół grał wyłącznie walce. Poza tym nic jednak nie toczyło się tak, jak powinno. Po przybyciu do hotelu, zajęli miejsca, upewniwszy się, że Phyllis będzie siedziała koło Krinza, który pojawił się bez obstawy. Konwersacja jednak, jak dotąd, składała się z chybionych żartów, gaf i nieporozumień.

— I cóż, Bernie, zdecydował się pan przejść wcześniej na emeryturę? — zapytała Phyllis. Po twarzy Sig przemknął grymas.

— Bernard — poprawił ją ponownie Krinz. Wolałbym, by nazywano mnie Bernardem.

— Dlaczego? — zainteresowała się Phyllis. — Spójrzmy prawdzie w oczy, Bernie też nie jest cudowne, ale Bernard! Nie wyobrażam sobie kobiety, która mogłaby wykrzyknąć takie imię w chwili namiętności.

Krinz odwrócił się do Sig, która, jak mogła, starała się ratować sytuację.

— Moja matka podziwia pańskie dzieła — powiedziała. Architekt nawet nie mrugnął. — Ma naprawdę imponujące portfolio na ten temat — plotła dalej, pragnąc rozpaczliwie podtrzymać konwersację. — Najlepszy przyjaciel mojego brata chce wydać album ze zdjęciami niektórych z pańskich budynków. — Miała zamiar opowiadać o tym, że Phyllis zbiera fotografie wybudowanych przez niego domów, ale weszły jej w paradę nawyki zawodowe z Wall Street. Krinz źle ją zrozumiał i odwrócił się natychmiast do Phyllis.

— Och, więc zajmuje się pani rynkiem? Mnie to również fascynuje.

— Rynek? Nie. Ja kupuję to, czego mi potrzeba i wynoszę się do diabła.

— Ach, więc jest pani hazardzistką?

— Czy my rozmawiamy o zakupach, czy o grze w karty? — zapytała, chwilowo stropiona, Phyllis.

— Ja mówię o pani portfelu bankowym.

Phyllis wzruszyła ramionami.

— Och, o tym. To dzieci się tym zajmują. Dla swoich badań. Ja nie wiem nawet, co tam jest.

— Doprawdy? Nie sądzę, by to był dobry pomysł. Pani ma z całą pewnością niezwykle wyczucie stylu. Czy ta suknia to Lacroix? One nie bywają tanie — przerwał. — Wie pani, wiele osób uważa, że ci z nas, którzy zajmują się sztuką użytkową, nie potrafią być praktyczni w życiu. Ja jednak jestem dumny z niewielkich inwestycji, które poczyniłem i które przynoszą mi zyski. Nie twierdzę, że jestem profesjonalistą, ale z wielką przyjemnością obejrzałbym pani portfolio, gdyby pani zechciała.

— Nie ma mowy — odparła Phyllis i w tej samej chwili ze strony, z której siedział Bruce poczuła kuksańca w bok. Jej syn nachylił się i zwrócił do Krinza:

— Moja matka byłaby zachwycona. Ciągłe jej powtarzamy, że powinna bardziej interesować się rynkiem.

— A kiedy ty mi to mówiłeś? To ty przecież zawsze każesz mi wyrzucać kupony!

— Wyrzucać kupony? — powtórzył Bernard, szczerze zaniepokojony. Moja droga, pani naprawdę potrzebuje pomocnej dłoni.

— To samo twierdzą moje dzieci, wie pan?

Siedzący po drugiej stronie stołu przystojny starszy mężczyzna roześmiał się. Wyglądał na jakieś siedemdziesiąt lat. Twarz miał pięknie opaloną, na głowie gęstą, siwą czuprynę, niebieskie oczy, szlachetny profil i, jak zauważyła Sig, jasnowłosą dziewczynę u boku. Wyglądała na nastolatkę. Phyllis zmrużyła oczy i przyjrzała się uważnie mężczyźnie i jego bardzo młodej towarzysze.

— Mam nadzieję, że to pańska córka — powiedziała głośno.

— Ależ skąd — odparł mężczyzna.

— Państwo się znają? — zapytał Bernard.

Phyllis potrząsnęła głową.

— Proszę więc pozwolić — Bernard dokonał prezentacji. — To pan Paul Cushing. Znamy się dość długo. Wybudowałem dla niego główne biura. Może będzie potrzebował następnych — odchrząknął. — Paul, to pani Phyllis Steen.

Paul Cushing roześmiał się.

— Domyślałem się tego.

— Widzi pan! Co za nazwisko. Nic dziwnego, że wyszłam za pierwszego, który mi się oświadczył — stwierdziła Phyllis. — Musiałam wyjść za męża. Nie z tego powodu. Po to, by zmienić nazwisko. Geronomous zresztą też nie jest cudowne. Brzmi, jakbym chciała wyskoczyć z samolotu. Któż jednak wtedy wiedział, że można pójść do Urzędu Miejskiego i za dwadzieścia pięć dolarów zmienić swój akt urodzenia? — Spojrzała na Cushinga z naganą — Czy widział pan metrykę urodzenia tej młodej damy? — zapytała.

Sig poczuła, że jeszcze chwila i eksploduje, szczęśliwie jednak Bernard Krinz postarał się załagodzić sytuację.

— Pan Cushing jest byłym prezesem i przewodniczącym Whetheral Industries — dyskretnie zniżył głos. — Jest wdowcem.

— Cóż, ja jestem byłym prezesem Damskiego Klubu Kanasty na Turnbury Island. Wdowa po Irze Geronomous. A kim jest pańska młoda przyjaciółka?

Dziewczyna siedząca obok Paula Cushinga podniosła wzrok i zachichotała.

— Mam na imię Wendy. Wendy...

— Po prostu Wendy. — Przerwał jej Cushing, omijając pułapkę Phyllis.

— O! Bez nazwisk, co? — zauważyła kwaśno.

— A po cóż nam one? — odparł pogodnie Paul Cushing.

Phyllis przyjrzała się bacznie ładnej dziewczynie.

— Mam tylko nadzieję, że skończyła osiemnaście lat, inaczej będzie pan miał kłopoty, mister.

— Mamo — Sig przywołała na twarz szeroki, acz nieszczerzy uśmiech. — Pan Krinz chciał ci coś powiedzieć, jak sądzę.

— A jak pani ma na imię? — Mężczyzna zwrócił się do Sig.

— Sigourney Geronomous.

— Ona jest dla pana za stara — prychnęła ze złością Phyllis. — Ma tylko połowę pana lat.

— Przepraszam, panie Cushing — powiedziała Sig. — Moja matka...

— Pani matka jest czarująca — przerwał jej gładko Paul.

Jest bardzo przystojny, pomyślała, pomimo swego wieku, a zmarszczki wokół błękitnych oczu dodawały mu tylko uroku. Jej własne doprowadzały ją do łez. Życie jest takie niesprawiedliwe.

— Mama jest bardzo bezpośrednia.

— Podziwiam tę cechę u kobiet — odparł Paul Cushing. Spojrzał na swą młodą towarzyszkę. — Moja wnuczka także. — Wendy zaśmiała się znowu. — Czym się pani zajmuje, panno Geronomous? Czy też pani Geronomous? — zapytał.

Sig zauważyła spojrzenie Wendy, którym obrzuciła jej lewą dłoń. Nie miała oczywiście obrączki, ale na swe czterdzieste urodziny w akcie rozpaczony szarpnęła się i kupiła sobie pierścionek z cudownym szmaragdem. Zdała sobie wtedy sprawę, że nikt inny jej czegoś takiego nie ofiaruje. Traktowała to bardziej jako lokatę niż tylko własną słabostkę, była to jednak inwestycja, która sprawiała jej ogromną radość. Uwielbiała ten pierścionek i przez chwilę, patrząc na niego, zatraciła poczucie rzeczywistości.

— Zajmuję się pośrednictwem — odparła.

— Cóż za szczęśliwy traf. Szukam właśnie nowego mieszkania.

— Ja nie pośredniczę w handlu nieruchomościami — obrazila się niemal Sig. Agenci pośredniczący w handlu rezydencjami byli idiotami, czyżby o tym nie wiedział? Sig starała się, jak mogła, by konwersacja wypadła naturalnie. Mówiła o pokazie Bonnarda, jaki ostatnio widziała, a także trochę o tendencjach na rynku. Rozruszała nieco małą Wendy rozmową o łyżwiarstwie figurowym. Od czasu do czasu usiłowała napomknąć, że jej matka uwielbiała tańczyć i kiedyś przetańczyła cały sezon w Palm Beach, ale nikt jakoś nie wyciągał z tego żadnych wniosków.

Przez cały ten czas Bruce prowadził konwersację z Krinzem. Przynajmniej on się starał, pomyślała Sig z niejaką ulgą, gdy podano im kawę. I właśnie wtedy, gdy już zaczynała się odprężyć, stała się rzecz bardzo dziwna. Do ich stołu podszedł jakiś obcy mężczyzna i to on właśnie poprosił Phyllis do tańca.

— Z przyjemnością, Monty — odpowiedziała.

Bruce i Sig spojrzeli po sobie w zdumieniu. Starszy mężczyzna był niski i baryłkowaty. Jego smoking wyglądał jak z innej epoki.

— A kto to jest? — zapytała Sig swoją matkę, gdy ta wstawała z krzesła.

— Och, to Monty. Monty Dunleathe. Opowiadałam wam o nim. Poznałam go w samolocie.

Phyllis zaczęła oddalać się wraz ze starym dziwołagiem.

— Facet, którego poznała w samolocie? — powtórzył Bruce. — Jaki facet?

Sig wstała i rozłożyła ręce. Jakaś gruba matrona w wyraźnie kosztownej, perłowej sukni przepchnęła się obok stołu i wetknęła pusty kieliszek w wyciągniętą rękę Sig.

— Widzisz? — rzuciła Phyllis z satysfakcją w głosie, wkraczając na parkiet. — Wzięła cię za kelnerkę.

Zanim Sig zdążyła zareagować, Paul Cushing zwrócił się do niej:

— Zamierzałem poprosić pani matkę do tańca, ale ktoś mnie uprzedził. Moja wnuczka nie tańczy walca, może więc mógłbym zainteresować tą propozycją panią?

Pytał ją o coś związanego z tańcem. Sig straciła głowę. Odstawiła nieszczęsny kieliszek.

— Mnie? — zapytała.

Bruce trącił ją łokciem.

— Weź od niego numer telefonu — szepnęła. — Będzie rezerwowym dla mamy. Przyda się.

— Z przyjemnością — Sig uśmiechnęła się do Cushinga. W głębi duszy czuła jednak dziwny opór. Mężczyzna odpowiedział uśmiechem, wstając od stołu i idąc w jej kierunku.

— Nie potrzebujemy go dla mamy — syknęła do brata. — Mamy Berniego.

— Z nim się nie uda — odparł Bruce.

— Nie bądź taki sceptyczny — ofuknęła go.

— Nie jestem sceptyczny — zaprotestował. — Jestem pewny.

Paul podszedł do Sig i ujął ją za rękę.

— A skąd ta pewność? — zapytała Sig przez ramię.

Bruce uśmiechnął się.

— Ponieważ właśnie poprosił mnie do tańca.

11

— Mówiłam wam, że to głupie — powiedziała Sharon, podnosząc do ust zapiekanke z przerażającą ilością sera.

Rodzeństwo spotkało się tym razem w barze obok stacji Grand Central. Miejsce to wybrano dla wygody Sharon, która przyjechała tu pociągiem z Westchester, by usłyszeć relację z wczorajszego balu. Stację wypełniał tłum, przybyły z przedmieść na świąteczne zakupy. Biorąc pod uwagę, iż zarówno dla Bruce'a, jak i Sig dojazd tutaj nie był szczególnie łatwy, a jedzenie pozostawiało bardzo wiele do życzenia, wybór ten okazał się niezbyt szczęśliwy.

— Nie można traktować mamy jak normalnej osoby — kontynuowała Sharon. — Ona nie jest normalna. — Nie mogę uwierzyć, że nie przedstawiliście jej komuś innemu. Kto jeszcze tam był?

— Chciałabys zrobić z tego rodeo — zachnęła się Sig. — A ja jestem zrujnowana. — To nie miało sensu. Po cóż narzekać albo wyjaśniać? Zawsze uważali ją za niewyczerpane źródło gotówki, finansowego wsparcia. — Myślę, że musimy odłożyć ten projekt do lamusa. Musiałam chyba zwariować. Wydałam już Bóg wie ile na ten hotel — spojrzała z goryczą na Bruce'a. — Nie licząc markowych ubrań i butów blahnika, za które jestem ci bardzo wdzięczna. — Musiała spróbować wyjaśnić im, choć raniło to jej dumę, swoją obecną sytuację finansową. Odetchnęła głęboko. — Wiecie, od czasu Czarnego Poniedziałku moje finanse wyglądają, powiedzmy, ciemnoszaro. To już nie są lata osiemdziesiąte. Mam coraz mniej klientów. Dzięki Bogu, wciąż zarabiam dla nich pieniądze, ale jest coraz mniej tych, których to interesuje. Mam coraz mniej zleceń.

— Tak, tak, wiemy o tym dokładnie — powiedział Bruce lekceważąco.

— Posłuchaj, ty cholerny ignorancie — wycodziła Sig przez zaciśnięte zęby. — Nie musiałeś wydawać ośmiu tysięcy dolarów, by ubrać mamę. Ona tego nie doceni. Nie mogę sponsorować tego dłużej. Do Gwiazdki będę musiała ją wyprowadzić z tych apartamentów. A gdzie wtedy zamieszka? U ciebie, Bruce? — zapytała napastliwie.

Bruce wzdygnął się. Sharon parsknęła, widząc jego nagle zakłopotanie. — A może u ciebie? — Sig zwróciła się do siostry, która nagle skuliła się i odwróciła wzrok. — Mieliśmy idealny cel — stwierdziła — Bernard Krinz. Wydałam po trzysta dolców za bilety tylko po to, by dostać się na ten głupi bal i usiąść koło niego. Sądziłam jeszcze, że możemy mieć rezerwowego — mogłabys sprawdzić tego Paula Cushinga, Sharon — ale gdy matka sama znalazła sobie zastępcę, i to takiego, to już był szczyt wszystkiego. Ten facet jest nikim, ale przynajmniej to heteroseksualista. Nie jest takim niewypałem jak Bernard.

Bruce westchnął.

— Sharon, nie wiedziałas, że Bernie jest gejem? Nie było tego w Internecie albo w jakimś "Who's Who"?

— Myślałam, że jeśli ożenił się raz, może to zrobić i drugi — broniła się Sharon.

— Ale nie z mamą. Nie z naszą matką — jęknęła Sig. — Nie próbowała się starać nawet przez trzydzieści sekund. Sprawiliśmy jej fryzurę, ubrania, nawet buty. A ona olała tego Bernarda...

— Berniego — sprostował Bruce.

Sig rzuciła bratu mordercze spojrzenie.

— Zlekceważyła tego Bernarda od samego początku. Pozatym zraziła Paula Cushinga. A potem, nawet gdybyśmy rozejrzeli się za innym kandydatem, zmarnowała resztę naszego wieczoru i moje pieniądze, tańcząc z jakimś dinozaurom w smokingu sprzed wojny z 1812 roku — zamilkła i potarła czoło. — Przerwywam to — stwierdziła. — To beznadziejne.

— Paul Cushing? — zainteresowała się Sharon. — Czy on nie był prezesem Whetherall?

— Mógłby być prezydentem Czech, i tak nie miałoby to znaczenia — odparł Bruce. — Oskarżyła go o gwałt na nieletnich. Wiesz, jeden z tych jej żartów. Nie spodobała mu się — westchnął. — Mógłby dołączyć do klubu. Byłby w licznym i doborowym towarzystwie.

— Och, nie wiem, Bruce. Miałam wrażenie, że wzbudziła jego zainteresowanie.

— Czy możesz zejść na ziemię?

— A czy ty mógłbyś być choć trochę pomocny i twórczy? Tak, jak ja muszę być cały czas? — odparowała Sig.

— Och, czyżbym słyszał odę do męczeństwa? — zapytał Bruce, po czym zaczął odgrywać Carmen Mirandę, śpiewając na melodię “Mañana”:

Ja jestem Sig, najstarsza

Nielatwe życie me.

Rodzeństwo nie docenia

A matka gnębi mnie.

Wciąż płacić, płacić, płacić

Pieniądze każdy chce

Choć daję z siebie wszystko

To nikt nie kocha mnie.

Sig spojrzała przeciągle na Bruce’a, który odstawił solniczkę i pieprzniczkę, służące chwilowo za kastaniety. Ku całkowitemu zaskoczeniu rodzeństwa, jej oczy napęłniły się łzami, które popłynęły po starannie upudrowanych policzkach. Po chwili wybuchnęła głośnym szlochem.

— I co my zrobimy? — zanosila się. — Mama nie może tam zostać dłużej, nie może też mieszkać w jakiejś norze — pociągnęła nosem i spróbowała się opanować. — To byłoby niedobre z uwagi na sąsiedztwo. A mnie nie stać na mieszkanie dla niej. Nikt z nas nie chce, by zamieszkała u niego. To wszystko nie ma rąk i nóg... — łkała rozpaczliwie.

W jednej chwili Bruce i Sharon przysiedli na kanapce po obu stronach siostry. Sharon podała jej chusteczki. Bruce poklepał ją po dłoni.

— Ja po prostu nie mogę ciągnąć tego dłużej — nie przestawała szlochać Sig. — Siedzę po uszy w długach. Moje zlecenia spadły niemal do zera. Nie odważyłam się użyć mojej platynowej karty American Express, ponieważ nie mam czym zapłacić rachunku pod koniec miesiąca. Będę musiała sprzedać mieszkanie i wystawić mój szmaragd na licytację. — Wzięła od Sharon chusteczkę, wytarła nos i czknęła.

Bruce i Sharon spojrzeli po sobie. Była to jedna z rzadkich chwil, kiedy czuli się zjednoczeni.

— Spłukana. O tak, znamy to — szepnął Bruce. Przez całe życie słyszeli skargi Sig na brak pieniędzy.

— Wiemy, jak bardzo się starasz — pocieszała ją Sharon. — Doceniamy twoją pracę. Przykro mi, że tak wyszło z Bernardem.

— Mama mogła się postarać chociaż trochę, tylko trochę! — powiedziała ze złością Sig, wycierając oczy i swój zrujnowany makijaż. — Mogła choć spróbować z tym Bernardem, na miłość boską. Nie musiała robić z siebie wroga ludzkości.

— Powinna była, mogła była, ale nie zrobiła. Taka jest nasza mama — odparł Bruce.

— I jakby mało było tego wszystkiego, spędziła prawie cały wieczór tańcząc z jakimś podrzędnym dyrektorem instytucji charytatywnej! Jakimś człowieczkiem w smokingu, jaki nosił Leslie Howard w 1939 !

— Jak on się nazywał? — zainteresowała się Sharon. — Monty jak?

— Boże, nie wiem. Brzmiało to jak nazwisko prowadzącego teleturnieje albo fryzjera.

Sig wytarła oczy, powoli odzyskując panowanie nad sobą.

— Montague Dunleathe — powiedziała. — Czarujący Księżę Mamy. Mogliby przetańczyć całą noc. Posłuchajcie, nie mogę finansować tej operacji dalej, jeśli takie będą jej rezultaty. Ale sprawdź tego Dunleathe, Sharon. I Paula Cushinga też. — Sig spojrzała na swą młodszą siostrę i wzruszyła ramionami. — Bruce, ratowałeś tego Bernarda, jak mogłeś. Zadzwon do niego pod jakimś pretekstem. Mama zawałiła sprawę, ale wszystko jedno, damy jej jeszcze jedną szansę. Potem, przysięgam na Boga, umyвам ręce.

Phyllis otworzyła oczy, nie bardzo wiedząc, gdzie się znajduje. Usiłowała zebrać myśli. Zdarzyło jej się parę razy w życiu obudzić się zdezorientowaną i zawsze ją to przerażało, tego jednak ranka — bo był to ranek — nie czuła najmniejszego lęku.

Gdzie była? Stanowiło to jakąś przyjemną zagadkę. Jej łóżko było wielkości lotniska, a pościel niesamowicie gładka. Phyllis wyciągnęła ręce ponad głowę próbując przypomnieć sobie, o czym śniła przed chwilą i gdzie znajdowała się teraz. Zdaje się, że we śnie tańczyła, w głowie wciąż dźwięczał jej ten stary rock and roll, który tak często śpiewał Bruce z kolegami: o tych, co leżą pod bulwarem biegnącym wzdłuż brzegu morza. Wszystko to razem było bardzo przyjemne.

Po chwili rozbudziła się całkowicie. To nie był sen. Naprawdę przetańczyła całą noc z Montym, mężczyzną, którego spotkała w samolocie. W przeciwieństwie do Iry, Monty był świetnym tancerzem. Phyllis przymknęła na chwilę oczy. Bolały ją nogi — co do tego nie miała wątpliwości — ale nie przejmowała się tym. Stopy bolały ją także. Zdaje się, że miała pęcherz na lewej pięcie. Uśmiechnęła się jednak. To co? Naklei sobie plaster i weźmie dwie tabletki motrinu. I tak warto było. Nie leżała jeszcze pod bulwarem.

Obrzuciła wzrokiem biały bezmiar swego łoża. I wtedy przypomniała sobie: apartament w hotelu, bal dobroczynny... całe to przedstawienie. Podciągnęła prześcieradło, by okryć ramię. Jakież wymiary miało właściwie to łóżko? W życiu nie widziała większego. Tak czy owak zmieściłaby się tu z nią cała armia. Przewróciła się na drugi bok, ignorując ból w prawym biodrze. Zerknęła na zegarek stojący na nocnym stoliku. Było jeszcze bardzo wcześnie. Na Florydzie rozpoczynałaby właśnie wraz z Sylvią swą poranną nadmorską wędrówkę. Uśmiechnęła się. Dzisiaj, zamiast tego, powoli się pozbiera i przejdzie Piątą Aleją oglądając świątecznie ozdobione wystawy sklepowe, zanim całe miasto wstanie i wylegnie na ulicę. Ubierze się ciepło i założy te nowe rękawiczki z brązowej skóry, które udało jej się kupić u Bergdorfa. Najpierw jednak naciągnie kołdrę na siebie i pości jeszcze minutkę...

Kiedy zadźwięczał dzwonek, Phyllis usiadła. Któż to mógł być? Pokojówki nigdy nie przychodziły o tej porze. I z pewnością nie są to dzieci — one też tak wcześnie nie wstają. Phyllis już się nauczyła, że w weekendy Nowy Jork lubił spać długo. Szybko spuściła nogi, złapała szlafrok, który obsługa starannie rozpostarła w nogach łóżka i pospieszyła ku drzwiom.

Zanim tam dotarła, dzwonek odezwał się ponownie, po czym nastąpiło natarczywe pukanie. Zapominając nawet spojrzeć przez wizjer, Phyllis ze złością otworzyła drzwi.

— Co? Co takiego? — zapytała.

Za drzwiami ujrzała olbrzymi bukiet kwiatów, bardziej imponujący niż większość wiązanek ślubnych, a za nim, w jej korytarzu hotelowym, stała Sylvia Katz, w wymiętym, zielonym dresie z poliestru. Pod nie dopiętą bluzą widać było koszulkę z napisem "I love New York".

— Wstałaś już? — zapytała Sylvia.

— Nie sędę — odparła Phyllis. — Wydaje mi się, że mam zły sen.

— Miłe powitanie. I na dodatek nazywasz mnie senną marą — powiedziała Sylvia i zostawiając kwiaty w przedpokoju weszła do apartamentu. W ręku niosła swoją skórzaną torbę i siatkę reklamową od Eckerda.

Sylvia zostawiła kwiaty w przedpokoju, po czym umieściwszy reklamówkę na stoliku do kawy, przysunęła sobie srebrny obity fotel i usiadła, sztywno trzymając swą torbę na kolanach.

— Nareszcie — powiedziała.

Phyllis wniosła kwiaty i zwróciła się do przyjaciółki:

— Kiedy przyleciałaś? — zapytała. — Jak się tu dostałaś tak wcześnie?

— Przyleciałam samolotem wczoraj w nocy. Byłam na lotnisku o 23.45, ale nie chciałam ci przeszkadzać.

— To dokąd poszłaś?

— Nigdzie nie poszłam, przenocowałam tam. Na lotnisku.

— W motelu na lotnisku? W La Guardia? — Phyllis była zaskoczona. Sylvia nigdy nie wydawała w ten sposób pieniędzy.

— Nie. W jakim motelu? Na lotnisku, powiedziałam. Siedziałam w fotelu.

— Spędziłaś całą noc w fotelu?

Sylvia Katz wzruszyła ramionami. Phyllis z nagłym poczuciem winy pomyślała o swoim ogromnym, wygodnym łóżku.

— Powinnaś była zadzwonić — stwierdziła.

— Zrobiłam to. Nie było cię. Zostałam więc na lotnisku. Nic się nie stało.

— Ale co ty tu w ogóle robisz?

— Musiałam uciec — odparła Sylvia.

— Uciec? Przed kim?

— Nie mogłam znieść tych wyrzutów.

— Jakich wyrzutów? Kto ci robił wyrzuty?

— Ira. Twój mąż. Wiesz, jaki czasami potrafi być. Za każdym razem, kiedy tam przychodziłam, słyszałam: Sylvio, Nowy Jork jest samotnym i niebezpiecznym miejscem.

— Ira nie może już mówić. On nie żyje.

Sylvia pomachała ręką.

— Wiesz, o czym mówię.

— Nie jestem w żadnym niebezpieczeństwie i niezupełnie jestem sama.

Sylvia podniosła się z fotela, jakby to było owo siatkowe, aluminiowe krzesło z Pinehearst. Powoli podeszła do drzwi sypialni. Wskazując brodą na półotwarte drzwi wyszeptała:

— Nie mów mi, że...no, wiesz.

— Oczywiście, że nie. Przynajmniej jeszcze nie.

— A myślisz o tym? Fe!

— Owszem, myślę o tym.

— Fe — powtórzyła Sylvia i rozejrzała się po pokoju. — To imponujące — powiedziała.

Phyllis skinęła głową, jakby była przyzwyczajona do takich warunków.

— Dzieci nalegały — wyjaśniła. — Oprowadzić cię?

— Nie powiem nie — odparła Sylvia.

Phyllis otworzyła drzwi do sypialni i pokazała Sylvii ogromne łóżko, wielkie szafy, cztery telefony i bajeczną łazienkę wyłożoną marmurem i lustrami

— Dlaczego tak naprawdę tu jesteś? — zapytała Phyllis, gdy Sylvia przeglądała półeczkę z szamponami i balsamami.

Jej przyjaciółka spojrzała w lustro na swoją koszulkę, wystający brzuch i sandały, które wciąż miała na nogach, choć teraz stroju dopełniała para czerwonych skarpet.

— Nie chcę spędzać świąt samotnie — wyznała Sylvia bardzo cicho. — Nie kolejny raz.

— Myślałam, że twoje dzieci przyjeżdżają z Cincinnati?

— Miały przyjechać. Ale nie przyjadą. Moja synowa zachorowała.

— Ha! Jeśli w to wierzysz, mogę ci sprzedać mój mostek dentystyczny.

— Znów masz problemy z zębami? — zapytała z troską dosłowna jak zawsze pani Katz.

Biedna Sylvia, pomyślała Phyllis. Synowa nie cierpiała jej, a jej syn to aprobował.

— Mam wrócić do domu? — zapytała cichym głosem. — Nie chcę sprawiać ci kłopotu.

— Oczywiście, że nie. Zostań. Dzieci będą zachwycone. — To było kłamstwo na wielką skalę, pomyślała Phyllis, ale nikt nie powinien spędzać świąt samotnie. — Sylvio, wyjdź już z tej łazienki. Usiądź na kanapie, albo może chcesz się położyć?

Sylvia potrząsnęła głową i podeszła do jednego z prostych krzeseł, które otaczały stół.

— Tu jest doskonale — odparła, siadając prosto.

— Chcesz śniadanie?

— Nie, zjadłam kanapkę na lotnisku. Nie chcę być dla ciebie ciężarem, Phyllis. Mogę zatrzymać się gdzie indziej.

— Gdzie? — zapytała jej przyjaciółka — W hotelu? Wiesz, jakie drogie są nowojorskie hotele? Zresztą, i tak nigdzie nie ma miejsca, bo są święta. — Sylvia musiała być mocno zdesperowana, jeśli rzeczywiście chciała wydawać pieniądze. — Wiesz co — powiedziała Phyllis — zadzwonię po obsługę. Zamierzam zamówić sobie grzanki i dla ciebie również. Plus kawa i sok ze świeżych grejpfrutów. Jest tu lepszy niż na Florydzie. Nie wiem, jak im się to udaje.

Phyllis podniosła słuchawkę telefonu.

— Czym mogę służyć, pani Geronomous? — zapytał miły głos. Zdumiewające było, iż obsługa hotelowa знаła jej nazwisko i wiedziała o niej tak wiele. Była tu zaledwie od pięciu dni.

— Śniadanie dla dwóch osób — powiedziała dość pewnym tonem. Jak gdyby miała coś do ukrycia. — Odwiedziła mnie przyjaciółka — dodała. — Osoba przyjmująca zamówienie nie odezwała się.

— Czy to nie jest kosztowne? — zaniepokoiła się Sylvia. — Obsługa i to wszystko? U Howarda Johnsona liczą sobie ekstra dwa i pół dolara. Tylko za dowieszenie zamówienia windą do pokoju.

Phyllis potrząsnęła głową.

— Nie, tutaj za to nie doliczają — odparła.

Nie muszą, dodała w myślach, bo ceny są i tak astronomiczne. Zapłaci za to sama. Susan nie musi płacić za wszystko. W tej chwili jednak, gdy patrzyła na przygnębioną, lecz dzielną Sylvię, było jej wszystko jedno, czy wyda na to całą swoją miesięczną wypłatę z ubezpieczenia.

— Sylvio, życie należy czasami trochę upiększyć — powiedziała Phyllis — Było nie było, to chyba twoja pierwsza wyprawa na Manhattan od lat, prawda? — zapytała. Sylvia mieszkała kiedyś w Queens, ale nie była bynajmniej kosmopolitką. — Dawno nie przyjeżdżałaś do miasta.

— Tak — odparła Sylvia. — Byłam tu z moją siostrą tuż po wojnie.

Dla Sylvii istniała tylko jedna wojna: druga światowa. Nie przyjmowała do wiadomości wojny w Korei ani w Wietnamie, ani nawet Pustynnej Burzy.

— No cóż, trochę się tu zmieniło od tego czasu. Wojna się skończyła — powiedziała Phyllis i ponownie wzięła do ręki słuchawkę.

— Pani Geronomous? — zapytał miły głos. — Czy coś jeszcze?

— Tak, proszę — odparła Phyllis. — Butelkę szampana. Musimy coś uczcić.

12

Data: 9 grudnia 1996

Od: Sharon@missioncontrol.com

Dotyczy: Operacja Stary Pryk

Do: Sig<Sis@Sigmonde.com

Sig, nie zakończyłam jeszcze badań, ale Montague Dunleathe był wymieniony w Roczniku Forbes International z 1981 r. jako jeden z dziesięciu najbogatszych ludzi w Wielkiej Brytanii. Urodzony w Glasgow w 1921 r. Obrotny Szkot. Większość pieniędzy zarobił na liniach lotniczych w latach siedemdziesiątych. Posiada większość Montany. Przez dwadzieścia sześć lat był żonaty z jedną ze spadkobierczyń Guinnessa, ale zmarła w 89 roku. Nie ma dzieci...

List, który nadszedł e-mailem, był dłuższy, ale Sig już nie czytała. To było niewiarygodne. W jakiś tajemniczy sposób Phyllis zdołała poznać i zainteresować sobą bogatego pryka. Wzruszyła ramionami. Niezbadane są wyroki boskie.

Poniedziałkowy ranek, podobnie jak wszystkie poniedziałki nastrajał ją posepnie. Rynek był nerwowy, ona także. Jeden z kolegów dokuczył jej, a na dodatek odkryła, że pewne papiery wartościowe jednego z jej klientów zostały przypadkowo — i nielegalnie — wycofane ze sprzedaży. Przez cały ranek usiłowali wraz z innym pracownikiem firmy to odkręcić, ale bez powodzenia. Teraz jednak na ekranie jej komputera pojawiła się pierwsza prawdziwie radosna, świąteczna wiadomość wśród tych, jakie otrzymywała ostatnio. Odwróciła się od monitora i energicznie wystukała numer Bruce'a.

— Houston? — zapytała, kiedy podniósł słuchawkę. — Startujemy.

— Siostrzeczko moja, czyżbyś była na jednym z prywatnych festiwali filmowych Toma Hanksa? — zdziwił się jej brat. — On jest żonaty, i to szczęśliwie, Siggy. Zapomnij o „Apollo 13”. — Bruce jęknął. — Boże nie powinniśmy byli ufać Sharon. Wiesz, ile godzin straciłem usiłując odremontować mamę na ten bal w sobotę? A ten Bernard chciał wyłącznie przymierzyć jej kieckę. Czy uwierzysz, że ta stara, zwariowana księżna od wczoraj dzwoniła do mnie już trzy razy?

— Daj spokój Bernardowi. Mamy tu napalonego.

— Wiem, że jest napalony, ale na mnie! A ja nie gustuję w starszawych panach.

— Bruce, ja mówię o Montague Dunleathe. Jest bogatszy niż sam Bóg i spotyka się z mamą.

— Żartujesz. Zresztą, i tak nic z tego nie będzie. Ona obróci to w perzynę.

— Zamierzam nie odstępować jej na krok.

— Co takiego?

— Będę chodzić na randki razem z nią. W ten sposób będę ją mogła kontrolować — przynajmniej na tyle, na ile będę potrafiła.

— Ha! Życze szczęścia. Spróbuj kontrolować tsunami, czemu nie?

— Co to jest tsunami?

— Japońska nazwa fali spowodowana trzęsieniem ziemi, Sig. To zdumiewające. Ty nie wiesz wszystkiego! — przerwał. — No, dobrze. Będę w hotelu wcześniej. A ty spróbuj tej twojej

łączonej randki, choć to beznadziejne. Mimo wszystko, cieszę się, że mam łatwiejsze zadanie, wiesz zmienić poczwarę w...

— Bruce! Ona jest twoją matką!

— Och, mówiłem to w jak najbardziej pozytywnym znaczeniu. Coś mu przyszło na myśl.

— Wszystko jedno, z kim ty zamierzasz przyjść? Nie umawiałaś się z nikim, odkąd Bob Dole przestał być nastolatkiem.

Sig zdecydowała się zignorować tę uwagę.

— Przyjdę z Phillipem — powiedziała bratu. Zerwała z tym bubkiem, kiedy oświadczył jej, że ich związek nie ma przyszłości. Jej duma ucierpi bardzo, gdy będzie musiała poprosić go o spotkanie, ale potrzebowała eskorty, a nie miała nikogo innego.

— Spacer po cmentarzu?

— Bruce, po prostu postaraj się i bądź w hotelu o trzeciej.

Za kwadrans ósma apartament Phyllis w hotelu Pierre wyglądał, jakby przeszedł przez niego huragan. W sypialni wały się wszędzie rozmaite części garderoby. Łazienka stanowiła obraz impresjonisty, kolory kosmetyków wtapiały się jeden w drugi wzdłuż całego blatu i schodziły malowniczą tęczą aż na podłogę. Sig, w skromnej, granatowej sukience usiłowała doprowadzić do ładu salon, przysłuchując się jednocześnie, jak jej brat stacza boje z matką.

— Nie założę drugi raz tych cholernych pereł a'la Barbara Bush — buntowała się Phyllis. — Wyglądam jak Nathan Lane w Birdcage.

— Dopóki nie wyglądasz jak Gene Hackman, i tak jesteś do przodu — odparł Bruce.

Sig starała się uprzątnąć bałagan wokół pani Katz, która jak zwykle spokojnie siedziała na krześle. Co ta stara sowa sobie myśli? Jak długo chce tu tkwić?

-To musi być Susan, a to pewnie Bruce — powiedziała Sylwia patrząc na Todda, który był bardziej zniewieściał. — A to, oczywiście, jest Sharon — dodała.

-Ta gruba — potwierdziła pośpiesznie Sharon.

Mimo, że Sig dokonywała nadludzkich wysiłków, pokój wciąż wyglądał gorzej niż bursa nastolatków. Mocnym kopniakiem umieściła torbę od Bergdorfa pod kanapą. Ich popołudnie przemieniło się w trzy godziny bezustannej kłótni. Najpierw Phyllis chciała iść tak, jak stała, później zgodziła się przebrać, ale nie zamierzała pozwolić, by Sig im towarzyszyła. W końcu jej córka wygrała, ale wtedy Phyllis zbuntowała się przeciw poprawianiu swego makijażu i fryzury.

— Widział mnie w samolocie taką, jaka jestem — twierdziła — I podobałam mu się mimo wszystko.

Bruce zakończył tę dyskusję grożąc, że wyskoczy przez okno. Sig podniosła naręcze gazet, otworzyła szafę i wściekłym gestem wcisnęła je do środka. Potem wrzuciła starą torebkę matki, zwinięty sweter i stertę innych przedmiotów za sięgającą podłogi zasłonę. Nic, co dotyczyło Phyllis, nigdy nie było normalne, łatwe ani bezbolesne.

Nawet ten uśmiech losu z Montague Dunleathe też był darowany na próżno. Musieli sprawić, by matka wydała się zamożna, atrakcyjna i choć w niewielkim stopniu sympatyczna. Zadanie niemożliwe do spełnienia, teraz Sig zdała sobie z tego sprawę. Bruce nie był dekadentem, był realistą.

Sigourney rozejrzała się po pokoju. Wiązanka kwiatów od Renny'ego za co najmniej sto sześćdziesiąt dolarów zapierała dech w piersiach. Dołała kwiatom wody i przeczytała bilecik. Zafascynowała mnie pani. Chciałbym poznać panią bliżej. Paul Cushing. Otworzyła szeroko oczy. Jej matka fascynuje mężczyznę takiego jak Paul Cushing? Przesuwając się ze swymi porządkami do sofy zaczęła trzepać poduszki, układając je równiutko. Potem wyjęła z torby magazyny Town & Country, Forbes, Fortune i brytyjską Country Life. Ułożyła je niedbale na stoliku do kawy i w stojaku. Wyciągnęła też egzemplarz Wall Street Journal i otworzywszy go na wybranej stronie, umieściła na poręczu fotela.

W końcu wszystko wyglądało idealnie, łącznie z Phyllis, która weszła do pokoju, przyodziana w srebrno-beżowe spodnium od St.Laurenta, uzupełnione przy szyi o ton

ciemniejszym szalem. Sig zadrżała na myśl, ile to wszystko kosztowało, musiała jednak przyznać, że matka wyglądała niebywale elegancko. Bruce za to przypominał strzęp człowieka.

— Może być? — zapytał. Sig skinęła głową. — Dzięki Bogu — wydyszał wtaczając się do sypialni i rzucając na łóżko. — Potrzebna mi transfuzja.

— Mamo, muszę z tobą porozmawiać — powiedziała szorstko Sig. Weszły obie do łazienki, pełnej teraz nowych części garderoby Phyllis, z którymi kontrastowało parę szmatek należących do pani Katz.

— Dość tego. Ona nie może tu zostać — oświadczyła córka stanowczo.

— Nie bardzo wiem, o czym ty mówisz. Ona tu zostanie. Nie ma nikogo innego w Nowym Jorku.

— Mamo, Nowy Jork pełen jest hoteli.

— Ten apartament jest zupełnie wystarczający dla nas obu.

Sig opanowała przemożną chęć kopnięcia matki w siedzenie. Sytuacja stawała się nie do zniesienia. Minuty uciekały, i chociaż sprawa z Montym wyglądała obiecująco, Sig nie mogła ciągnąć tej sprawy zbyt długo. Obecność pani Katz, siedzącej niewzruszenie na swym krześle w salonie z torbą na kolanach, jakby jechała autobusem, zdecydowanie nie wpływała korzystnie na rozwój romansu. Jej matka potrzebowała przyzwoitki jak ona sama. Sig odetchnęła głęboko.

— Ten pokój jest dla ciebie — wyjaśniła, jak gdyby mówiła do kogoś znacznie młodszego od Jessie.

— Och, to łóżko jest takie ogromne. Nie wiedziałabym nawet, że Sylvia w nim śpi, gdyby nie to, że okropnie chrapie.

— Ona śpi z tobą w jednym łóżku? — zapytała Sig z przerażeniem w głosie. Ta ilość starego, kobiecego ciała! Sig poczuła dreszcze. Pewnego dnia ona też...

— Mamo, powiedz jej, żeby wynajęła sobie własny pokój. Jeśli ktoś ma tu z tobą spać, to ma to być mężczyzna. To miłosne gniazdko, a nie dom starców.

— Och, przepraszam, panno Pyskata. Tylko dlatego, że płacisz tu rachunki, będziesz docydować, kto może ze mną spać, a kto ma się wynosić? Sylvia może nie wymyśli prochu, ale jest moją jedyną przyjaciółką, która nie obraża się za moje żarty. Zawsze włączała mnie we wszystko, czym się zajmowała, mimo, że nikt mnie nie chciał, a ja nie zamierzałam brać w tym udziału. Jest dobrą przyjaciółką. Nie masz prawa...

Sigourney dokonała szybkiej myślowej kalkulacji. Jeśli tego nie przetnie, jej matka może ciągnąć tę przemowę do Nowego Roku. Do tematu Sylvii Katz wróci później.

— Jak tam Monty? — zapytała tak niefrasobliwie, jak tylko potrafiła.

Chciała spytać własną matkę o to, czy ma poważne zamiary? Czy Montey osiągnął półmetek? Czy jest bliski celu? Sig zadrżała znowu. Wizja miłosnego połączenia dwojga starszaków była jeszcze bardziej koszmarna niż obraz Sylvii Katz śpiącej z matką w jednym łóżku. Może, pomyślała, byłoby lepiej, gdyby ludzie, jak baterie, po prostu wyczerpywali się przy pięćdziesiątce, bez kłopotów, chorób i zawracania głowy. A poza tym Monty z pewnością nie zajdzie zbyt daleko, jeśli w sypialni jej matki chrapie Sylvia Katz.

— Posłuchaj — powiedziała Sig. — To nie jest dom pani Katz. To nawet nie jest twój dom. Na miłość boską, mój też nie! To miejsce, którego używamy, by...

— Och, Susan, Susan, Susan... Co ja mam z tobą zrobić? Życie trzeba czasami trochę upiększyć. Pomyśl o pani Katz w ten sposób: jak mogę kazać jej się wynieść do jakiegoś motelu na Wschodniej Pięćdziesiątej Piątej? Ona jest moją przyjaciółką, Susan. I nie przeszkadza mi w znajomości z Montym, uwierz mi. — Phyllis wstała, podeszła do toaletki i zerknęła w lustro. — On widział, jak wyglądałam przed tą charakteryzacją. Podobam mu się taka, jaka jestem, z trwałą, moimi przyjaciółmi i całą resztą. Poza tym odgrywam przecież moją część przedstawienia. Od balu widziałam się z nim dwa razy. Zjedliśmy razem lunch i robiliśmy świąteczne zakupy. — Phyllis spojrzała na córkę. — Mamy coś dla ciebie. — Chciała jej pokazać, że Monty byłby dobrym ojcem.

— Nie potrzebuję żadnego prezentu poza jego oświadczeniami.

— Wiesz co, nie widzę, by ktoś oświadczał się tobie — odparła Phyllis ostro. — Ja staram się jak mogę. Zawsze to ja muszę robić wszystko. — Usiadła i założyła nogę na nogę. Sig przez chwilę miała wrażenie, że Bruce miał jednak rację: matka mówiła zupełnie jak ona sama.

— Spotykam się z Montym, ponieważ go lubię, a nie dlatego, że ty tak chcesz. Będzie dobrym kandydatem. Zna się na interesach i jest odpowiedzialny. — Phyllis wstała. — Muszę wziąć moją torebkę — powiedziała i odwróciwszy się, weszła do sypialni.

Zadzwieczał dzwonek.

— Ja otworzę — zawołała Sig, zamykając drzwi do sypialni i odgradzając brata od towarzystwa. Phyllis skinęła głową i podeszła do kanapy w salonie.

— Nie siadaj! — krzyknął Bruce zza drzwi. — Pognieciesz spodnie!

— Co za zrzęda — parsknęła Phyllis.

— I kto to mówi! — odkrzyknął jej syn.

— Przestańcie oboje! — zirytowała się Sig, czując się, jak zwykle zresztą, jedyną dorosłą osobą w pokoju. Przechodząc przez hol zerknęła w lustro i przyglądała niesforny kosmyk, sterczący z tyłu głowy. Potem otworzyła drzwi.

Przed nią stał, kołyszając się na palcach, Montague Dunleathe. Wyciągnął rękę na powitanie i ująwszy jej dłoń zaczął ją serdecznie potrzasać.

— Witam, witam — powiedział ze swym nieco przyciężkim, choć czarującym akcentem.

Sig zaprosiła go do środka, mając nadzieję, że zauważy wnętrze i cały trud, jaki w nie włożyła. Zdawało się jednak, że Monty widział jedynie jej matkę.

— Phyllis, wyglądasz tak, że można by cię zjeść.

— Daj spokój. Nie wpadajmy w ten ton tak wcześnie — odparła.

Sig miała wrażenie, że albo za chwilę zemdleje, albo udusi swoją matkę. Z sypialni doszedł ją stłumiony chichot brata. Pomyślała, że może by za jednym zamachem udusić także i Bruce'a. Co za różnica. Monty jednak, jak się wydawało, był zachwycony wątpliwym poczuciem humoru jej matki. Usiadł i zaśmiał się.

— Przypomniało mi się coś — oznajmił. — Co jest stare, pomarszczone i czuć je imbirem? — Odczekał chwilę, a gdy żadna z kobiet nie odpowiedziała, roześmiał się. — Twarz Freda Astaire'a — dokończył, uderzając się z uciechy w kolano.

Sig usłyszała kolejny stłumiony dźwięk dochodzący z sypialni i ponownie naszły ją bratobójcze myśli. Poczowała wdzięczność, gdy ponownie odezwał się dzwonek u drzwi. Po chwili wprowadziła do pokoju Phillipa. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o dość ponurym usposobieniu.

— To jest Phillip Norman — powiedziała, przedstawiając go Monty'emu.

— Me imię nie brzmi Norman — odparł Monty.

Phillip nie zrozumiał kiepskiego żartu.

— Nie, nie — zaprzeczył. — Norman to moje nazwisko.

— A, więc został pan nobilitowany, Sir Norman? — zapytał Monty.

— Nie — odparł Phillip. — Po prostu nazywam się Phillip Norman.

— A moje imię nie brzmi Norman — powtórzył Monty. Tym razem Phyllis parsknęła śmiechem. To samo zrobił Bruce w pokoju obok.

Phillip spojrział w kierunku drzwi do sypialni.

— To tylko pani Rochester — powiedziała Sig. — Trzymamy ją w drugim skrzydle razem z Jane Eyre. Nie zwracaj na nie uwagi — zerknęła na zegarek. — Jeśli zaraz nie wyjdziemy, spóźnimy się. A ponieważ mamy sezon świąteczny i miasto jest zatłoczone, to jeżeli nie pojawimy się o czasie, stracimy rezerwację — stwierdziła i wyprowadziła całe towarzystwo w ciemną, grudniową noc.

— Dlaczego należałoby pogrzebać wszystkich prawników tysiąc stóp pod ziemią?

Phyllis nachyliła się do niego.

— Dlaczego?

— Ponieważ pod spodem są miłymi gośćmi.

Phillip Norman, prawnik firmy AT&T, uśmiechnął się kwaśno. Monty ryknął śmiechem.

— Co powiecie na kolejnego szampana? — zapytał.

Znajdowali się w Cafe Luxembourg na West Side. Lokal był odrobinę głośniejszy i bardziej zatłoczony niż te, do których przywykła Sig. Musiała jednak przyznać, że miało to swoje zalety. Po pierwsze nie musiała się czuć tak zupełnie zażenowana konwersacją matki z Monty'm, a po drugie, gdyby Phillip zdecydował się coś powiedzieć, nikt by go nie usłyszał. No i wreszcie nikt z jej znajomych nie zobaczy ich tutaj razem, co pozwalało ocalić jej dumę. Kończono kolację i kiedy podano już kawę, Sig zaczęła myśleć, że może całe to przedstawienie było coś warte.

— Ja już dziękuję — powiedziała, gdy Monty chciał jej dolać szampana. — Niektórzy z nas muszą iść rano do pracy, Nie mogła w to uwierzyć, ale jej matka i Monty rozumieli się zdumiewająco dobrze. W pewien sposób miało to rację bytu: byli takimi samymi dziwakami.

— Ja też dziękuję — stwierdziła Phyllis — Rano głowa mi pęknie z bólu.

— To nie szampan powoduje ból głowy. To niezaspokojony popęd płciowy — oświadczył Monty.

— Nie wydaje mi się, żeby był to jeden z moich problemów — powiedziała Phyllis, w jej oczach jednak migotały iskierki, które sprawiły, że Sig stała się nerwowa, a Monty bardziej zuchwały.

— Nie chciałbym się narzucać, ale rozwiązanie twoich problemów znajduje się w moich spodniach — powiedział.

— Posłuchaj, złotko, może i potrzebuję miłości, ale nie śmiechu — odparła powściągliwie Phyllis — Dlaczego mężczyźni sądzą, że ktokolwiek poza ich urologiem interesuje się ich penisami?

— Opieram swą pewność na opinii publicznej — wyjaśnił Monty. — Wiesz, co wspólnego mają ze sobą grzechotnik i dwucalowy fiucik?

Phyllis wzruszyła ramionami.

— Nikt nie chce się z nimi pieprzyć — powiedział Monty i ponownie wybuchnął głośnym śmiechem.

Phyllis parsknęła również, po chwili jednak opanowała się i ściągnęła usta.

— Osobiście nie jestem zainteresowana ponownym oglądaniem czyjegokolwiek trzyczęściowego kompletu.

Odmowa jednak zdawała się tylko zachęcać Monty'ego.

— Od trzydziestu lat nikt nie powiedział mi — nie — przyznał.

— Będziesz musiał się przyzwyczaić — oświadczyła Phyllis, lecz Sig wiedziała, że ów beznadziejnie głupi, dziki Szkot zdołał oczarować jej matkę.

Zastanawiała się tylko, jak długo potrwa ich szczęście.

13

Pierwsza noc święta Chanuki nadeszła i minęła. Sig, Bruce i Sharon, odkąd wyrosli z dziecięcych lat, nie przykładali specjalnej wagi do tego święta, teraz jednak, kiedy pojawili się Jessie i Travis, powrócili do kupowania sobie prezentów. To podłe, myślała Sig, że Chanuka, mimo iż jest świętem ruchomym, nigdy nie przypada po Bożym Narodzeniu, kiedy mogłaby skorzystać z poświęconych obniżek cen. Tego wieczoru zdecydowała się pokazać swe mieszkanie pani Cornelii Warren z agencji nieruchomości, później chciała kupić jakieś skromne prezenty, wpaść na chwilę do matki i wreszcie pokazać się na pogardzanym, lecz obowiązkowym przyjęciu organizowanym przez jej firmę z okazji świąt. Kolacje te zawsze stanowiły test na wytrzymałość, w tym roku gwarantowana była jednak wręcz próba ogniowa. I jak zwykle, urządzano je w śródmieściu, w którymś z tych wykańczanych drewnem lokali, gdzie serwowano wyłącznie steki i szkocką whisky. Sig nie cierpiała takich miejsc.

Wyszła z pracy wcześniej i pospieszyła do domu, gdzie wzięła prysznic, przebrała się i wysuszyła włosy. Później, biorąc trzysta dolarów z bankomatu na rogu, udała się w grudniowy zmierzch, zdecydowana wykonać swe zadania.

Czterdzieści minut później Sig wydołała się z FAO Schwarz, wciąż z pustymi rękami, za to absolutnie oszołomiona. Widziała koszyczek, w którym siedziały trzy małe kociaki wraz ze swoją mamą i prawie kupiła go Travisowi, w ostatniej jednak chwili spojrzała na cenę — kosztowało to dwieście siedemdziesiąt dolarów! Jessie uwielbiała lalki Barbie, ale miała ich już tyle, iż jedyną, co do której Sig mogła mieć pewność, że nie miałyby siostry — bliźniaczki, była Barbie Świąteczna. Ta z kolei kosztowała sto dwadzieścia pięć dolarów, a Sig nie zamierzała wydać takiej masy pieniędzy na plastikową lalkę. Kto miał takie pieniądze? Kim byli ci ludzie? W domu towarowym panował wściekły tłok. Sig wyszła stamtąd z lekkim odcieniem zieleni na twarzy. Trzysta dolarów tkwiło nietknięte w jej portfelu, ale jej pewność siebie jednak mocno ucierpiała.

Wydało się naturalne, że minąwszy dwie przecznice, wstąpiła do “Pierre’a”. Tylko po to, by skontrolować matkę, pomyślała. W głębi duszy wiedziała jednak, że pragnęła pocieszenia i pokrzepienia tak samo, jak pragnęła wybać sytuację. Jej matka nie była typem kobiety ciepłej, umiejącej pocieszyć: była twarda i pewna jak skała, a takiej właśnie najbardziej teraz Sig potrzebowała. Zanim dotarła do drzwi, uspokoiła się zupełnie. Nie miało to specjalnego znaczenia, gdyż Phyllis — jak zwykle — była zbyt zajęta sobą, by zwracać uwagę na innych.

— Jakie masz plany na wieczór? Zapytała Sig z nutką smutku w głosie.

— Monty ma tu przyjść. Może pójdziemy gdzieś na kolację, a może zamówimy coś do pokoju.

Sig miała nadzieję, że wyjdą do miasta; kolacje u “Pierre’a” sięgały trzystu dolarów, i to bez wina.

— A co pani zamierza robić? — zapytała uszczypliwie panią Katz.

— Och, myślę, że też zostanę tutaj. Mam coś do czytania — Starsza pani wyciągnęła z kieszeni swetra zwinięty egzemplarz „Modern Maturity”. Po raz drugi w ciągu niecałej minuty Sig rozważyła możliwość zaduszenia jej.

Chryste, powinna wziąć panią Katz ze sobą na tę firmową kolację, żeby tylko się jej stąd pozbyć! Jak, u diabła, Monty miał zbliżyć się do mamy, jeśli Sylvia wciąż plątała mu się pod nogami? Czy ona nie miała w ogóle żadnego wyczucia?

— Może wypilibyśmy później drinka na dole? — zapytała Sig, zwracając się do matki. Jeśli uda jej się wyciągnąć ich do baru, sytuacja mogłaby się rozwinąć. A tymczasem pani Katz poszłaby może spać, zostawiając ich wreszcie samych.

— Ja nie piję tak późno — odparła pani Katz i zniżając głos, dodała — Bo potem muszę wstawać w środku nocy. Inaczej wiesz.

Sig nie chciała wiedzieć. Nie chciała nawet o tym myśleć. Kiedy ona dojdzie do tej fazy w życiu, że będzie potrzebować jednorazowych pieluch? Boże, co za chore myśli. To przez te święta; zawsze ją tak rozstrajały. Zerknęła na zegarek. Teraz była już prawie spóźniona na to cholerne przyjęcie.

— Nie będę tam siedziała długo. Bawcie się dobrze z Montym — powiedziała zgryźliwie do matki.

— Na pewno! — śpiewnie zawołała pani Katz.

Przez cały wieczór Sig starała się, z powodzeniem zresztą, unikać swego szefa; stanowiło to jednak tylko połowę sukcesu. Gdyby dała Billowi szansę, usłyszałaby kolejne uwagi na swój temat: że nie podejmowała gry, że od czterech miesięcy nie odnosi żadnych sukcesów i że w tym roku nie będzie premii gwiazdkowej. Sig nie miała siły tego słuchać. Alternatywą jednak było siedzenie przy stole i wysłuchiwanie fanfaronady innych maklerów. Przypominali wędkarzy: ciągle opowiadali, jak wielkie są ich zdobycze. I wszyscy mieli skłonności do kłamstwa. Kłamstwo służyło dwóm celom: sprawiało, że ci, którzy opowiadali, czuli się lepiej, a ci, co słuchali — na odwrót. To nie był dobry rok.

Sig wiedziała, że większość z nich kłamie. Operator sieci podawał regularnie stany wszystkich kont, a Sig sprawdzała je co tydzień. Wiedziała też, że nie była jedyną, która nie przysparza zysków, ale dla niej — starszej niż większość z nich, jedynej kobiety, i w dodatku tej, której zawsze wiodło się najlepiej — stanowiło to dużo większe zagrożenie.

Udało jej się przebrnąć przez tę nieszczęsną kolację pozorując ożywioną rozmowę z jakimś asystentem ze Staten Island i od czasu do czasu obdarzając szerokim uśmiechem pozostałe osoby przy stole. Miała nadzieję, że wygląda na niezwykle zainteresowaną prowadzoną konwersacją. Westchnęła z ulgą, gdy podano deser i natychmiast się wymknęła.

Dopiero w taksówce mogła zrzucić maskę i rozluźnić się. Nie była w stanie odpędzić myśli o matce. Ciekawe, co teraz robi? Na pewno bawi się lepiej niż ona sama.

Taksówka dojechała do hotelu pokonując wzmożony ruch panujący o tej godzinie, w której kończą się przedstawienia teatralne. Sig wysiadła i przeszedłszy przez hol skierowała się do baru. Zerknęła na zegarek. Przez tę długą jazdę zrobiło się już wpół do dwunastej. Może było trochę zbyt późno na wizyty, ale Sig postanowiła spróbować. Mogło to być śmieszne, ale zapragnęła, wręcz zatęskniła nagle za kojącą...

— Dobry wieczór. Co pani tu robi? — Sig podniosła głowę i ujrzała bardzo błękitne oczy starszego mężczyzny. W jednej chwili rozpoznała go — pan Cushing z Zimowego Balu.

— Co pan tu robi? — odparła pytaniem.

— Ja towarzyszyłem Wendy jako przyzwoitka — wytłumaczył się — Ale nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

Sig roześmiała się.

— Cóż, jestem czymś w rodzaju przyzwoitki mojej matki. Wspominała panu, że tu się zatrzymała — wyjaśniła. Pomyślała o kwiatach, które przysłał. — Ale zdaje się, że pan o tym wie. — Patrząc na Paula Cushinga poczuła nagle, że może powiedzieć mu przynajmniej część prawdy. — Niepokoję się trochę o tego osobnika, z którym tańczyła na balu tamtej nocy.

Paul uśmiechnął się.

— W dzisiejszych czasach nigdy dość ostrożności — zgodził się. — Matki i wnuczki potrzebują ochrony. — Zniżył głos. — Czy mam go dla pani sprawdzić? Posiadam firmę, która wykonuje takie usługi.

— Naprawdę? — zdumiała się Sigourney. — Czy to przypadkiem nie zakrawa na paranoję?

Paul wzruszył ramionami.

— Możliwe — odparł. — Ale odkąd mój syn i synowa zginęli, nie został mi nikt oprócz Wendy. Jestem zapewne nadopiekuńczy, ale ona jest moją spadkobierczynią, a w dzisiejszych czasach nie jest łatwo wychować nastolatkę.

Sig skinęła głową.

— Myślę, że to akurat nigdy nie było łatwe. Nie jest to zapewne pocieszenie dla pana — przerwała. — Przykro mi słyszeć o pańskim synu i synowej.

Paul wzruszył ramionami.

— Prowadził po pijanemu. Zawsze czuję się winny, że nie potrafiłem go powstrzymać. — Ponownie uniósł ramiona. — Cieszę się, że Wendy przeżyła. — Przez chwilę stali w milczeniu. — A co powiedziałyby pani na drinka? — zapytał.

— Miły człowiek, pomyślała Sig. Gdyby nie był taki stary, mogłaby nawet... Był jednak idealnym kandydatem na ojca.

— Może wstąpi pan na drinka na górę? — zaproponowała spontanicznie. Nawet jeśli Phyllis usiłowała go zrazić, jego to bawiło. Może zwykli ludzie go znudzili, a może był masochistą. Nigdy nie wiadomo.

— Z chęcią — odparł. — Muszę przyznać, że naprawdę podziwiam zażyłość waszej rodziny. Rzadko spotyka się ludzi, którzy tak dobrze czują się razem jak wy.

Sig tylko się uśmiechnęła.

— O tak — odparła, przypominając sobie samej, że rozwaga jest ważnym składnikiem męstwa. Wpadła na pewien pomysł. — Może miałby pan ochotę przyjść pojutrze na przyjęcie urodzinowe mojej matki?

— Z przyjemnością. Mogę zabrać Wendy? Chciałbym, żeby zobaczyła, jak można spędzać czas z rodziną.

— Naturalnie.

Wręczył jej swoją wizytówkę. Podeszli razem do windy. Sig nacisnęła guzik i drzwi otworzyły się natychmiast. Wjechali na górę. Wyjęła klucz i najciszej, jak potrafiła otworzyła drzwi. Nie chciała przeszkadzać matce, jeśli Monty poszedł już do domu. W pokoju jednak paliło się światło. Z salonu dochodziła ożywiona rozmowa. Gdy podeszli bliżej drzwi, Sig usłyszała głos matki.

— O, wyłożyłeś się wreszcie. I to na czysto.

— Mówiłaś, że tak można — zaniepokoił się ktoś ochryplym głosem.

— No tak, ale minimum punktów musisz zebrać na rękę — odezwała się pani Katz.

Sig na palcach weszła do salonu i zamarła. Paul Cushing szedł za nią.

— Nie możesz tego zrobić. Stosik jest zamrożony, tu leży czarna trójka — jakiś głos strofował panią Katz.

Przy stole, na którym obsługa zwykle stawiała tacę, siedziała jej matka, Monty, Bernard Krinz i Sylvia Katz. Przerazający był fakt, że na środku stołu leżał stos różnych części garderoby i butów, Monty zaś od pasa w górę był nagi. Dopiero po chwili Sig zorientowała się, że pani Katz była gorzej niż naga: pozbawiona butów i pończoch, które wraz z jej wyciągniętym swetrem, okularami i suknią leżały na stole, siedziała w workowatej, nylonowej halce, przez którą prześwitywała jakaś straszliwa, pełna sprzączek bielizna. Sig odwróciła wzrok o tych pasków i klamerek, w które zaplątana była starsza pani i krzyknęła.

— Czy ktoś tu oszalał?

— O mój Boże! — powiedziała pani Katz, nerwowo kładąc rękę na swej piersi. — Przeraziłaś mnie.

— Co wy, u diabła, robicie? — Sig zażądała wyjaśnień od czworga winowajców.

— Gramy w rozbieraną kanastę — wyjaśnił z zadowoleniem Monty. — Przegrałem koszulę do twojej matki.

Sig ominęła wzrokiem jego białą owłosioną pierś i spojrzała na matkę, która siedziała wyprostowana, z chłodnym wyrazem twarzy, trzymając karty w dłoni. Nie straciła nawet kolczyków. Żadne z ubrań i akcesoriów na stole nie należało do niej. Chwała Panu za to! Co jednak pomyśli sobie Paul Cushing? Idiotyczne zachowanie tej czwórki podstarzałych hazardzistów sprawiło Sig we wściekłość. Nie była pewna czy ma się śmiać czy płakać. Niezależnie od wyboru wiedziała, że oba wyjścia są złe.

— Kto to zaczął? — zapytała oskarżycielsko.

Pani Katz spojrzała na nią spokojnie. W dalszym ciągu zdawała się mieć więcej sztuk odzieży na sobie, niż na stole, przez jej halkę przebierał ciężki gorset i szeroki stanik i niezliczonej ilości haftek. Nic dziwnego, że mąż ją opuścił; ilość spinającego ją metalu musiała się równać tej, która podtrzymywała most Tappan Zee.

— Moim pomysłem była gra w kanastę — powiedziała Sylvia skromnie, jak gdyby zamiast poczucia winy wypełniała ją duma. — Potrzebowaliśmy, czwartego, więc zadzwoniliśmy po Bernarda. — Tu starsza pani czknęła. Przed nią stały trzy puste szklaneczki po whisky. Czyżby piła?

— A kto zaproponował ten hazard? — prowadziła śledztwo Sig. — Cóż — odparła ze stoickim spokojem jej matka. — Sylvia nie lubi grać na pieniądze, Monty wymyślił więc, by grać jak w rozbieranego pokera. Ponieważ nigdy wcześniej nie grał w kanastę i nie nosi biżuterii, daliśmy mu fory.

— Ja straciłem już moją spinkę od Cartiera z prawego rękawa — powiedział Bernard z entuzjazmem większym niż można by go podejrzewać. — Nie grałem w kanastę od śmierci mojej matki.

Sig zwróciła się do Monty'ego.

— Namówiłeś ich do gry w rozbieraną kanastę? — zapytała z niedowierzaniem w głosie — W co zamierzacie grać później? W butelkę? Godzinę szczerości? — A jak się w to gra? — zapytał Monty, szczerze zainteresowany. — Nie mamy takich gier w Glasgow.

Sig odwróciła wzrok, by nie patrzeć na jego nagi tors. Podbródek zwisał mu jak korale u indyka, opadając na piersi w sposób, którego nawet nie chciała oglądać. Miał niedokładnie ogoloną twarz, a brwi bardziej dzikie niż Brooke Shields podczas huraganu. Starość była okropna. Obrzydliwy rozpad, upokorzenie ludzkiego ciała.

Postanowiła niezwłocznie podwoić czas poświęcany na ćwiczenia i stracić co najmniej półtora kilograma. Nie pozwoli, by jej ciało obwisło, skóra zwiędła, a krok stał się powolny. Wolalaby prędzej umrzeć. Spojrzała na matkę.

— A jak tobie minął wieczór? — zapytała Phyllis.

Sylvia Katz leżała bez sił na chesterfieldowskiej sofie, dzierżąc w jednej dłoni szklankę z maalochem, a w drugiej plastikowy worek z lodem który przykładła do czoła. Phyllis nie mogła się powstrzymać od śmiechu, choć starała się to ukryć. Cena, jaką płaciła Sylvia za swe grzechy, była wysoka, ale cechy charakteru, które uwolnił w niej alkohol, przynajmniej z punktu widzenia Phyllis, były tego warte. Sylvia pokazała poprzedniej nocy swoje drugie ja, które niezmiernie podobało się Phyllis. Jak przypuszczała, Monty'emu i Bernardowi podobało się jeszcze bardziej.

— Będziesz musiała się niedługo pozbierać. Sig i Sharon przyjdą zaraz po ciebie. Robią z tego przyjęcia urodzinowego wielkie halo. Sylvia przesunęła łód na czoło. — To jak? — zapytała Phyllis, a na jej twarzy pojawił się złośliwy uśmiech. — Chcesz jajecznicę z serem na lunch? Czy może jajko po wiedeńsku? Holenderski ser jest naprawdę doskonały.

— Przestań. Chyba łapie mnie grypa — jęknęła Sylvia. — Nawet myśl o grzance... — wstrząsnął nią dreszcz.

— Może to nudności poranne? — roześmiała się Phyllis.

— Ty i te twoje żarty!

— A kto tu żartuje? To była niezła noc, jak na ciebie. Trzy szklanki whisky!

— Nie pamiętam wszystkiego, ale zdaje się, że Monty i ja przegraliśmy.

— Z pewnością wyłożyliście wszystko na stół — powiedziała Phyllis.

— Nie bądź nieprzyzwoita. W końcu to twój konkurent.

Phyllis wzruszyła ramionami. Dziwna sprawa: Monty był łysy i nieatrakcyjny. Z całą pewnością pił za dużo; dowodziły tego popękane żyłki na jego nosie. Był niski i miał obwisły brzuch, a jednak kiedy zdjął koszulę, Phyllis poczuła dziwne... Nie potrafiła tego nazwać. Jego tors porastał skłębiony gąszcz białych włosów. Piersi były niemal tak duże jak jej własne. A jednak nie mogła przestać myśleć o tym, co czułaby, gdyby przytuliła swe ciało do jego.

— Przepraszam cię. To nie jest moja sprawa, ale...

Ilekroć Sylvia zamierzała wetknąć nos w czyjeś sprawy, które na pewno nie były jej sprawami, rozpoczynała właśnie w ten sposób. Phyllis uśmiechnęła się. Zdumiewające było, z jaką niezwykłą cierpliwością potrafiła znosić tępotę Sylvii, wykazując przy tym całkowitą nietolerancję dla najmniejszych oznak głupoty u Susan czy Sharon. Ciekawe, dlaczego?

Sylvia odchrząknęła, czyniąc przy tym hałas podobny temu, który czyniła jej zmywarka do naczyń, zanim zaczęła pracę.

— Jeśli wciąż będziesz się z nim widywać, z tym Montym, zwłaszcza późną nocą, wiesz, co on sobie pomyśli?

— Że jestem wampirem?

— Żarty. Ciągłe te żarty. Chcę ci tylko powiedzieć, a mówię serio: on sobie pomyśli, że się o to prosisz, a wtedy pożałujesz. To się skończy płaczem.

— Że się o to proszę? — Phyllis zastanawiała się, czy Sylvia w jakiś sposób dowiedziała się o planach dzieci. — O co? — zapytała.

— No, wiesz. — Sylvia zniżyła głos — O seks — przeliterowała.

— No i co wtedy?

— Co wtedy? Wtedy może chcieć, żebyś to zrobiła. Wiesz, że Oscar Bernstein chciał, żeby Natalie Schwartz zrobiła to z nim po miesiącu spotykania się? Powiedziała mi o tym. Była przerażona! Najpierw wsadził jej język w usta. A potem chciał, żeby... — Sylvia ponownie zniżyła głos i pochyliła się do przodu. Musiała popić swój maaloX, by zebrać siły. — Chciał, żeby pocałowała jego ptaszka! — szepnęła, opadając z powrotem na sofę. — Oooch! — zabulgotała.

— Wiesz, Sylvio, Monty już wsadził swój język w moje usta.

— A widzisz! Wiedziała! O mój Boże. Musisz to przerwać natychmiast. On nie jest taki, jak Bernard. Bernard jest prawdziwym dżentelmenem. Ale ten Monty... Myślę, że dosypał nam czegoś do drinków.

— Doprawdy? — zdziwiła się Phyllis.

Jej przyjaciółka traktowała to wszystko naprawdę poważnie.

— Jeszcze nie jest za późno. Skończ z tym, póki czas. — Sylvia wyprostowała się i przycisnęła swoją torbę do łona. — Tylko lunche. Za dnia. Nic w ciemnościach. Inaczej oni mają różne pomysły, ci mężczyźni.

Phyllis potrząsnęła głową.

— To ja mam pomysł, Sylvio. Mnie się podobało, kiedy mnie całował.

— Z językiem? Całował cię w ten sposób, a tobie się podobało? Daj spokój, moja droga. Nie szalej. Czy lubisz też ślimaki i inne takie paskudztwa? Ostrzegam cię, Phyllis, igrasz z ogniem. Co zrobisz, kiedy będzie chciał pójść z tobą do łóżka?

— Pójść do łóżka? — Phyllis roześmiała się. — Chciałabym żyć tak długo. Sylvio, ja chcę się z nim kochać. Podoba mi się — mówiąc to, zdała sobie sprawę, że to prawda.

— Sid mi się też podobał — przyznała — Nie znaczy to jednak, że lubiłam... no, wiesz.

Phyllis odebrało na chwilę mowę. Wiedziała, że różni się od innych kobiet, ale teraz, przy Sylvii Katz, czuła, że dzieli ją od nich przepaść.

— Co ty mi mówisz? Że nie lubiłaś się kochać z twoim mężem?

— A któż mógłby to lubić? Ta jego rzecz... była taka purpurowa. A ta reszta, taka pomarszczona zwisała i trzęsła się jak podbródki prezydenta Nixona.

— Sylvia wzdrygnęła się i skończyła swój maaloX — Pamiętasz, jak on się trząsł, kiedy przemawiał? Już za to powinni byli go zdymisjonować. Za każdym razem, kiedy patrzyłam na prezydenta, myślałam o Sidzie i jego... — skrzywiła się. — Dlaczego mężczyźni chcą to komukolwiek pokazywać? Nie bez powodu nazywa się to częściami intymnymi.

Phyllis pomyślała o Montym i o tym, jakich wrażeń doznawała, gdy trzymając ją w ramionach prowadził tak pewnie po parkiecie tanecznym. Był świetnym tancerzem. Zawsze miała wrażenie, że jest to zapowiedź... możliwości. Nie znaczy to, by sprawdziła kiedyś swoją teorię w życiu. Nigdy nie spała z innym mężczyzną poza Iraw, ale przemknęła jej przez głowę taka myśl. Właściwie tylko raz, kiedy byli na wakacjach z Kitty i Normanem Steinbergami. Uważała, że Norman był... no, interesujący.

Ira nigdy nie był dobrym tancerzem, i już na długo przed swoją chorobą nie zdradzał chęci do tańca. A odkąd postawiono diagnozę, skończył się i seks. Kiedy ogłoszony ten wyrok? Przez chwilę Phyllis zastanawiała się, kiedy po raz ostatni kochała się z mężem. Z pewnością nie w tej dekadzie. Nie była nawet pewna, czy mogło to być w poprzedniej.

Jeśli ją pamięć nie myliła, było to latem 1979 roku nad jeziorem George. Gdyby wtedy wiedziała, że jest to ostatni raz, zwróciłaby na to więcej uwagi. Westchnęła, wspominając słońce wpadające przez okno hotelowego pokoju i ciało Iry na swym cieple. Lubiała, gdy brał w dłonie jej piersi. Były już wtedy nie takie jędrne jak dawniej, ale jemu zdawało się to nie przeszkadzać. Pieścił ją zawsze tak delikatnie i czule. Gdy była młodsza, miała długie włosy. Ira powoli wyjmował z nich spinki, tak by ciężką falą opadły w dół, aż do talii. Nawet jeśli nie był obdarzony zbytnią fantazją, na pewno był bardzo uczuciowy.

Phyllis potrząsnęła głową. Teraz jej piersi były obwisłe, a włosy krótkie. Zastanawiała się, co Monty, sam niezbyt urodziwy, pomyślałby o jej ciele. I co ona pomyślałaby o nim. Wiedziała dobrze, jak sama wygląda i nie było ty pokrzepiające. W jakiś sposób jednak, myśląc o jego owłosionej piersi i o tym, jak jego ręka, wsparta o dół jej pleców, pewnie prowadziła ją w tańcu, poczuła dreszcz w dawno uspiionych miejscach. Oblała się rumieńcem. Za chwilę skończy siedemdziesiąt lat, to śmieszne w jej wieku myśleć w ten sposób, czuć w ten sposób — mówiła sobie. A jednak było to przyjemne.

Phyllis spojrzała na swoją przyjaciółkę poprzez dzielącą je przepaść. Wiedziała, że było to śmiechu warte, ale poczuła, jak jej sutki twardnieją w sposób, o jakim nawet nie chciała pamiętać. A tam, tam... poczuła, że znowu żyje. Może było to w niej cały czas, tylko po prostu nie pamiętała. Jak z jazdą na rowerze, tego się nie zapomina. Nagle przypomniała sobie, że nigdy nie nauczyła się jeździć na rowerze i uśmiechnęła się. Przyjemnie było mieć takie uczucia. To smutne, że Sylvia nigdy tego nie przeżyła. Jakby na to nie spojrzeć, czymże były te wszystkie czułe miejsca na ciele, jak nie samym życiem, skoncentrowanym w trzech punktach?

Sylvia znowu mówiła. Phyllis zmusiła się do koncentracji. Jej przyjaciółka była właśnie w połowie „wykładu”.

— I nie tylko to, ale wiesz, to już nie jest bezpieczne — mówiła pani Katz. — Trzeba się martwić o to, co może się stać.

— A co może się zdarzyć? Mogę dostać porannych nudności, tak jak ty? Zайдę w ciążę?

— Bardzo śmieszne — prychnęła Sylvia. — Nie. Mam na myśli AIDS. Możesz się zarazić i umrzeć.

Phyllis spojrzała przyjaciółce prosto w oczy.

— Jutro kończę siedemdziesiąt lat, Sylvio. Umrę tak czy owak — powiedziała. — Ale najpierw zamierzam trochę pożyć.

Obie córki Phyllis pojawiły się w hotelu, by zabrać panią Katz do Sig. Miały razem przygotowywać jutrzejsze przyjęcie. W ten sposób Sig mogła mieć pewność, że Sylvia także i później nie będzie siedzieć tutaj jako przyzwoitka. Przy odrobinie wysiłku może uda jej się namówić starszą panią na nocleg u siebie w domu, co dałoby Phyllis i Monty’emu choć trochę tak potrzebnej intymności. Pani Katz zaproponowała, że upiecze swe słynne anielskie ciasto urodzinowe. Sig przyjęła tę propozycję nie dlatego, że nie miała ochoty wydawać pieniędzy na tort z cukierni, ani też dlatego, że pragnęła wypróbować swój piekarnik, ponieważ dotąd go nie używała. Chciała tylko pozwolić im być samym. Sharon była otepiała, jakby marzyła tylko o tym, by przebrnąć przez święto Chanuki i Boże Narodzenie nie rozczarowując zbytnio swych dzieci i nie wyrzucając Barney’a z domu.

— Gotowa do wyjścia? — zapytała Sig panią Katz. Za chwilę miał pojawić się tu Monty.

— Pssst — syknęła Sylvia, wkładając w holu płaszcz. — To nie jest porządny człowiek. Był bardzo zuchwały wobec twojej matki — szepnęła — Dobrze, że tu byłam.

— Jak to, zuchwały? — zapytała Sig, czując, jak jej serce podchodzi do gardła, a żołądek kurczy się gwałtownie.

— Usłyszałam jakiś hałas. Już prawie spałam, ale usłyszałam to. Wyszłam więc z sypialni, a oni leżeli na sofie i on próbował... — pani Katz przerwała. — No, był zuchwały — powtórzyła.

W tej chwili Phyllis wkroczyła do salonu ubrana w suknię z miękkiej dzianiny i dobrany do niej toczek. Sig uniosła brwi.

— Wiem, wiem — powiedziała matka, wzruszając ramionami. — Ten kapelusz. Bruce mnie zmusił. — Sig zastanawiała się, ileż owo nakrycie głowy mogło ją kosztować i czy równie dobrze wyglądałoby na niej. — Bruce nalegał, a Monty powiedział, że lubi kapelusze.

On był wobec niej zuchwały, a ona chciała mu się podobać? To brzmi obiecująco, pomyślała Sig.

— Wygląda prześlicznie — oceniła toczek pani Katz. — I ty także.

— Wiesz teraz, dlaczego lubię ją mieć w pobliżu? — zapytała Phyllis swą córkę.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Wcześniej przychodzi — powiedziała Sig. — To dobry znak.

— To nie może być Monty. Nie zadzwonił z dołu. To pewnie ktoś z obsługi.

Sig podeszła do drzwi i otworzyła je. W progu stał jej brat, Todd i Bernard Krinz. Przez chwilę Sig poczuła się zbита z tropu. Bruce nie widział się z Krinzem chyba od czasu pamiętnego balu. Więc co on tu robił? Todd, jak się zdawało, zadawał sobie to samo pytanie, w dość zaborczy sposób trzymając Bruce'a za rękę. Bruce uśmiechnął się i uszczypnął Todda w policzek.

— Cześć — rzucił niedbale, wymijając siostrę. Todd i Bernard postępowali za nim krok w krok. — Dzień dobry, Sylvio. Cześć, mamó — przywitał się. — Przechył ten kapeluszek.

Podszedł do matki, pocałował ją w policzek, po czym poprawił toczek tak, by wyglądała w nim twarzowo. W przedpokoju zrobiło się tłoczno. Bruce przepchnął się do salonu i runął na sofę.

Co tu się, u diabła, dzieje? — zastanawiała się Sig.

— Bruce, mogę z tobą porozmawiać? — zapytała, zmierzając ku drzwiom sypialni.

— O, Boże. Nie mogę już wstać. Jestem skonany.

— Natychmiast — powiedziała tonem, którego używała kiedyś, budząc go do szkoły. Jeśli nie skutkowało, przynosiła kubek z zimną wodą. Teraz jej spojrzenie uniosło brata z kanapy. Kiedy zamknęły się drzwi, odgradzające ich od salonu, Sig wybuchnęła:

— Co tu się, do cholery, dzieje? Po co sprowadziłeś tu jego?

— Och, to on zadzwonił i zaprosił mnie na uroczystość podpisywania jego książki. Kupiłem jedną i zaprosiłem go tu na drinka.

— Czy ty oszalałeś? Monty ma tu być za dziesięć minut, a ty przyprowadzasz tu Krinza? Ja tu usiłuję stworzyć atmosferę do oświadczyń, a nie zorganizować kolejną orgię staruszków.

— Rozchmurz się, miła! — Bruce rzucił się na łóżko. — To nie jest operacja mózgu, to tylko randka. Wyobraź sobie, ten gość twierdzi, że mógłby wejść w moją firmę.

— I w co jeszcze twojego mógłby wejść? — zapytała z gniewem. — Jesteś niepoprawny. Bez przerwy flirtujesz. Twoje zachowanie jest doprawdy karygodne. Narazasz cały nasz plan na fiasko dla...

— Hej, Sig, nie rozmawiamy przecież o leczeniu raka. To nie ty potrzebujesz pieniędzy. — Sig miała ochotę udusić go na tym łóżku. — To mnie potrzebna jest forsa. A ten Krinz nie jest taki zły, jak na starego geja.

Zbyt wściekła, by móc wykrztusić z siebie słowo, Sig odwróciła się i wpadła do salonu, w którym Monty podawał właśnie płaszcz jej matce.

— Tempus fugit — rzekł Montague — Zabieram waszą matkę na mały koncert.

— Do opery? — zapytał Bernard tęsknym głosem.

— Nie.

— Orkiestra San Francisco w Carnegie Hall? — wypytywał dalej Krinz.

— Nie, Warren Zevon w Village.

— Bawcie się dobrze — powiedziała pogodnie Sylvia.

Monty uniósł brwi i uśmiechnął się do niej.

— Ty również — odrzekł. — Kto tu ma kaca? — zapytał żartobliwym tonem, najwyraźniej przypominając jakiś im tylko znany żart.

— Pani Katz — zachichotała Sylvia.

— I czasami pani Nussbaum — dodał Monty i roześmiał się.

W progu sypialni stanął Bruce.

— Monty, dostałeś bilety na koncert Warrena Zevona? — zapytał z niedowierzaniem. — One były nieosiągalne!

— To mały przedurodzinowy prezent. — Monty położył ręce na ramionach Phyllis. Z tego, co wiem, jutro wasza matka ma święto — uśmiechnął się do niej. — Wyglądasz precudownie w tym nakryciu głowy. Istna Betty Bacall. — Ujął ją w ramiona i wykonał kilka tanecznych piruetów po pokoju. Całe towarzystwo patrzyło na nich oniemiałe.

— Zdaje mi się, że to bardzo zachwycony chłopiec — powiedział Bruce patrząc, jak Montague Dunleathe prowadzi ich matkę w noc rock and rolla.

Sharon, Barney, Jessie i Travis zebrali się wszyscy w mieszkaniu Sig. Siostry były zajęte ostatnimi przygotowaniem do przyjęcia. Todd, zatrudniony przy dekoracyjnym układaniu serwetek, w swym szaleństwie dokonywał niemal cudów. Był, jak się zdawało w niezbyt różowym nastroju. Cóż Sig również. Obchodzili siedemdziesiąte urodziny Phyllis, choć matka twierdziła, że dopiero sześćdziesiąte dziewiąte. Normalnie Sig wysłałaby jej czek i kartkę z życzeniami, jak w ubiegłych latach, teraz jednak, ponieważ była tu, w Nowym Jorku, a jej romans z Montym nabierał rumieńców, trójka rodzeństwa miała nadzieję, że rodzinna atmosfera przyjęcia wpłynie na wielbiciela i zaowocuje pierścieniem na rękę ich matki.

Pomimo zaaferowania, Sig zaniepokoiła nagła cisza. Gdzie są dzieci?

— Kto pilnuje twoich dzieci? — zapytała Barney'a.

Pani Katz wciąż była zajęta przy urodzinowym torcie, a Barney'a, jak się zdawało, nie obchodziło nic. Sig precyzyjnie się koło nich.

— O mój Boże! Wyrzucają jakieś przedmioty z balkonu!

Sig wyobraziła sobie, jak biedny Travis odbywa szybki lot z trzydziestego drugiego piętra. Wyminięła siostrę spieszącą ku swym dzieciom, przeszła przez udekorowaną jadalnię, nieskazitelnie uprzątnięty salon i wyszła na niewielki taras. Travis obserwował właśnie szybującą w dół płócienną serwetkę, a Jessie zamierzała wyrzucić za balustradę kryształowy kielich do szampana.

— Stop! — rzekła Sig głosem, który zamienił dzieci w kamienne posążki. — Oddaj mi kieliszek, Jessie — rzekła do siostrzenicy.

Jessie milcząc potrząsnęła głową i schowała szło za siebie.

— Jessie — odezwała się Sig słodkim głosem — Czy ktoś ci kiedyś wlał tak, że twoja pupa zrobiła się purpurowa?

Jessie ponownie potrząsnęła głową.

— To dzisiaj może się tak zdarzyć. Chyba, że oddasz cioci Sig kieliszek.

Dziewczynka wyciągnęła rączkę z kieliszkiem w stronę Sig, która uśmiechnęła się i delikatnie ujęła przedmiot sporu w palce.

— Trafny wybór, Jessie — pochwaliła ją Sig. — Twoja pupa jest bezpieczna. Przynajmniej na razie. Wejdźcie teraz do środka i zachowujcie się grzecznie, inaczej ani ty, ani twój brat nie dostaniecie od cioci prezentów.

Sig weszła za dziećmi do mieszkania.

— Barney, gdzie jesteś? — zawołała.

Barney pojawił się w progu kuchni, trzymając w jednej ręce szklanekę z martini, a w drugiej talerz przekąsek.

— Wszystko pod kontrolą? — zapytała go szwagierka z lodowatą uprzejmością.

Barney skinął głową. Tego ranka Sharon powiedziała siostrze, że jeśli w przyszłym miesiącu nie wpłacą pieniędzy do banku, ten wejdzie im na hipotekę. Barney'a jakoś to nie martwiło. Sig nachyliła się do niego, pomimo, że ohydnie zionął alkoholem.

— Miej oko na dzieci, Barney, bo ci oko wydlubię i wrzucę do tego cholernego martini. Tuż obok oliwki.

Minąwszy zdumionego szwagra, Sig weszła do kuchni. Pani Katz wykańczała tort, udekorowany fantazyjnie portretem Phyllis, napisem “wszystkiego najlepszego” i wianuszkami bukiecików z kremu. Ponieważ Monty zdawał się świata nie widzieć poza Phyllis, przy odrobinie szczęścia to zebranie rodzinne mogło być doskonałą okazją do wymuszenia na nim jakiejś deklaracji. Dużo większy problem stanowiła matka. Pomimo wciąż ponawianego śledztwa rodzeństwu wciąż nie udawało się dowiedzieć, co sądziła Phyllis na temat swego adoratora. Nie było to zresztą nic nowego. Kto wie, jak zachowa się ich matka, jeśli Monty się oświadczy? Niewątpliwie dobrze się bawiła w jego towarzystwie, ale poza tym, że wciąż z niego żartowała, nie zachęcała go w żaden sposób. No i stale wymigiwała się od odpowiedzi na ich pytania.

— Czy mogłaby pani już to skończyć? — poprosiła Sig — Proszę!

— Dobrze nie znaczy szybko — odparła pani Katz.

Sig odwołano do jadalni, gdzie zakłopotana Sharon nakrywała do stołu.

— Ile ma być tych nakryć? — zapytała z irytacją.

Nie było łatwo ustalić liczbę gości. Phyllis od trzydziestu pięciu lat wojowała ze swoją siostrą, więc ich ciotka i wuj raczej odpadają. Z rodziną ze strony męża nie rozmawiała nigdy. Sig uciekła się do zaproszenia Phillipa Normana, miał też przybyć Bernard Krinz. A co, u diabła. No i pamiętała o swym zaproszeniu dla Paula Cushinga i jego wnuczki. Przyjęli je ku zadowoleniu Sig. Galanteria Paula w stosunku do Phyllis mogła podzielać na Monty’ego i przyspieszyć oświadczyzny. Sig odnosiła wrażenie, że obecność Bernarda miała właśnie taki wpływ na Todda, który okazywał jej bratu więcej zainteresowania niż kiedykolwiek przedtem. Tak czy owak, gdyby nawet Cushing nie podzielał jako bicz na Monty’ego, a ten jakimś sposobem by zawiódł, Paul mógł doskonale go zastąpić.

Bruce pomagał matce przygotowywać się na przyjęcie. Wbrew pozorom nie było to zadanie łatwe.

— No i cóż? Jak ci idzie z Toddem? — zapytała, krzywiąc się nerwowo, podczas gdy syn usiłował zrobić jej makijaż.

Bruce westchnął.

— Nie jest łatwo być gejem w latach dziewięćdziesiątych.

— Daj spokój, na pewno łatwiej niż w pięćdziesiątych. Myślisz, że zwykli ludzie nie mają problemów? Sądzisz, że Monty jest ideałem? Uważasz, że powinnam mu powiedzieć, że tak naprawdę mam siedemdziesiąt lat? To znaczy...

— Nie, nie jest ideałem. I zdecydowanie nie mów mu, ile masz lat. Ja nie zdradzam tego nikomu. Nie sądzę zresztą, żeby miało to dla niego jakieś znaczenie. Ale nie ryzykuj. On jest bardzo bogaty.

— Bogaty, ee tam... Jest dla mnie miły. Bawi mnie. Jest dobry. Okay, może i nie jest profesorem, ale to dobry człowiek.

— No to co? Wyjdiesz za niego?

— Nie prosił o to — powiedziała Phyllis cicho.

— A jeśli to robi?

— Cóż, myślę, że mnie kocha...

— Nikt nie kocha mnie prawdziwie, tak jak ja... — zaśpiewał Bruce. — Nawet ty — dodał.

— Bruce Geronomous! Jak możesz tak mówić! Czy nie wiesz, jak bardzo cię kocham? Myślisz, że wkładam te cholerne, obcisłe rajstopy tylko po to, by złapać męża? Robię to, by zadowolić ciebie.

— Naprawdę?

— Owszem. Ponieważ wiem, że zawsze podobały ci się szczupłe sylwetki. Ta Audrey Hepburn. Ty i te twoje filmy. Ile razy oglądałeś Audrey Hepburn w Charade? Spójrzmy prawdzie w oczy, podobała ci się bardziej niż ja.

Bruce skinął głową.

— Uwielbiałem ją. Gdyby była gejem, byłaby dla mnie idealna.

Phyllis ujęła w ręce twarz syna.

— Kochanie, nikt nie jest dla nikogo idealny. Ani Ira, ani Monty, ani Todd. Ani ta Audrey Hepburn, niech spoczywa w pokoju.

— To nie wyjdiesz za Monty’ego? Nie wierzysz w prawdziwą miłość?

— Nie, Bruce. Wierzę w prawdziwy kompromis. Bądź miły dla Todda. Nie baw się nim. On naprawdę cię lubi.

Przyjęcie rozkręcało się na dobre. No, nie było to może szaleństwo, ale jak dotąd, szło zupełnie nieźle, pomyślała Sig. Phyllis odśpiewała swój ulubiony numer, parodiując Bea Lillie. Jej wysiłek jednak — a była w tym całkiem dobra — poszedł na marne, albowiem nikt już nie pamiętał Bea Lillie. Piosenka natomiast, „There Are Fairies at the Bottom of the Garden”, została odśpiewana zbiorowo, przy współudziale Todda, Bruce’a, Bernarda i dzieci. Monty, jak zawsze, śmiał się na cały głos, uderzając dłońmi w uda.

Monty namówił panią Katz na następną podstępną szklaneczkę whisky, w rezultacie czego starsza pani stała się nieco swawolna.

— A kim pan jest? — zapytała, zwracając się do Paula Cushinga. — Czy często odwiedza pan Florydę? — Paul przyznał, że niezbyt. — A gdzie pańska żona? — indagowała go rozbrykana Sylvia.

— Sylvio, daj spokój — pohamowała ją Phyllis, biorąc przyjaciółkę pod ramię i przyciągając z powrotem w pobliże Monty’ego.

Sylvia wyciągnęła rękę.

— Wiecie, nasza jubilatka ma wielkie powodzenie. Mężczyźni na Florydzie szaleli za nią — oznajmiła. — Prześcigali się na swych wózkach, by się do niej dopchać.

Monty roześmiał się, choć Sylvia mówiła zupełnie poważnie.

— Ja nie potrzebuję wózka, zobaczysz. Potrzebuję natomiast Phyllis. — Ujął dłoń swej wybranki, położył ją na własnym przedramieniu i spojrzał na trójkę rodzeństwa. — Chciałbym zadeklamować pewien wiersz — oznajmił.

Bruce powstrzymał Todda od zerwania się z białej kanapy i zrobienia kolejnego zdjęcia. Monty podniósł się i jakby znów był chłopcem ze szkoły w Glasgow, stanął na środku z opuszczonymi rękami, gotów do recytacji. Był to wiersz Andrew Marvella „Do nieskorej bogdanki”*

*Andrew Marvell To his coy Mistress — 24 wiersze przeł. Stanisław Barańczak, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1993

“Gdybym dość czasu i świata miał, miła,
Cnotliwość twoja zbrodnią by nie była.”

— O Chryste, Sig — szepnął Bruce — Nazwał mamę cnotliwą.

— Zamknij się, nadeszła wielka chwila — fuknęła.

Monty mówił dalej.

“Mógłbym twoim tropem
Dążyć na dziesięć już lat przed potopem
A ty byś trwała w nieczulej odmowie,
Póki nawrócą się wszyscy Żydowie.
Roślinna miłość we mnie by wzrastała
Większa od królestw, bardziej od nich trwała.”

— O czym on mówi? — szepnęła Sharon — Czy on chce, żeby zmieniała wyznanie?

— Co to jest roślinna miłość? — zapytał Barney. — Czy ten facet jest pijany, czy perwersyjny?

— Ciii — uciszyła ich Sig.

*“Cóż kiedy za mną pędzi pogoń chyża -
Skrzydlaty rydwan czasu wciąż się zbliża
A tam, przed nami, czekają jedynie
Nieogarnionej wieczności pustynie.”*

— Jakie to miłe i radosne — powiedział Bruce. Phyllis jednak wyglądała na oczarowaną.

*“Robak niszczyć zacznie
Dziewictwo, któreś chroniła tak bacznie;
Cała twa cnota prochem wnet się stanie,
Popiołem — całe moje pożądanie.
Chociaż przytulnym miejscem jest mogiła,
Wątpię, czy ktoś cię tam przytuli, miła.”*

Monty zakończył z emfazą.

— Doprawdy budujące — skomentował Todd. — Czy on to sam napisał?

— Coś ty właściwie robił w szkole? — zapytał Bruce.

— Musiałem być wtedy chory — mruknął Todd, wzruszając ramionami.

Sylvia wycierała oczy chusteczką. Monty podszedł do Phyllis i ująwszy ją za rękę, zwrócił się ku jej dzieciom.

— Chciałbym was prosić o zgodę na poślubienie waszej matki. — powiedział. — Nie zrobię tego, jeśli macie jakieś obiekcje — mam na myśli względnie na pamięć waszego ojca czy coś w tym stylu. Zrozumiem to, jednak kocham Phyllis, a w naszym wieku nie mamy już czasu do stracenia. Ja nie mam dzieci; nie zaznałem tego szczęścia w życiu, zawsze jednak uważałem, że rodzina jest rzeczą najważniejszą. — Jego oczy zwilgotniały. — Lubię was wszystkich i czułbym się zaszczycony, gdybyście zechcieli przyjąć mnie do waszej rodziny.

— Życie mu niemiłe? — szepnął Bruce, Sig jednak zignorowała go. Wstrzymała oddech i spojrzała na matkę.

— My chcielibyśmy tego bardzo, Monty — powiedziała. — Ale, oczywiście, decyzja należy do mamy.

Monty zwrócił się ku Phyllis i wyjął niebieskie aksamitne pudełeczko. Otworzył wieczko i nawet poprzez stół rodzeństwo dostrzegło blask ogromnego diamentu, otoczonego przez mniejsze, trójkątne kamienie. Phyllis spojrzała na pierścionek, a potem na Monty'ego. W jednej chwili żołądek podszedł Sig do gardła — pomyślała, że matka obróci to znowu w żart i odrzuci oświadczenia. I nagle stał się cud — Phyllis wstała i również zaczęła recytować:

— Jakby to kompromisowo ujął mój syn:

Na górze róże

I dzieci rzesza

Wyjdę za niego

Choć nie jest z Mojżesza.

Sig odetchnęła z ulgą. Bruce, Todd i Sharon rozpromienili się. Barney uniósł swój kieliszek, a Paul Cushing bił brawo. Sylvia znowu zalała się łzami. Piękna rzecz, pomyślała Sig, jutro może powiedziec obsłudze hotelu, że jej matka się wyprowadza.

Phyllis wsunęła na palec pierścionek. Był olbrzymi. Wyciągnęła rękę przed siebie i uśmiechnęła się szeroko.

— Jest większy niż moje kostki — stwierdziła. — A te powiększają się z każdym rokiem.

Monty pocałował ją, a był to prawdziwie wilgotny pocałunek.

— Będę go wymieniać na jeszcze większy tak często, jak to będzie potrzebne. — Obiecał. Nie skrywał swego uwielbienia. Z jakiegoś powodu Sig poczuła pieczenie pod powiekami.

W tym momencie dostrzegła, iż z drugiej strony pokoju obserwuje ją Paul Cushing. Skinął głową i uśmiechnął się, unosząc w jej stronę kieliszek.

— Czy mogę zaproponować toast? — zapytał.

Wszyscy spojrzeli na niego.

— Za Phyllis i Monty'ego. Kiedy się kocha, wszystko jest możliwe.

Mrugnęła do Sig, lecz w jego oczach przez moment widziała dziwną mieszaninę: współczucie, zrozumienie, może żal? Zanim uniosła swój kieliszek wraz z innymi, poczuła, jak przechodzi ją dreszcz.

— Myślisz, że będzie chciał spisywać umowę przedmażeńską?— zapytała Sig swojego brata. Wciąż miała na głowie słuchawki z mikrofonem, było jednak już po czwartej — o tej porze nikt na Wall Street nie miał siły działać. Ona sama czuła się jak przemielona przez maszynkę, zostało jej jednak na tyle energii, by przedyskutować z bratem fakt, że ich matka zamierzała poślubić niezwykle zamożnego człowieka.

— Wiesz co, nasz plan się powiódł — powiedział Bruce, jak gdyby czytał w jej myślach. — Założę się, że moglibyśmy dokonać rzeczy wielkich, jeśli tylko działalibyśmy razem.

— No tak, ale póki co musimy jakoś przetrwać. Sytuacja nie zmieni się w ciągu godziny — ponieważ słuchawki miała na głowie, mając wolne ręce wyciągnęła je przed siebie. Przyjrzała się swojemu szmaragdowi i pomyślała o nowym pierścionku z diamentem, który Monty ofiarował jej matce. Westchnęła ciężko. Będzie się czuła naga i bezbronna bez niego, ale to jedyna wartościowa rzecz, jaką posiada. Powinno wystarczyć na “Pierre’a”, ubrania mamy, może nawet na zaległe opłaty czynszowe. — To jak myślisz? Będzie chciał spisywać umowę? — powtórzyła.

— To chyba nie jest w jego stylu — stwierdził Bruce. — On jest staroświecki. To znaczy, Szkoci nie są znani ze zbytniej hojności, ale nie biegają po prawnikach tak jak my.

— Musimy powiedzieć mamie, żeby niczego nie podpisywała.

— O, tak. Bo ona zawsze słucha naszych porad! — roześmiał się Bruce.

Sig zaśmiała się także, choć niezbyt szczerze. Spojrzała znów w cudowną, zieloną głębię swego pierścionka.

— Wiesz co, niezależnie od tego, co się stanie, cała ta sprawa zakrawa na cud.

— Niewątpliwie — zgodził się Bruce. — A na dodatek zaczynam znów dostawać zamówienia. Te kartki się sprzedają. Miałem rację. Czuję się tak lekko, jakbym unosił się nad ziemią. To chyba jakaś cholerna bajka.

— Dobrze, że jesteśmy w niej razem. Kocham cię — powiedziała Sig, czując nagły przypływ miłości do swego zwariowanego brata.

— Och, założę się, że mówisz to wszystkim swoim stukniętym braciom — odparł Bruce. W jego głosie słyhać było zadowolenie.

— No, muszę lecieć. Mam spotkanie z Bernardem. Zdaje się, że chce zainwestować co nieco w moją firmę, a ja potrzebuję forsy, by dostarczyć zamówienia na czas. Nie wspominam już o tym, że dzięki Bernardowi Todd otworzył oczy i jakby mnie zauważył. Piękna rzecz. Liczę na to, że do dnia Walentynek znowu będę rentowny.

— Świetnie — pochwaliła go siostra. — Życzę szczęścia z Bernardem i Toddem. — Sig rozłączyła się, telefon jednak natychmiast zadzwonił ponownie. Naciskając przycisk połączenia, pomyślała, że to zapewne potwierdzenie którejs z transakcji. To był bardzo pracowity dzień.

— Ha! Nie uwierzysz! — ryknęła Sharon prosto w ucho siostry. — Miałam właśnie telefon od Pana Majętnego, zamierzają z mamą wpaść do nas na cały dzień.

— O, to miłe.

— Co? To o wiele więcej niż miłe — oznajmiła Sharon porywczo. — Monty zaproponował, żebyśmy wybrali się obejrzeć szkołę Jessie. Powiedział, że słyszał, iż potrzebują pomocy w opłatach za szkołę. Twierdzi, że chciałby zrobić donację na rzecz szacownej instytucji.

— Niesamowite — powiedziała Sig zdumiona. Ten gość musi naprawdę lubić ich matkę, pomyślała i nagle poczuła w sercu ukłucie. Nikt, żaden mężczyzna nie próbował zadowolić jej w taki sposób od długiego, długiego czasu. — Ty go poprosiłaś, a on tak po prostu się zgodził? — zainteresowała się.

— Ja go wcale nie prosiłam. Sam to zaproponował. — Sharon aż zatykało z przejęcia. — To jeszcze nie wszystko. Powiedział też, że chce porozmawiać z Barney'em o pracy w jego firmie.

— To dopiero gwiazdkowy cud! — zdziwiła się Sig.

— A'propos Gwiazdki, przyjdiesz na przyjęcie dzieci? To ostatnia noc Chanuki. Wiesz, że chcieliby, żeby Ciocia Sig ich odwiedziła. Poza tym robię placki ziemniaczane.

Sig stłumiła jęk. Smażone na oleju placki były akurat tym, czego Sharri potrzebowała najbardziej, pomyślała.

— Bruce będzie? — zapytała, chcąc zyskać na czasie.

— Tak, obiecał małej nową Barbie.

— A jest jeszcze jakaś? — zdziwiła się Sig. — Barbie biseksualna? W zestawie z Kenem i Skipper?

— Nie bądź obrzydliwa — ofuknęła ją Sharon. — Nie wiem, ale Jessie jest tak podniecona, że rano wymiotowała.

To dobry omen, pomyślała Sig. To przyjęcie przynajmniej nie zagrozi jej dywanom.

— Dobrze — powiedziała znużonym głosem. — Przyjdę.

— Świetnie. Barney wpadnie po ciebie o piątę.

Zaledwie Sig zdążyła zdjąć słuchawki, telefon zadzwonił znowu. Jeśli to jakieś zamówienie, niezależnie od jego wielkości poprosi, żeby zadzwonili w poniedziałek. Założyła słuchawki na głowę i nacisnęła guzik. Usłyszała głęboki głos.

— Sigourney? Czy to ty?

— Tak.

— Tu Paul Cushing. Muszę z tobą porozmawiać.

— Słucham, akurat mam wolną chwilę.

— Nie, nie. Muszę się z tobą zobaczyć osobiście.

Sig pomyślała o przyjęciu i prezentach.

— Może być w poniedziałek?

— A mogę do ciebie wpaść w poniedziałek wieczorem? — To ważne.

O co tu chodzi? -zastanawiała się, ale miała zbyt wiele na głowie, by teraz się nad tym zastanawiać.

Resztę czasu zajęły jej telefony do agencji, biura spółdzielni i działu kredytów w Citibank. Trwało to ponad godzinę, ale udało jej się przekonać wszystkich, że w ciągu dwóch tygodni wniesie zaległe opłaty. Podjęła decyzję: sprzeda pierścioneł, potem mieszkanie, zrobi, co do niej należy i Wesołych Świąt całemu światu.

Został jej do wykonania tylko jeden telefon. Z ciężkim sercem podniosła słuchawkę i wykręciła numer Sotheby's, prosząc o rozmowę z panią Grenville. Czekając na połączenie, wysłuchiwała końcówki melodii "We Wish You a Merry Christmas", po której odezwały się werble zwiastujące "Małego Dobosza". Zdesperowana Sig zakryła słuchawkę dłonią, by nie torturować się dłużej. Kiedy połączono ją wreszcie, zdjęła rękę i zaczęła rozmowę od ponownego przedstawienia się. Z niechęcią rzekła:

— Myślę o sprzedaży tego szmaragdu.

— Ach, to piękny kamień. To dobra chwila, by sprzedać go na naszej przedgwiazdkowej aukcji. Musi się pani jednak pospieszyć. Jest już za późno, by umieścić go w katalogu.

Sig spojrzała na swój pierścionek. To tylko kawałek kolorowego szkiełka, próbowała sobie wmówić, po czym westchnęła. Żaden mężczyzna nigdy nie dał jej pierścionka, a teraz musiała się pozbyć tego, który sprawiła sobie sama.

— Dobrze, wystawię go na tej licytacji — powiedziała.

Z nadzieją na szybkie uzyskanie gotówki wsiadła do taksówki i udała się do Takashimaya, ekskluzywnego japońskiego domu towarowego na Piątej Alei. Herbaciarnia w podziemiach była jedynym miejscem, w którym Sig miała pewność, że nie dopadnie jej tu żadna wersja “Małego dobosza”.

Przekąsiwszy coś, Sig skupiła się na świątecznych prezentach. Zamierzała kupić tam prawie dla wszystkich. Wciąż miała większość pieniędzy, które poprzednio wyjęła, a w razie potrzeby użyje kart kredytowych. Dla Barney’ a wybrała prześlicznie opakowane pudełko zielonej herbaty, ponieważ wiedziała, że on w ogóle herbaty nie pijał. Kupiła też włoski, jedwabny szal dla Sharon, gdyż szale są tylko w jednym rozmiarze; długi, ciepły, ręcznie robiony szalik dla Bruce’ a w absolutnie zabójczym, dymnym kolorze i w końcu, niechętnie, dodała do tego parę ładnie haftowanych kapci dla pani Katz. Miała nadzieję, że będą pasować na te jej skarpety.

Został tylko prezent dla matki. Wyczerpana Sig przebiła się przez kłębiący się tłum i poszła w górę ulicy, mijając Bendela, Doubleday’ a i Trump Tower. Pewnym krokiem przeszła obok sklepu Tiffany’ ego. Z takim kamieniem wielkości klamki u drzwi, który podarował jej Monty, jej matka nie potrzebowała więcej biżuterii. Sig westchnęła, spoglądając na własny pierścionek. Dotarwszy do Bergdorfa, zdecydowała się wejść. Musi się tu znaleźć coś ładnego dla jej matki, kobiety, która wkrótce będzie miała wszystko.

Sig minęła obrotowe drzwi i weszła do magazynu, gdzie wchłonęła ją fala zaaferowanych kupujących. Minęła dział z upominkami, galanterię skórzaną, zawahała się przez chwilę przy stoisku z perfumami, po czym wjechała na górę. Wsiadła na trzecim piętrze, gdzie tłum był już przerzedzony dzięki zabójczym cenom i onieśmielającej obsłudze. Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że znajduje się w odległym dziale wyłożonym luksusowym dywanem, na którym zapraszająco rozpierały się dwa zabytkowe fotele. Szyld głosił: “Salon Panny Młodej”. Sig weszła do owego cichego, świętego miejsca i stanęła z zapartym tchem, wpatrzona w cudowną, bajeczną kreację z tiulu i satyny. Nigdy nie miała sukni ślubnej, gdyby jednak miała ją mieć, chciałaby, żeby to była ta.

— W czym mogę pani pomóc? — zapytała ekspedientka, masywna kobieta w średnim wieku.

Sig drgnęła i odwróciła się do niej.

— Szuka pani kreacji na ślub córki? — zapytała uprzejmie sprzedawczyni.

Sig w jednej chwili poczuła się stuletnią staruszką, na dodatek bezbronną jak niemowlę.

— Nie, — odparła — na ślub matki.

Po czym, ku zdumieniu zarówno swoim, jak i ekspedientki, wybuchnęła głośnym płaczem.

Szczelnie otulone w obawie przed grudniowym chłodem Phyllis i Sylvia szły w górę Madison Avenue.

— To jest miejsce, w którym dokonują zakupów ludzie naprawdę bogaci — powiedziała Phyllis.

— Nie na Piątej Alei? — zdziwiła się Sylvia.

— E tam — prychnęła Phyllis, biorąc przyjaciółkę pod rękę i usuwając ją z drogi szybko kroczącej matrony z małym terierem pod pachą. — To jest to miejsce. A dziś mamy ostatnią noc Chanuki i zamierzam kupić sobie prezent — wyprawę panny młodej.

Phyllis od wielu lat oszczędzała. Weszło jej to w nawyk od pierwszych dni małżeństwa z Iżą. Mimo, że pracowała razem z nim przez wiele lat, nigdy nie wypłacał jej pensji. Prosiła go jedynie o pieniądze na dom i z tego odkładała zawsze niewielką sumkę. Przez czterdzieści siedem lat uzbierało się tego trochę. Oczywiście od czasu do czasu zużywała część z tych oszczędności, ale nie wiele i tylko na takie rzeczy jak prezenty dla dzieci czy wycieczkę —

niespodziankę. Była oszczędna. Nawet teraz, przy swoich skromnych dochodach, udawało jej się trochę odłożyć przy końcu każdego miesiąca. Obawiała się, że może potrzebować tych pieniędzy na pielęgniarkę czy leczenie jakiejś poważnej choroby, gdyby ją taka dopadła. Teraz jednak, zamiast czekać na ów czarny dzień, Phyllis zdecydowała się wydać swe oszczędności — no, może nie wszystkie, ale sporą ich część — na własną wyprawę. Kiedy tuż po wojnie wychodziła za Irę, brakowało wszystkiego, a najbardziej pieniędzy. Nigdy nie miała wyprawy. Pragnęła przyjść do Monty'ego, swego narzeczonego, przyszłego kochanka, z ubraniem godnym prawdziwej panny młodej.

Sylvia rozejrzała się po odzianych w futra kupujących.

— Myślę, że lepiej by nam poszło w Saw Grass Mall.

Phyllis roześmiała się. Nauczyła się paru rzeczy od swojego syna.

— Tylko naturalne włókna, Sylvio — odparła. — Zaczynamy od fig. Twoją bieliznę Monty już widział, mojej jeszcze nie.

— Bernard też widział — powiedziała Sylvia z marzycielskim uśmiechem.

Kiedy mijaly wystawę z bielizną, Phyllis zatrzymała się. Opalizujący jak skrzydła motyla jedwab łączył się wdzięcznie z koronką tak delikatną jak morska piana. Sylvia podążyła za wzrokiem przyjaciółki.

— Myślisz, że można to prać w pralce? — zapytała.

Nawet nie próbując odpowiedzieć, Phyllis podeszła do drzwi jak zahipnotyzowana.

Kupowała wszystko. Łącznie z jedwabnym szlafrocikiem w różowawym kolorze, który sprawiał, że wyglądała o dziesięć lat młodziej. Nie zastanawiała się nad cenami, nie spojrzała na wieszak z bielizną przecenioną. Nie dopuściła do głosu żadnego ze swych starych przyzwyczajęń. Wskazywała jedynie najpiękniejsze rzeczy, kazała je pakować i płaciła. A najbardziej podniecający w tym wszystkim był fakt, iż zobaczy ją w tej bieliznie tylko i wyłącznie Monty.

— Wydawanie pieniędzy jest takie wyczerpujące — stwierdziła Sylvia Katz, sadowiac się przy stoliku w kawiarence "Three Guys" przy Madison.

— A skąd ty możesz o tym wiedzieć? — zapytała Phyllis, wsuwając się na miejsce naprzeciwko.

Phyllis kupiła sobie trzy pary fantastycznych, koronkowych fig, dwa równie przeurocze staniki i najpiękniejszą koszulę nocną, jaką kiedykolwiek widziała. Kosztowało ją to niemal tysiąc dolarów, ale nawet się nie skrzywiła. Wyobraziła sobie natomiast minę Monty'ego, gdy ją w tym zobaczy. Żałowała jedynie, że nigdy dotąd nie czuła się tak cudownie, i że ciało pod tą bielizną nie będzie tak gładkie jak sam jedwab. Westchnęła.

— Phyllis, załujesz czegoś? — zapytała Sylvia i zanim jej przyjaciółka zdołała cokolwiek wyjaśnić, zamówiła u zabieganej kelnerki kanapkę z sałatką jajeczną.

Phyllis wzięła dla siebie sałatkę z majonezem.

— Chcę jeszcze kupić sobie płaszcz i kapelusz — oznajmiła. — I może torebkę. — Spojrzała przez stół na wielką, zniszczoną, brzydką torbę, którą Sylvia, jak zawsze, tuliła do łona. — Tobie też kupię torbę — dodała. A co, do diabła, wydała już tyle, że trochę więcej nie zrobi różnicy.

— Och, nie — zaprotestowała Sylvia. — Kiedy Sid odszedł, zostawił mi tylko to — zastanowiła się przez moment. — Myślisz, że ten Monty będzie dla ciebie dobry? To znaczy, tak naprawdę?

— Tak myślę — odparła Phyllis. — To bardzo dziwne. Mam wrażenie, że Ira mnie kochał i dlatego znosił to, jaka jestem. A Monty kocha mnie dlatego, że taka jestem. Czy ty to rozumiesz?

— Nie — odparła Sylvia, sięgając po kanapkę z sałatką jajeczną, którą przyniosła kelnerka.

Phyllis poczuła, jak ogarnia ją litość dla przyjaciółki. Miłość Monty'ego sprawiała, że stała się bardziej współczująca i szczodra.

— Hej, masz ochotę na deser? — zapytała — Ja funduję. To mój lunch.

— Wyborne — powiedział Monty, głaszcząc swe wąsy, na których widać było ślady ziemniaczanych placków.

Świąteczny posiłek był okropny, placki niejadalne, a w sałatce trzeszczał piasek. Zakłopotanie spotęgowały jeszcze wspaniałe prezenty od Monty'ego, które przyćmiły podarki Sig. Sharon bez końca się tłumaczyła, domagając się nieustannych, choć nieszczerych, zapewnień, że wszystko jest w najlepszym porządku.

— Chyba podetnę sobie gardło — szepnęła Sig do Bruce'a.

— Zanim założysz ten szal od Hermesa? — zapytał. Z rozkoszą gładził otrzymaną przed chwilą zamszową marynarkę.

— No, dobrze. Włożę go wracając do domu i tam poderżnę sobie gardło.

Bruce skinął głową.

— Kiedy ja wrócę do domu, na sekretarce będzie nagranych siedemnaście historycznych wiadomości od Todda, który jest przekonany, że mam romans z Bernardem.

— A nie masz?

— Nie bądź śmieszna. To nie w moim stylu. Ja tylko zawsze muszę być tam, gdzie są widoki na pieniądze. To moje przekleństwo.

— A przy okazji widoków na pieniądze, zdaje się, że mamie i Monty'emu układa się całkiem dobrze.

— Mam szczerą nadzieję. Nie zjadłbym ani jednego z tych obrzydliwych specjałów Sharon, gdybym nie miał nadziei na odziedziczenie miliona dolarów.

W tym momencie Monty odchrząknął.

— Cóż, — powiedział — to był wyśmienity posiłek. — Wstał od stołu i uśmiechnął się do Barney'a. — Dziękuję ci, gospodarzu. A teraz, jeśli pozwolisz, przejdźmy do salonu. Mam pewną propozycję, którą chciałbym z tobą omówić, mój synu. Myślę, że trzeba cię czymś zająć.

Bruce i Sig wymienili spojrzenia.

— Synu? — powtórzył Bruce.

— O mój Boże — powiedziała Sig — on chce zaproponować Barney'owi pracę.

— Bum-tara-bum — skomentował jej brat.

Kiedy po przyjęciu Monty pojawił się w hotelu Pierre, ubrany był wciąż wieczorowo, jeśli pominąć sportowe obuwie.

— Wyglądasz dość szykownie — stwierdziła Phyllis — Po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat czuła się zażenowana jak podłotek. — Masz jakieś plany?

— Owszem — odparł Monty i uśmiechnął się do niej swym zniewalającym uśmiechem. Pomimo łysiny i nadwagi, która z pewnością nie służyła jego zdrowiu, emanował spokojem, co czyniło go niezwykle pociągającym.

Rozległo się pukanie do drzwi, choć Phyllis nie oczekiwała nikogo.

— Pozwolisz? — zapytał Monty i przeszedłszy przez przedpokój otworzył drzwi i wpuścił Bernarda Krinza.

Architekt wszedł do pokoju uśmiechnięty, rozglądając się wokoło. Tym razem sposób, w jaki podawał rękę, nie przypominał uścisku sprzedawcy używanych samochodów, który ma nadzieję na interes. Wręcz przeciwnie, wyglądał na podnieconego, nawet niecierpliwego. Przez chwilę Phyllis myślała przerażona, że Bernie szuka jej, jednak w tym momencie z sypialni wyszła pani Katz — bez swego wyciągniętego swetra, za to w sukni w kolorze perłowym. Monty położył Krinzowi rękę na ramieniu i uściśnął go serdecznie.

— No i cóż — powiedział. — Otwarcie sezonu w Metropolitan Opera, najlepsza loża w całym teatrze i cudowna kobieta do towarzystwa. Ja nie przepadam za Wagnerem, ale jestem pewien, że tobie będzie się podobało.

Phyllis spoglądała na przyjaciółkę zupełnie oszołomiona, ta jednak, ubrana i gotowa, nie wyglądała na zaskoczoną. Bernard podał jej obszerny płaszcz i nieodłączną torbę. Dopiero kiedy wyszli, Monty odwrócił się ku Phyllis z szerokim uśmiechem.

— Kosztowniejsze to niż przekupienie młodszego brata czekoladką, ale gwarantuje nam pięć godzin intymności.

Pochylił się ku niej i oparłszy dłoń o ścianę ponad jej ramieniem, uwięził Phyllis między swoim ciałem a oknem. Wiedziała, że chce ją pocałować — pocałunkiem prawdziwym, który był wstępem do czegoś innego. Poczwała, jak jej serce zatrzepotało w piersi. Wiele czasu upłynęło, odkąd ktoś całował ją w ten sposób i nie była pewna, jaka będzie jej reakcja.

W tym momencie ponownie zabrzmiał dzwonek u drzwi. Monty uniósł brwi i uśmiechając się, otworzył. Tym razem do pokoju wkroczyło trzech kelnerów; jeden ze stolikiem na kółkach, drugi z dwoma butelkami szampana i kubelkiem lodu, a trzeci z tacą smakołyków.

— Pomyślałem, że moglibyśmy zacząć od kolacji — powiedział Monty.

Jeden z kelnerów ustawił stolik i strzepnąwszy z fantazją różową płócienną serwetkę zamierzał położyć ją na kolanach Phyllis, Monty jednak zatrzymał go w połowie gestu.

— Dziękuję. Ja się zatroszczę o tę damę — oznajmił, odsyłając obsługę. — Jeśli będziemy czegoś potrzebować, zadzwonimy.

Monty zadbał o wszystko. Zamówił ostrygi na przystawkę dla siebie, a dla niej ulubionego melona. Owoc smakował wybornie z szampanem, który podał jej Monty. Nikt nigdy nie zajmował się nią w ten sposób. Zawsze, kiedy trzeba było czymś lub kimś się zająć, było to jej

zadanie. Zajmowała się dziećmi, kiedy były małe, zajmowała się interesami, Ira, gdy był chory i wszystkimi członkami rodziny, kiedy mieli kłopoty. Teraz pojawił się ktoś, kto zamawiał dla niej kolację, łącznie z jej ulubioną sałatką i zwrócił nawet uwagę na sos, który lubiła najbardziej. Monty był człowiekiem spostrzegawczym.

— Nie jestem do tego przyzwyczajona — przyznała.

— No, to przywyknij — odparł i włożył jej do ust ostatnią ostrygę. — Zabawnie jest tak cie rozpieszczać — uśmiechnął się, a w oczach miał niebezpieczne błyski. — Mam pomysł. — Wstał, zostawiając resztki kolacji, nietknięte filiżanki i srebrny dzbanek z kawą na podgrzewaczu. — Nie sądzę, byśmy potrzebowali teraz pożywienia — powiedział. — Wszystko, czego nam trzeba, to czas.

Ujął jej dłoń. Phyllis poczuła łaskotanie, jakby dreszcz i to tak gwałtowny, że niemal zachichotała na głos. Ten mężczyzna miał siedemdziesiąt cztery lata i był zupełnie zwariowany, ale jej reakcja była zbliżona. W tej samej chwili jednak, w której jego rosnące pożądanie spotkało się z podobnym z jej strony, poczuła w sobie również dziwny opór. Jakaś nieśmiałość, a nawet lęk.

Monty, jak gdyby wyczuwając jej wahanie, objął ją ramionami.

— Jesteśmy starzy, ojciec Williamie — powiedział, błędnie cytując jakiś stary jak świat poemat, który Phyllis ledwie pamiętała. — Nie chcę cię ponaglać, ale pragnę cię.

— Naprawdę? — zapytała, jednocześnie nieśmiało i z odrobiną smutku. Chciała słyszeć, jak to mówi. Podobało jej się wszystko w tym mężczyźnie.

— Chcę, byś poszła ze mną do łóżka — odparł Monty, pieszcząc je ucho. — Może nie jestem taki sprawny jak kiedyś, ale zawsze... — Jego głos był chrapliwy. — Nie uznaję długiego narzeczeństwa, a ty?

Phyllis potrząsnęła głową i pozwoliła, by powoli poprowadził ją do sypialni. W progu przystanął i musnął ustami jej wargi. Gdy podeszli do łóżka, położył ją i delikatnie zdjął jej pantofle.

— Trochę się denerwuję — przyznała Phyllis.

— Tylko trochę? — roześmiał się Monty. — W naszym wieku karty się odwracają. Ty już nie możesz stracić cnoty, ja natomiast łatwo mogę stracić dumę. — Nachylił się i pocałował ją lekko. Wciąż smakował ostrygami, szampanem i czymś jeszcze. Potem usiadł na brzegu łóżka i ujął jej dłoń. — Wiesz, czego się nauczyłem o seksie w ciągu pięciu ostatnich dziesięcioleci? — zapytał.

Phyllis, wciąż speszona, potrząsnęła głową.

— Nauczyłem się, że jest wiele rzeczy, które są ważne w miłości z kobietą, a mężczyźni są zbyt niecierpliwi, by zwrócić na to uwagę. Wiek odebrał mi wiele, moja miła. W zamian dał mi cierpliwość — pochylił się i pocałował ją znowu, tym razem silniej. — Mogę obiecać ci dwie rzeczy: że nie masz powodów do zażenowania i że spędzisz ze mną bardzo, bardzo miłe chwile.

I miał rację.

Zaledwie w dwa dni później Sig zbudzona została gwałtownym waleniem do drzwi, połączonym z równie dzikim dźwiękiem dzwonka. Nikt w Nowym Jorku nie wstaje tak wcześnie w niedzielę.

— Czego? Czego? — mruzczała zrzędliwie, owijając się moherowym szalem, by podejść do drzwi, do których ktoś nieustępliwie się dobijał. Dziewięć dni roboczych do Gwiazdki, a ją spotykają takie rzeczy.

W progu stał Bruce, śmiertelnie blady, a za nim, z trudem łapiąc oddech, czerwona na twarzy Sharon.

— Co się stało? — zapytała zaskoczona Sig. — Czy z mamą wszystko w porządku?

— Nie — odparła Sharon.

— O mój Boże, czy ona...

— To nie to, co myślisz — rzucił szybko Bruce. — Nie dostała zawału. Spotka to natomiast mnie. Czeki Monty’ego nie mają pokrycia, zarówno ten dla mnie, jak i ten wystawiony na szkołę.

— Co? — wykrzyknęła Sig. — To niemożliwe. A Montana? Te linie lotnicze? A spadkobierczyni Guinnessa?

— Lipa. Wszystko kłamstwa — odparł Bruce. — Poza spadkobierczynią. Z nią się ożenił i przepuścił jej fortunę. To łowca posagów. Poznał mamę w samolocie z Florydy, leciała pierwszą klasą. Szukał po prostu bogatej wdowy.

— Mama leciała pierwszą klasą? — zdumiała się Sig, unosząc rękę do czoła. Cała trójka stała wciąż w progu. Sig schyliła się, by podnieść z wycieraczki niedzielnego Times’a. Musi przecież sprawdzić, czy ukazało się jej ogłoszenie o sprzedaży mieszkania.

— Wejdźcie — powiedziała — wejdźcie. — Zgarbiona Sharon i jej brat minęli swą siostrę i usiedli w salonie. — Dobrze. — Sig czuła się bardziej zmęczona niż kiedykolwiek w życiu. — Zaczniście od początku.

— Nasz obecny tu geniusz od analiz pokręcił wszystko. Jej wyniki badań okazały się bezwartościowe — Bruce skrzywił się. — Monty jest bez grosza. Zainwestował pieniądze swojej żony w te linie lotnicze i zbankrutował ponad dziesięć lat temu. Odtąd żyje z kredytów i pożyczek. Nasz odkrywca jakoś to przeoczył.

— To nie moja wina — pisnęła Sharon — To mama go sobie znalazła, nie ja.

— Gdzie jest teraz mama? — zapytała Sig, czując, jak żołądek znów podchodzi jej do gardła.

— Myślę, że ciągle w hotelu — odparł Bruce.

Sig jęknęła i zadrzała. Jaki będzie rachunek? Wystawiła już na licytację pierścioneł, lecz teraz, nawet po jego sprzedaży widoki na zatrzymanie mieszkania i wyprostowanie życiowych ścieżek były gorsze niż kiedykolwiek. Nie potrafiła oprzeć się uczuciu rozpacz.

— Okay — powiedziała z wymuszonym spokojem, do którego było jej daleko. — Mam plan: najpierw zabijemy Monty’ego. Potem ty, Bruce zabijesz Sharon, a ja zabiję się sama.

— A mamy nikt nie zabije? Cóż to za plan? — zaprotestowała Sharon. — To jej wina. Sama go sobie wybrała.

Bruce zignorował swą pękatą siostrę.

— Wiesz, to dobry plan — stwierdził, poklepując Sig pocieszająco po rękę. — Sharon, jeśli chcesz, możesz zabić mamę, zanim ja zabiję ciebie.

Sharon rozplakała się.

— To nie moja wina — powtórzyła.

— Och, zamknij się — fuknął Bruce. — Wszystko zawsze jest twoją winą.

— Nieprawda. To nie moja wina, że Barney odrzucił tę pracę u Monty’ego.

— On odrzucił tę propozycję? — zapytała Sig zdumiona. — Czy on jest nienormalny? — Widząc spojrzenie Bruce’a, dodała czym prędzej: — Pytanie retoryczne. On naprawdę odrzucił tę pracę?

— Twierdzi, że każda praca poniżej stanowiska wiceprezydenta uwłacza jego godności, a miał zostać tylko jednym z kierowników w dziale marketingu.

— Mój Boże! Facet jest od prawie dwóch lat bezrobotny i odrzuca jakąkolwiek propozycję? — nie mogła zrozumieć Sig.

Bruce wzruszył ramionami.

— A co za różnica. Jestem pewien, że to też był kant.

Zanim to zbiorowe narzekanie zdążyło się przeistoczyć w atak frontalny, Sig zebrała myśli.

— No, wystarczy — oznajmiła. — Będę gotowa w cztery i pół minuty.

— Co zrobimy? — zapytała Sharon.

— Pojedziemy do “Pierre’a” na szczerą rozmowę z mamą.

Ciemne, połyskliwe drzwi do apartamentu ich matki wyglądały solidnie jak wrota zamku. Dzwonili już trzy razy, teraz zaczęły tłuc pięściami.

— Czuję się jak Westley przybywający na ratunek Buttercup w The Princess Bridge — powiedział Bruce.

Sig spojrzała na niego z furią.

— Ty jesteś tu jedyną księżniczką — prychnęła. — Nie czas na twoje dygresje. Poza tym Westley dawno by wyważył drzwi.

— My będziemy musieli wezwać ochronę — wzruszył ramionami Bruce.

— Świetny pomysł. Przydałaby się ochrona, bo nie ręczę za siebie — mruknęła Sig.

Zza drzwi doszły ich jakieś dźwięki, po czym w wizjerze ukazało się czyjeś oko. Po chwili w progu pojawiła się owinięta w puszysty hotelowy szlafrok pani Katz.

— Tak wcześnie? — odchrząknęła, jakby zmieszana. — Może przyjdziecie trochę później?

Sig pchnęła drzwi tak, że otworzyły się na oścież i przeszła obok Sylvii. Dziki lokator, do diabła. Ile też kosztowała ją jej wizyta? Rodzeństwo postępowało za starszą siostrą. Weszli do salonu. Panował tu niezły bałagan: wszędzie poniewierały się gazety, na sofie leżał skłębiony koc, a na małym stoliku widać było resztki wczorajszej kolacji. Pani Katz podeszła do Sig.

— Co chcesz zrobić? — zapytała.

Rzuciwszy jej jedno ze swych spojrzeń, Sig podeszła do drzwi sypialni, kładąc rękę na klamce.

— Nie uznajesz prawa do prywatności? — zapytała pani Katz z wyrzutem.

— A pani? — odparowała Sig. — Przyjeżdża pani tu i wprowadza się do mojej matki, przyczepiając się do niej jak rzep do psiego ogona. Ile prywatność pani jej zostawiła?

Sylvia uniosła brwi w zdziwieniu.

— Bardzo dużo — odparła zraniona. — Sama zobaczysz.

Sig z hukiem otworzyła drzwi. Bruce i Sharri stali tuż za nią. Cała trójka ujrzała swą matkę, która z włosami w nieładzie, ale z błogim spokojem na twarzy leżała z głową na owłosionym ramieniu Montague Dunleathe.

— O mój Boże! — krzyknęła Sharri, zakrywając oczy rękami.

Monty, którego włochate ciało było zaprzeczeniem jaśniejszej blaskiem łysiny, otworzył oczy i usiadł. Jego piersi opadały na brzuch. Sig z trudnością opanowała chęć odwrócenia się. W jakiś sposób przerastało to jej wyobrażenia.

— O mój Boże! — tylko tyle potrafiła z siebie wykrztusić, niczym echo własnej siostry.

— Co pan robi mojej matce? — zażądał wyjaśnień Bruce.

— Myślę, że na ogół nazywa się to miłością fizyczną. Chyba, że tu, w Stanach, macie na to odmienną nazwę.

— Czy ja wiem... — zastanowiła się Phyllis, otwierając oczy.

Sharon uniosła obie ręce, jakby zasłaniała się przed ciosem.

— To więcej, niż chcielibyśmy wiedzieć! — wykrzyknęła, drżąc cała.

— A właściwie co wam do tego? — zainteresowała się Phyllis, siadając. Ona także była naga. Sig nie mogła nie zauważyć stosu delikatnej, jedwabnej bielizny na podłodze koło łóżka.

Bruce wydał stłumiony dźwięk, odwracając wzrok.

— Boże! Któż by pomyślał, że mama będzie jak... jak Louise Brooks w Puszczy Pandory!

Sig złapała leżącą na krześle aksamitną bonzurkę i cisnęła nią w Monty'ego, podczas gdy jej matka starała się osłonić swą nagość prześcieradłem. Sig poczuła, że robi jej się niedobrze, ale musiała wytrzymać. Przeszła przez pokój i podniosła leżący na stoliku nocnym zaręczynowy pierścionek. Niewątpliwie imponował wielkością, ale teraz, przyjrząwszy mu się z bliska, dostrzegła, iż zamiast białego, szlachetnego blasku, kamień odbijał w sobie wszystkie kolory pokoju.

— Cyrkonia! — krzyknęła, rzucając pierścieniem w stronę okna najmocniej, jak tylko potrafiła. — Ty oszuście! Ty cholerny oszuście!

— Susan, opanuj się — upomniała ją matka. — Co ty sobie wyobrażasz?

— Co ty sobie wyobrażasz? — wybuchnęła Sig. — Dopiero co poznałaś tego faceta. Nawet go nie znasz, a idziesz z nim do łóżka?

— Jestem z nim zaręczona, Susan. A ty chciałaś, żebym za niego wyszła. — Phyllis wzruszyła ramionami. — Mnie niepotrzebne jest wesele. Ale Monty jest staroświecki. — Spojrzała na niego z takim wyrazem twarzy, jakiego Sig nigdy u niej nie widziała. Zmieszało ją to i w jakiś sposób przygnębiło. Poczula się odepchnięta, a nawet... obrażona. Spojrzała na Monty'ego.

Nie tylko był staroświecki, ale po prostu stary. Sig nie mogła oderwać wzroku od tej ilości starego ciała przed sobą, jego plamistej cery i wystających z uszu kępek włosów, od pokrytej zmarszczkami szyi jej matki. Wystarczającym upokorzeniem było to, pomyślała, że ona sama musiała wciągać brzuch, kiedy spała z Phillipem Normanem. Była w niezłej kondycji, a ciało Phillipa było gładkie, muskularne i opalone. Wiedział, że to na nią działa i wykorzystywał to często. Dlaczego więc miała wrażenie, że Monty dał jej matce coś innego, coś więcej? Odrzuciła tę myśl ze złością.

— Wynoś się! — krzyknęła — Zostaw moją matkę w spokoju!

Monty uniósł swe krzaczaste brwi, po czym potrząsnął głową.

— Zapominasz się. Jesteśmy zaręczeni.

Sig ledwie panowała nad własną wściekłością. Drżały jej ręce i czuła, jak owo drzenie przenosi się na całe ciało. Wszystko stracone. Nie ma ratunku ani dla niej, ani jej matki. Jej pierścionek — jej prawdziwy pierścionek — przepadł na zawsze, podobnie jak i pierścionek jej matki. Ten oszust, ten szarlatan zniweczył wszystko. Straci swój dom, będzie musiała zmienić pracę i wyląduje w jakimś podłym mieszkanku wynajętym w Forest Hills, Park Slope albo Riverdale, a matka w jej pokoju gościnnym — jeśli w ogóle będzie tam pokój gościnny. Będą wspólnie płacić czynsz, wykorzystując pieniądze z ubezpieczalni Phyllis, by związać koniec z końcem. To ona, niezamężna córka, będzie musiała zająć się matką, aż jej własne ciało stanie się podobne do ciała Phyllis.

— Wynoś się stąd! — krzyknęła znowu, tym razem jednak w jej głosie słychać było łzy.

— Słucham? — odezwała się Phyllis. — Co wy sobie właściwie wyobrażacie? — przeniosła spojrzenie na Bruce'a i Sharon. — Co wy tu w ogóle robicie? To moje życie i nie macie prawa pchać mi się w nie z buciorami.

Sig wzniosła oczy ku niebu. Gdyby miała broń...

— Mamo, — zaczął wyjaśniać Bruce — ten człowiek jest kłamcą. To oszust. Ten facet jest kompletnie splukany.

— Ejże! — przerwała mu Phyllis. — Nie zamierzałam wyjść za niego dla jego pieniędzy. Monty ma siedemdziesiąt cztery lata i wciąż jest całkiem niezły. I wie, co z tym zrobić!

— I to mówi kobieta, która wyrzekła się genitaliów! — powiedział z dumą Monty, jedną ręką przyciągając ją do siebie, a drugą sięgając po leżące na stoliku nocnym cygaro.

— Mamo, wstań z tego łóżka — zażądała Sig.

Phyllis wzruszyła ramionami i spełniła życzenie córki, ignorując swą nagość. Trójka jej dzieci jednocześnie wydała okrzyk i w przerażeniu odwróciła się tyłem. Sig zdołała podnieść z podłogi jedwabny, koronkowy peniuar i rzucić go matce, która spokojnie włożyła go na siebie.

— O co wam chodzi? — zapytała, wygładzając zmięty jedwab na swym nieco wystającym brzuchu. — Monty miał pieniądze. Teraz ich nie ma. Może kiedyś znów będzie je miał. Tak czy inaczej, mogę wam przyrzec, że nie skradnie waszego spadku. — Przerwała i uśmiechnęła się złośliwie. — Mojej cnoty też nie ukradł. — Phyllis spojrzała na Sig. — Jeśli już wpadliśmy w ten szczery ton, ty też nie masz żadnych powodów do dumy, Susan. Jeśli uważasz, że on chciał

nabrać ciebie, ty usiłowałaś nabrać jego na to wszystko; wskazała na pokój, nowe ubrania, świeże kwiaty.

Sigourney patrzyła na Monty'ego.

— Matka nie ma żadnych pieniędzy. Rozumiesz? Nie ma fortuny, poza swoją emeryturą. Ta biżuteria była kostiumem. Nie ma szans na zdobycie majątku, chyba że chciałbyś dołożyć do jej ubezpieczenia socjalnego. Nie ma żadnego domu w Palm Beach. To ja płacę za ten hotel. A mnie skończyły się właśnie pieniądze. Ty jesteś już bankrutem, ja będę nim niedługo.

No więc powiedziała to. Teraz w końcu rozumieją, dowiedzą się o mieszkaniu, długach, o wszystkim. Zawsze jednak będzie ochraniać swoją matkę.

— Postawiłeś na złego konia — oświadczyła Monty'emu. — Wstań i idź do diabła. Zostaw moją matkę w spokoju. Wszedłeś w to dla pieniędzy, a tych u nas nie znajdziesz.

— Czas na ciebie — dodał ze złością Bruce.

— Tak — odparł Monty. — Wyraziliście to dość jasno.

Spokojnie podniósł się z łóżka, włożył spodnie, koszulę i wyszedł.

— Nie będziesz się z nim widywać. Nie ma mowy.

— A cóż to ma znaczyć? Co ma znaczyć nie ma mowy? — zdumiała się Phyllis.

— Znaczy to, co powiedziałam — odparła Sig — On cię wcale nie kocha. Chciał tylko zdobyć twoje pieniądze, których, pozwól sobie przypomnieć, nie masz. Mamo, on się poprzednio ożenił z bogatą kobietą i stracił cały jej majątek. Po prostu myślał, że uda mu się to jeszcze raz. — To był czarny poniedziałek. Cała ta sprawa z Montym plus fakt, że musiała iść do pracy: wszystko to przygnębiało ją niemilosierdzie.

— Nie bądź śmieszna. Jak można wziąć mnie za bogaczkę? — zapytała Phyllis swoją córkę, która wyładowywała złość na jej ubraniach.

— Hotel. Lot pierwszą klasą. Ciuchy. — Wyjaśnił jej Bruce. Sig wezwała go, by pilnował matki, gdy ona pójdzie do pracy.

— Ten facet jest oszustem — powtórzyła Sig. — Pewnie i złodziejem. Zapomnij o tym Montym.

Zostali w hotelu tylko tyle czasu, ile potrzebne było na spakowanie rzeczy Phyllis, po czym Sig odetchnąwszy głęboko podpisała rachunek. Później przenieśli się wszyscy, razem z nieodłączną panią Katz, do mieszkania Sig.

— Nie mogę uwierzyć, że ten czek dla szkoły nie miał pokrycia — jęczała Sharon. Ją również Sig poprosiła, by przyjechała tu strzec ich matki. — Tak mi wstyd. Jak ja się teraz pokażę w szkole Jessie?

— Jakoś dotąd cię to nie powstrzymywało — rzucił Bruce. — Czeki Barney'a z reguły nie miały pokrycia. Co natomiast będzie ze mną, Sharon? Złożyłem już pilne zamówienia na dodruk, za który nie mogę zapłacić. Mogłem wejść w układ z Bernardem, ale Monty zaproponował mi bezinteresowną pożyczkę. Nie mogę uwierzyć, że byłem taki głupi. W moim biznesie to najważniejszy sezon w roku. Dotąd działałem na kredyt, ale przynajmniej byłem czysty. Teraz zaś wysłałem moim dostawcom trefne czeki. Jak ja mam im to wyjaśnić? Balansowałem na linie, ale udawało mi się, a Monty mnie z niej zepchnął. Uduśliłbym tego szkockiego skurwysyna.

— Ładnie się wyrażasz przy matce — odezwała się Phyllis, krzyżując ręce. Myślała nad czymś intensywnie. — On mnie naprawdę lubił. Jestem tego pewna. I w nosie mam, czy on ma jakieś pieniądze, czy nie.

Po drugiej stronie pokoju ktoś poruszył się gwałtownie. Sig nie mogła nie zauważyć pani Katz, siedzącej sztywno na skraju krzesła i obiema rękami przyciskającej do siebie swoją torbę. A tej co się stało? — pomyślała Sig. Pani Katz potrząsnęła głową, jakby miała zawroty głowy, albo chciała zwrócić na siebie uwagę. Prawdopodobnie jedno i drugie, stwierdziła Sig. Zaczęła głęboko oddychać, by się uspokoić.

— To nie o to chodzi, mamo. On jest najwyraźniej socjopatą. Znałam z tuzin takich. Nikt normalny nie rozdaje w ten sposób czeków na prawo i lewo. Nie wtedy, kiedy wie, że wróca jak bumerangi. Zapomnij o Montym — mówiła Sig poirytowana. — Koniec z tym wszystkim.

— A ty kim jesteś? Pieprzoną panią Capuletti? — zapytała Phyllis.

Sig nabrała powietrza.

— Mamo, musisz wyjść za człowieka bogatego. Jeśli tego nie zrobisz, wylądujecie w Bronxie, gdzie będziecie żyć z kuponów na posiłki — ostrzegła Sig. — Tak czy owak, Monty sądził, że jesteś bogata. Wstał z twojego łóżka i wyszedł. Dowiedział się, że nie masz pieniędzy i zostawił cię. Nie będziesz w stanie odłożyć miesięcznie nawet na bilet na metro, żeby nas odwiedzić.

Phyllis potrząsnęła głową.

— Wiesz, na czym polega twój problem, Susan? Jesteś zbyt odpowiedzialna. Co cię to obchodzi? Będę więc mieszkała w Bronxie. Stamtąd pochodzę. Nie jesteś moją matką.

— Mamo, nie chcę zranić twoich uczuć, ale zostałam wykantowana.

— Ja? Monty nie potrafił nawet wygrać ze mną w kanastę!

— Albo nie chciał — odparła Sig. — Tak to działa.

— Wszystko jedno, nie zamierzam nawet dotknąć żadnego innego starego pryka — zapowiedziała Phyllis. — Pełno ich było na Florydzie. Dlatego wyjechałam.

Przez chwilę siedziała nieruchomo. Sig zdawało się, że zadrżały jej usta. Zniżyła głos i położyła matce rękę na ramieniu.

— Przykro mi, mamo. Zaslugujesz na kogoś lepszego. Naprawdę.

Phyllis spojrzała na córkę.

— Ty też, Susan — potrząsnęła głową i osunęła się na krzesło. — No, dobrze. Co teraz? — zapytała.

Sig usiadła na sofie obok Sharon. Jej uwagę znów przyciągnęła pani Katz, która, trzymając swą torbę za pasek, systematycznie obracała ją o sto osiemdziesiąt stopni to w jedną to drugą stronę. Sig wreszcie przestała się jej przyglądać.

— Cóż, teraz ja pójdę z torbami. I jak sądzę, wylecę z Wall Street. Poszukam sobie nowej pracy — co dla kobiety w moim wieku i na moim poziomie będzie doprawdy nietrudne — prychnęła — Jestem kompletnie splukana.

— Och, przestań, Sig — wzruszył ramionami Bruce. — Zawsze narzekasz. Ty straciłaś na tej aferze z Montym, co? To ja stracę moją firmę, a nie mam niczego innego. Jakie są twoje zasoby? Na pewno nie tak skromne jak mamy — powiedział.

Sig patrzyła na niego w milczeniu. Zawsze było im wygodnie, pomyślała, sądzić, że ona potrafi wszystko; za wszystko płacić i wszystko mieć pod kontrolą.

— Przykro mi cię rozczarowywać, Bruce, ale ja nie narzekam. Ja nawet nie staram się grać. Jestem bankrutem. Nie mam już żadnych zasobów. Od dwóch lat wyprzedawałam tylko mój towar. I ponosiłam straty. Czy ty słyszałeś kiedyś o kryzysie, panie przedsiębiorco? Panie Cudzie Ekonomiczny? — przeniosła wzrok na Sharon. — Nawet Barney wie coś na temat kryzysu.

— Będziemy musieli wycofać dzieci z prywatnych szkół — jęknęła Sharon. — Powiedziano nam, że jeśli nie zapłacimy czesnego, mają nie wracać po przerwie świątecznej.

— Pięknie. No, to wszyscy jesteśmy ugotowani. Jestem starszym maklerem, który nie przysparza firmie zysków. Wszyscy moi klienci: prawnicy, agenci firm handlujących nieruchomościami, pracownicy marketingu — zniknęli. Ich też dotknął kryzys. Nie mam już żadnych zamówień na inwestycje. Jak myślicie, jak długo jeszcze pozwolą mi zatrzymać moje wielkie, narożne biuro? Ostrzegano mnie już dwa razy, więc nie potrwa to długo. A nie zamierzam znowu grać na zwyżkę — potrząsnęła głową. — Już raczej wolę podawać do stołu.

— Mówisz serio, Sig? — zapytała z niedowierzaniem Sharon — wyleją cię? Tak jak Barney'a? Naprawdę?

Sig tylko machnęła ręką i skinęła głową. Z trudem powstrzymywała łzy upokorzenia.

— O mój Boże! — wykrzyknęła Sharon i rozplakała się. — Naprawdę stracisz to mieszkanie? To będzie taki cios dla Jessie i Tralisa!

— No tak. I może trochę przykro będzie też samej Sig — dodał Bruce. — Wciąż ta sama, stara Sharon. — Podszedł do Sig i wziął ją za rękę. — Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Wzruszyła ramionami.

— A co by to dało? — zapytała. — I tak byś mi nie pomógł.

Bruce przyglądał się dłoni siostry przez długą chwilę, po czym uściśnął ją.

— Rozumiem, że mała bezinteresowna pożyczka nie wchodzi teraz w grę? — zapytał.

— Czy ty nigdy nie przestaniesz żartować? — skarciła go Phyllis, wstając. — Susan, ja mam trochę oszczędności. Myślisz, że wystarczyłoby...?

Sig tylko potrząsnęła głową.

— Mamo, moje raty za mieszkanie wynoszą trzy tysiące osiemset dolarów miesięcznie. Utrzymanie domu kosztuje dwa tysiące dwieście, a nie płacę już od dziewięciu miesięcy — przerwała, by dać im czas na przyswojenie cyfr. — Bank jest tu teraz właścicielem. Prawdopodobnie zajmą mieszkanie w przyszłym miesiącu.

— Naprawdę nic się nie da zrobić? — zapytał Bruce.

— Ktoś musiałby je szybko kupić. Wtedy uzyskałabym gotówkę — westchnęła Sig. — Czekałam już za długo. Dałam ogłoszenie w Times'ie, wysłałam też oferty do biur pośrednictwa nieruchomości, ale nikt nie był poważnie zainteresowany. — Teraz oczy Sig wypełniły się łzami. — Dziś po południu ma przyjść agentka z biura. Może coś z tego będzie. Inaczej już po mnie.

Usiadła, wyczerpana.

— A nawet jeśli uda się szybko to sprzedać, po spłaceniu kredytu i zaległych opłat, zapłaceniu prowizji dla agencji i całej reszty może wystarczy mi pieniędzy na małą kawalerkę w Bensonhurst. — Strata domu była dla Sig ciosem w samo serce. Po co pracowała tak ciężko przez całe życie? Co miała poza tym? Czym zastąpi tę stratę? — Coś złego dzieje się z tym krajem — stwierdziła. — Nikt nie ma pieniędzy.

— Ja mam — odezwała się Sylvia Katz. — Mam mnóstwo. Chcesz trochę?

Rodzeństwo spojrzało na nią zniecierpliwione. Phyllis zadała sobie trud, by podejść do przyjaciółki i poklepać ją po ramieniu.

— Dziękujemy ci, Sylvio. Ale my tu nie rozmawiamy o drobnych. Sig potrzebuje prawie stu tysięcy dolarów.

— Ja mam tyle — powiedziała pani Katz ze spokojem. — Mam dużo więcej.

Phyllis wzniosła oczy do góry i ponownie poklepała Sylvię po ramieniu, choć właściwie miała ochotę ją udusić. Życie jej córki waliło się w gruzy — bez męża, bez dzieci, bez pieniędzy, bez pracy i na dodatek bez domu. A tymczasem jej najlepsza przyjaciółka ostatecznie straciła zmysły.

— Cii, ciii, Sylvio — uciszała ją Phyllis.

— Mam je tutaj, w torebce — oświadczyła pani Katz i otworzyła swoją wielką, czarną, skórzaną torbę, którą nieustannie tuliła do łona.

Stojąc za przyjaciółką Phyllis nie mogła nie dostrzec, iż torbę rzeczywiście wypełniały porządnie poukładane paczki banknotów. Każda z nich, a było ich mnóstwo, miała banderolkę z napisem \$10.000.

— O mój Boże! — jęknęła Phyllis

Bruce zajrzał do magicznej torby i wydał z siebie dźwięk podobny temdo westchnienia, czy jęku.

— Skąd pani to ma? — zapytał przyciszonym głosem.

— Czy to prawdziwe? — sapnęła Sharon, zaglądając mu przez ramię.

— Dostałam to, gdy opuścił mnie mój mąż. Musiał mi dużo zapłacić. Bardzo dużo. Miałam dobrego prawnika, Dianę LaGravennes. To ona zmusiła Sida, by zapłacił. Nie wiedziałam, co z tym zrobić, więc trzymałam to tutaj. Nie chciałam tego wydawać.

Bruce gwizdnął przeciągle.

— Co ma cztery nogi i goni za kotem? — zapytał. Nie było odpowiedzi. — Pani Katz i jej prawnik — dokończył, lecz nikt się nie roześmiał.

— Nosiałaś to ze sobą przez cały czas? — nie mogła uwierzyć Phyllis. Nagle stwierdziła, że choćby żyła następnych siedemdziesiąt lat, nigdy nie zrozumie tajemnic ludzkiej duszy.

— Cóż, nie wiedziałam, co innego mogłabym z tym zrobić — stwierdziła Sylvia. — To Sid zajmował się bankami i takimi sprawami. Zanim mnie zostawił, to on płacił rachunki za prąd i telefon. Ja nigdy nie miałam nawet konta w banku. Cóż mogłam zrobić z taką ilością pieniędzy? Nawet nie umiem wypisać czeku. A tyle się słyszy o starszych osobach oszukiwanych przez banki i pośredników — spojrzała na Sig — nie bierz tego do siebie, kochana. Nie mówię o obecnych. — Wzruszyła ramionami. Trzymałam je więc w torbie.

— Wydawało ci się to najbezpieczniejsze? — zdumiała się Phyllis, podnosząc głos. — Spacerowałaś po deptaku mając w torebce sto tysięcy dolarów?

— Nie, — odparła Sylvia — tu jest dwa miliony dwieście tysięcy.

— Dwa miliony dwieście tysięcy? — powtórzyli jednocześnie Sharon i Bruce.

— No, plus drobne. Tutaj trzymam moje drobne pieniądze z zasiłku socjalnego — wyjęła srebrną, siatkową torebkę.

Phyllis wybuchnęła serdecznym śmiechem. Śmiała się tak długo, aż łzy napłynęły jej do oczu.

— I nie stać cię było na hotel, kiedy tu przyleciałaś! Przesiedziałaś całą noc w fotelu na lotnisku, mając w torbie ponad dwa miliony dolarów! Przez sześć lat na Florydzie wstawiałaś o czwartej rano, by pójść na śniadanie o piątej, na lunch o dziesiątej, a na obiad o wpół do czwartej, by oszczędzić cztery dolary na posiłkach dla rannych ptaszków. Zabierałaś do domu dodatkowe bułki. W każdym barze podbierałaś paczuszki ze słodzikiem. Spałaś na mojej sofie tu, w Nowym Jorku! I przez cały ten czas miałaś w torbie ponad dwa miliony dolarów? W torbie! W torbie? Czy ty oszalałaś? Słyszałaś kiedyś o złodziejach torebek?

— Ja ją trzymam bardzo mocno — odparła Sylvia.

Phyllis śmiała się znowu, aż do bólu.

— Jesteś niesamowita. — Poczawszy nagle zmęczenie, Phyllis usiadła. I co teraz? Po raz pierwszy w życiu zabrakło jej słów.

Sig, dotąd przyglądająca się w milczeniu dwóm starszym paniom, podeszła do swego rodzeństwa i również zajrzała do torby z pieniędzmi.

— To ile potrzebujesz, Susan? — zapytała pani Katz, wyjmując paczkę nowiutkich banknotów. Była to duża paczka, na nietkniętej banderoli widniał napis \$10.000. Sylvia zaczęła wyciągać pieniądze z torby, układając je na stole przed sobą jak dziecięce klocki.

— Och, nie mogłabym... — rzekła zawstydzona Sig. — Nie wiem, kiedy będę mogła zwrócić...

— Pożycz te pieniądze — stanowczo doradziła jej Phyllis. Odwróciła się do Sylvii. — Dziękuję ci. Nigdy nie kochałam cię dla twoich pieniędzy, więc to nie boli. — Zwróciła się z powrotem do córki. — Nie wiedziałam, że jesteś w takiej sytuacji. Przyjechałam tu nie po to, by myśleć o sobie, ale by być dla was dobrą matką. Chcę wam pomóc. Zadzwońcie do następnego kandydata, spotkam się z nim. — Po czym z godnością usiadła samotnie w drugim końcu pokoju.

Jak wąż wyzwalający się spod mocy zaklinacza, Sharon zdołała oderwać wzrok od zawartości torby pani Katz.

— Przejrzę jeszcze raz moje dane — powiedziała — Zrobiliśmy błąd przy pierwszym, ale tym razem będzie inaczej. Znajdę właściwego faceta.

Bruce obrzucił ją sceptycznym spojrzeniem.

— Niezły pomysł — stwierdził i przenosząc wzrok na panią Katz, dodał: — Może mogłaby pani nam trochę pomóc w realizacji tego planu. A wtedy oddamy pani na pewno.

Sig przeszła przez pokój, podchodząc do matki. Przypomniała sobie nagle błogie szczęście, jakie jaśniało na jej twarzy, kiedy leżała w ramionach Monty’ego, choć ten człowiek był kłamcą i oszustem.

— Naprawdę to zrobisz, mamó?

Phyllis siedziała ze spuszczoną nisko głową.

— Jeśli muszę, zrobię to.

Sig wróciła z pracy zmięta i wykończona. Jej matka wraz z panią Katz i całym ich dobytkiem zostały przeniesione z “Pierre’a” do jej biblioteki, która wyglądała teraz jak dziwaczne połączenie szkolnego internatu z sanatorium. Sig obrzuciła wzrokiem fiolki z lekarstwami, pojemnik na sztuczną szczękę pani Katz, mokre skarpetki na grzejniku, woreczek z suszonymi śliwkami na biurku i cały ten chaos, po czym po prostu zamknęła rozsuwane drzwi odgradzając się od tego wszystkiego.

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Sig postanowiła nie pokazywać nikomu części mieszkania, zajętej przez dwie starsze panie. Sharon udała się już do domu, obiecując solennie przeszukać swe notatki, a Bruce odwiózł ją na dworzec. Matka i pani Katz leżały już w swoim pokoju, Sig jednak nie kładła się jeszcze, doprowadzając mieszkanie do idealnego stanu. Ktoś jej powiedział, że to pomaga w szybkiej sprzedaży. Poprawiła poduszki, postawiła na stole kwiaty i dwie miseczki z pot-pouri, napelniające powietrze miłym zapachem. Gdyby potrafiła, upiekłaby ciasto, żeby zachęcić kupca smakowitą wonią. Wciąż była w szoku wywołanym przez panią Katz i jej niewiarygodną torbę. Nie mogło jej to ocalić, ale dawało czas na zrobienie czegoś w tym kierunku. Po raz pierwszy od tygodni Sig złapała się na tym, że nuci; kiedy stwierdziła, że jest to melodia z “Kota Felixa”, uśmiechnęła się. Gdy go kłopot jakiś nęka, do magicznej torby sięga.

Podeszła do drzwi, by otworzyć Cornelii, agentce ze Stirling & Ross, znanego biura pośrednictwa nieruchomości w Nowym Jorku. Wiedziała, że lepiej byłoby, żeby mieszkanie było puste, ponieważ jednak rzeczywiście nie miała gdzie upchnąć matki i pani Katz, tym razem nie było innego wyjścia. Równie dobrze i ona sama mogła jakby nigdy nie siedzieć w bibliotece, podczas gdy jakaś wiedźma, która poślubiła pieniądze, będzie krytykować tapety w jej mieszkaniu. Sig oddechnęła głęboko i otworzyła drzwi. W progu stała Cornelia, typowa przedstawicielka kobiet ze swojej profesji: pań w średnim wieku, które nieodmiennie nosiły rzucające się w oczy kolczyki i pasek z dużą kłamrą w kolorze złota. Weszła do środka, uśmiechając się powściągliwie.

— Witam — rzekła, unosząc jednocześnie brwi, rozglądając się i błyskawicznie zapalając światło w przedpokoju. — Dokonała pani cudów w tym mieszkaniu — stwierdziła. — Szybko się sprzedaje.

Do diabła, pomyślała Sig, zapomniałam zapalić lampy, a to podstawowy trik. Reszta pomieszczeń była jednak naprawdę jasna, jedynie przedpokój nie miał okna.

Uniosła wzrok ponad ramieniem Cornelii i zdumiała się widokiem Paula Cushinga. — Witam — powiedziała zakłopotana, wyciągając do niego rękę. Przez moment poczuła się zdezorientowana, jak zawsze, kiedy spotykała kogoś poznanego w zupełnie innych okolicznościach. Kompletnie zapomniała o zapowiedzianej przez Cushinga wizycie i o tym czymś, czego nie mógł powiedzieć jej przez telefon.

— Czy to zły moment? — zapytał.

— Nie, nie, skąd! — Pani Cornelia przyszła obejrzeć mieszkanie. Chcę kupić nowe... — Sig usiłowała się nie zaczerwienić. Jakież to krępujące. Musiał pojawić się akurat w tej chwili i dowiedzieć się o sprzedaży mieszkania. Sig poznała Cornelie dość dobrze i wiedziała, że mając na oku sprzedaż, powie każdemu chętnemu, a nawet obcemu, że nieruchomość jest zajęta przez bank.

Uśmiechnął się ciepło.

— Tak miło cię znowu zobaczyć, Sigourney. Nie miałem pojęcia, że myślisz o sprzedaży mieszkania — rozejrzył się. — Tak wiele jest apartamentów w Nowym Jorku, które nie mają w sobie ciepła. Ty jednak stworzyłaś tu prawdziwy dom. — Spojrzył na nią. Jego oczy były niezwykle niebieskie. — Może oprowadzisz na oboje? Nie widziałem wszystkiego, kiedy tu byłem na urodzinach twojej matki.

Cornelia rozpromieniła się Sig była pewna, że ta kobieta nie zamierza tracić okazji.

— Wobec tego proszę zwrócić uwagę na te dwie szafy w przedpokoju...

— Och, proszę się nie trudzić. — Paul przerwał jej grzecznie, lecz stanowczo. Cornelia spieszyła się. — Sig wie, co mi się podoba. Ona mnie oprowadzi. — Po czym uśmiechnął się do agentki, chcąc wynagrodzić zawód, który jej sprawił. Jak na starszego pana, jego uśmiech był doprawdy zabójczy. Cornelia dała się nabrać; natychmiast odzyskała humor i zatrzepotała zalotnie rzęsami. A więc tak to działa, pomyślała Sig, a Paul, ujawszy ją pod łokieć, wszedł za nią do salonu.

— Wiem, że tu byłaś, Cornelio, jednak zdaje się, że nie zwróciłaś uwagi na ten widok — Sig podprowadziła ich do okna i odsunęła story.

— Widać stąd trzy mosty — powiedziała, patrząc na rzekę. — Same mosty są lepiej widoczne w nocy, ale park najpiękniejszy jest za dnia. — Podniosła wzrok na Paula; był wysoki i dostrzegła, że wcale nie patrzy przez okno.

— Jak się miewa twoja matka, Sig? — zapytał — Muszę jej coś powiedzieć.

— Och, czuje się całkiem dobrze — odparła lekko. Może on nadawałby się dla mamy, pomyślała. — Mama jest nawet tutaj — dodała. — Zmęczył ją ten hotel. Teraz wypoczywa. — Sig wyobraziła sobie, jak wygląda teraz jej matka. Nie mając pod ręką Bruce'a, który doprowadziłby ją do jako takiego stanu, uznała, że lepiej będzie, jeśli jednak się nie spotkają. Przynajmniej nie teraz. Pokój pokaże mu później — przy następnej wizycie. Jeśli taka będzie. O to musi się postarać. Czy to był tylko przypadek? Czy może jakiś świąteczny podarunek? Sig patrzyła na Paula. Był o wiele przystojniejszy niż Monty, no i posiadał majątek — ile też Sharon mówiła, że jest wart? Może więc jej siostra nie musi ponownie przekopywać swych folderów. Może mają kogoś, kto sam do nich przyszedł.

— Co chciałbyś powiedzieć mojej matce? — zapytała.

— Sprawdziłem tego Dunleathe'go — mówiłem ci, że ma takie możliwości. Nie znoszę mówić źle o ludziach, ale zdaje się, że on nie jest tym, za kogo go bierzemy — przerwał na chwilę. — Mówię to po to, by chronić ciebie i twoją matkę. Tak, jak chronię Wendy.

— To bardzo miłe z twojej strony. Doceniam to. — Nie mógł przyjść w lepszym momencie, pomyślała Sig. Nie wiedział nawet połowy.

— Nie chciałbym zranić twojej matki.

Sig uśmiechnęła się do niego.

— Przejdźmy do jadalni — powiedziała.

19

— Rainbow Room? Tuż przed świętami? Tam będzie przeraźliwy tłum, nikt teraz nie chodzi do Rainbow Room — mówiła zirytowana Sig do swojej matki.

— W jaki sposób może być tłum, skoro nikt tam nie chodzi? — zapytała Phyllis.

— Nikt, kto jest kimś — odparła córka.

— No cóż, my pójdziemy. Na kolację. Wszyscy czworo — powiedziała Phyllis. Sig wzruszyła ramionami. — A zresztą, nie musisz iść, jeśli nie chcesz. — Ja nie chcę — dodała zmieniając zdanie.

Sig zmrużyła oczy.

— O, nie. Pójdiesz. I będziesz się dobrze bawić. Jeśli mogłaś polubić Monty’ego, to możesz polubić i Paula Cushinga.

— E tam. Nie jest w moim typie. Jest bardziej...

— Bardziej co? Bardziej elegancki? Bogatszy? Uczciwszy? Z pewnością bardziej przystojny. Jest bardzo, bardzo przystojny.

— O, tak uważasz? — zapytała Phyllis. Przymknęła oczy. A ty co sądzisz, Sylvio?

Siedząc jak zwykle w fotelu, Sylvia wzruszyła ramionami.

— Ja wolałam Monty’ego — odparła marzycielskim tonem. — Ale może dlatego, że grał ze mną w kanastę.

Sig potrząsnęła głową. Była skazana na przebywanie z osobami starszymi z lekką demencją. No, co prawda mogło być gorzej. Sylvia Katz mogła być jej matką.

Jak dotąd Sigourney, skądinąd świetny makler z Wall Street, nie zdołała przekonać pani Katz, żeby umieściła swoje pieniądze w banku, nie wspominając już o zainwestowaniu ich choćby w najpewniejsze akcje czy obligacje. Sylvia, prostolinijna i nieskomplikowana, nie przyjmowała tego w ogóle do wiadomości. Sig przestała jej nawet tłumaczyć. Panią Katz nie obchodziły interesy. Już ja swoje wiem, mówiła, kiedy masz pieniądze, wszyscy chcą zrobić na tobie interes. Ona chciała jedynie zachować zawartość swojej skórzanej torby, nie wydając ani grosza. Nie zależało jej nawet na ocaleniu swojej skromności przy grze w rozbieraną kanastę.

— Nie złość się, Susan — powiedziała teraz — Pan Cushing jest bardzo miły, ale ja myślę podobnie jak twoja matka. Wyjąwszy seks. Wolę Monty’ego.

— Montague Dunleathe jest oszustem — powiedziała zirytowana Sig.

— Ale dobrze gra w kanastę — odparła pani Katz z nostalgią. Po chwili otrząsnęła się i spojrzała na Sig. — Niczego nie próbował — zapewniła ją. — Przynajmniej nie ze mną. To była wyłącznie przyjacielska gra.

Sig pokręcił tylko głową i wzniosła oczy ku górze. Nieład z pokoju gościnnego rozprzestrzenił się już w salonie i zagrażał nawet przedpokojowi. Na klamce drzwi do holu wisiał bezkształtny sweter pani Katz. Czyjeś okulary do czytania, których boczna część była przymocowana do oprawki agrafką, leżały na komodzie. Na jednym stoliku koło sofy znajdowały się eukaliptusowe cukierki Halls, które bezustannie ssała pani Katz, drugi zaś ozdabiała kompozycja o równie intensywnej woni; wokół puszek określającej ich smak jako ciekawy i mocno miętowy leżały rozsypane cukierki Phyllis; obok nich zużyta pomadka

ochronna, stosik żetonów na telefon, które Phyllis wciąż zbierała, choć nie było już telefonów na żetony, jakieś powyrywane z gazet czy magazynów kupony konkursowe, ogryzek ołówka, na wpół rozwiązana krzyżówka i dwie pary okularów do czytania, jedne z łańcuszkiem, drugie bez.

Sig pomyślała, że chyba jednak zwariuje. Choć może przy odrobinie szczęścia Paul Cushing zabierze matkę z jej rąk, a panią Katz uda się „odstawić od piersi” i umieścić we własnym mieszkaniu, albo przynajmniej dołączyć ją do Phyllis.

Sig miała wrażenie, że jeden Bóg wie, dlaczego, Paul Cushing tak bardzo zabiegał o względy Phyllis. Wczoraj zabrał jej matkę i panią Katz na kolację, a dziś wraz z Sig, Wendy i Phyllis byli na gwiazdkowym pokazie Radio City. Sig zadzwoniła do pracy, że jest chora, zresztą tuż przed świętami i tak nic się nie działo.

Oczywiście Phyllis omal nie zepsuła wszystkiego, gadając przez cały czas, choć w istocie jej komentarze były dużo zabawniejsze niż cały film. A Paulowi jakoś to nie przeszkadzało, skoro ofiarował się z następnym zaproszeniem. Tak przynajmniej powiedziała pani Katz, gdy odłożyła słuchawkę. Rainbow Room nie było w stylu Paula Cushinga. Był na to o wiele za subtelny, miał klasę. Tak czy inaczej, Sig zadzwoniła po Bruce'a, aby przygotował mamę i teraz mogli już spotkać się z Paulem.

— Paul jest bardzo miły — przyznała Sig w rozmowie z matką, usiłując ją wybadać.

— Bardzo — zgodziła się Phyllis. — Ale ja mu się nie podobam.

— Oczywiście, że tak. Bardzo mu się podobasz.

— Nie w taki sposób — spojrzała uważnie na Sig. — Bardzo ładnie — powiedziała z uznaniem — ale spódnica powinna być krótsza.

Bruce stał nad matką, utrwalając ostatecznie jej fryzurę lakierem tak mocnym, że przykleiłby ząb do stalowej poręczy.

— Gotowe — powiedział, przyglądając jeszcze grzywkę.

Sig zerknęła w lustro.

— Phillip powinien być za chwilę. — Znowy zniżyła się do poproszenia go o towarzyszenie jej, ale nie miała wyjścia. — To ostatni raz. Więcej się z nim nie spotkam — wyrwało jej się na głos.

— I dzięki Bogu. To już jakiś postęp — pochwaliła ją Phyllis. — Teraz mogłabyś tylko otworzyć oczy i dostrzec prawdziwego mężczyznę, nie firmowego kłowna, nie mającego dość odwagi, by się związać i mieć dzieci.

— Mamo, większość mężczyzn mnie nie chce. Twierdzą, że to zbyt wiele, jak na ich możliwości.

Phyllis uśmiechnęła się w zamyśleniu.

— Twój ojciec zawsze tak o mnie mówił — ściszyła głos i spuściła oczy — Monty też tak powiedział.

Sala Rainbow Room była zatłoczona, lecz kiedy tylko wysiedli z windy, powitał ich usłużny kelner i natychmiast poprowadził do nakrytego na cztery osoby stolika, stojącego tuż przy parkiecie. Paul Cushing z całą pewnością miał klasę. Przybyli w ostatniej chwili, bowiem gdy tylko zajęli miejsca, światła przygasły, zabrzmiały werble i na niewielkich schodach jedna po drugiej pojawiły się stepujące tancerki, które, uroczym spływem w dół schodów; aż wszystkie stanęły na parkiecie, rozpoczynając prawdziwy pokaz; jedna ładniejsza od drugiej, każde następne nogi kształtniejsze od poprzednich. Zachwyciły tłum nie tylko stepowaniem, lecz także perfekcją, z jaką wykonywały taniec.

Sig jednak szybko się znudziła. Spojrzała na siedzących przy stoliku. Phillip miał zblazowaną minę, a w oczach ironiczne błyski, Paul jednak promieniał, i to on zaczął bić brawo tancerkom. Mimo, że był już niemłody czuło się w jego zachowaniu radość życia. Kiedy nachylił się do Ghyllis, żeby jej coś powiedzieć, Sig dałaby wiele, żeby usłyszeć o czym mówił.

Po przedstawieniu, gdy ucichły oklaski, orkiestra zaczęła grać „Night and Day”. Kiedy Phillip poprosił ją do tańca, Sig zdziwiła się, lecz była zadowolona, przynajmniej do chwili,

znalezienia się na parkiecie. Sig potrafiła tańczyć, ale nie z Phillipem. Czuła się przy nim niezręcznie. Nie potrafił prowadzić i co chwilę deptała go po nogach. Za każdym razem, gdy się to zdarzało, on przepraszał. Niewątpliwie był najgorszym tancerzem jakiego znała. Sig poczuła ogromną wdzięczność, gdy Paul Cushing poklepał Phillipa po ramieniu, odbijając mu partnerkę.

— Dzięki Bogu — westchnęła z ulgą. Phillip oddalił się, rzuciwszy przez ramię nieco rozczarowane spojrzenie.

— Wyglądało na to, że potrzebujesz ratunku — powiedział Paul — ale nie byłem pewien. — Przejął prowadzenie. Cofnąwszy się o krok, obrzucił ją uważnym spojrzeniem. — Ładna sukienka. Bardzo efektowna. Dobrze ci w czerwonym. — Sig zarumieniła się. — Podobały ci się kwiaty? — zapytał.

— Były cudowne — odparła ciepło. Paul przyciągnął ją bliżej siebie. Dotyk jego ręki na plecach sprawiał jej ogromną przyjemność. — Moja matka była poruszona.

Sig bez trudu dopasowała swoje kroki do jego, poddała się prowadzeniu i odprężyła się. Nie czuła się tak za pierwszym razem, kiedy tańczyli na Zimowym Balu. Młodzi mężczyźni nie potrafili tańczyć, a Paul sprawiał, że taniec z nim działał kojąco. "Night and Day" skończyło się i zaczęli tańczyć do "I've Got You Under My Skin". Sigourney rozluźniła się i zupełnie i odruchowo przylgnęła do niego. W tym momencie przypomniała sobie o matce i celu całego przedsięwzięcia.

Przedziwne, pomyślała. Bawię się lepiej z Paulem niż z własnym chłopakiem. No, ale Phillip był tu tylko dla zachowania pozorów.

— Musimy wracać do stolika — powiedziała niechętnie, gdy orkiestra zaczęła grać "Just In Time". — Choć było to bardzo przyjemne — dodała.

Paul uśmiechnął się i ująwszy ją pod łokieć, poprowadził z powrotem do stolika. Dobrze było się mu poddać i pozwolić się prowadzić pomiędzy tańczącymi parami. Jednak czar miłej chwili prysnął w jednej sekundzie, gdy dochodząc do stolika Sig ujrzała, że po drugiej stronie parkietu jej matka tańczy z Montague Dunleathe.

— O mój Boże! — wykrzyknęła, czyniąc gwałtowny krok w przód.

— Co się stało?

Sig nie mogła wykrztusić słowa. Wskazała jedynie głową. Paul powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem i uniósł brwi.

— Twoja matka? Czy dobrze się czuje?

Sig potrząsnęła głową. Czuła, jak narasta w niej gniew. Co tu się dzieje? Została wystrychnięta na dudka. Z pewnością nie był to przypadek.

— Skąd on wiedział, że tu będziemy? — zapytała Paula.

— Nie mam pojęcia — przyznał.

Sig nie wiedziała, czy powinna mu wierzyć, czy nie. Wypełniała ją furia. Wykorzystano ją, była tego pewna. Paul Cushing tańczył z nią tylko po to, by odciągnąć jej uwagę. Musieli spiskować za jej plecami, on i wszyscy inni.

— To ty wybrałaś to miejsce — powiedziała oskarżycielsko.

— Ja? Ależ skąd. Myślałem, że to twój pomysł. Dlaczego ja miałbym chcieć tu przychodzić?

— Żeby umożliwić im to! — odparła, wskazując tańczących. — Albo też może dlatego, że lubisz tancerki lub sprawia ci przyjemność przebywanie wśród ludzi o koszmarnych fryzurach. Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że pani Katz powiedziała, że to ty dokonałaś rezerwacji. Czy to Monty cię o to prosił?

— Pani Katz powiedziała, że twoja matka chciała tu przyjść. Zastanowił się. — Nie, poczekaj. — Kiedy się koncentrował, wyglądał na swoje siedemdziesiąt lat. — Nie, właściwie wydaje mi się, iż powiedziała, że to ty wybrałaś to miejsce. — Uśmiechnął się niepewnie. — Szczerze mówiąc, zdziwiło mnie to. Później pomyślałem, że może chciałaś potańczyć. Naprawdę świetnie tańczysz, Sig.

Sigourney nie miała więcej czasu na rozmowę. Musiała się dowiedzieć, co u diabła myślała sobie jej matka. Wkroczyła na pakiet i podeszła do niej. Właśnie zakończyli z Montym jakąś niezwykle skomplikowaną, lecz bardzo wdzięczną figurę. Monty podniósł wzrok.

— O, witam — powiedział, jakby fakt, że tańczył właśnie tutaj, w swym staromodnym smokingu i z jej matką w ramionach, był najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem.

— Co się tu właściwie dzieje? — zapytała z gniewem Sig. Ostatnio, gdy widziała ich razem, leżeli nadzy w łóżku. W jakiś dziwny sposób teraz, ubrani i wśród tłumu, wyglądali równie intymnie. Montague Dunleathe, wciąż trzymając jej matkę w objęciach, zatrzymał się i spojrzał na nią.

— Jesteś dziś bardzo elegancka — powiedział.

— Przestań czarować, Monty. Na mnie to nie działa. I zostaw moją matkę. — Sig spojrzała na Phyllis. — Czas na nas — dodała chłodno.

— Ależ ledwie przyszedliśmy — zaprotestowała starsza pani żałośnie.

Ha, już wiem, po kim Sharon ma ten swój piskliwy ton, pomyślała Sig.

“Just In Time” właśnie się kończyło. Monty wyprowadził Phyllis z tanecznej figury i zajął jej w oczy. Stali bardzo blisko.

— Przepraszam — wycedziła Sig. — Odbijany. — Postukała Monty’ego w ramię.

— Ja nie wychodzę — odezwała się Phyllis.

Sig popatrzyła na matkę.

— Obiecałaś, że tego nie zrobisz — przypomniała jej.

Phyllis wzruszyła ramionami.

— Niczego nie zrobiłam.

— Wydaje mi się, że to wolny kraj — wtrącił się Monty.

— Tylko dla tych, którzy nie płacą podatków! — wygarnęła Sig.

Ujęła matkę za rękę.

— Kto ci w tym pomoże? Powinnaś się wstydzić. Jak to załatwiłaś, dzwoniłaś potajemnie z automatu?

— Nie, to Sylvia dzwoniła — odparła Phyllis.

— No, świetnie. Więc pani Katz została swatką? — Sig stanęła między nimi i gniewnie spojrzała Monty’emu w oczy.

— Trzymaj się z daleka od mojej matki — rzuciła mu w twarz. — Nie chcę cię więcej widzieć ani słyszeć. I nie chcę, byś rozmawiał ze mną ani z moją matką, ani z panią Katz. Jesteś oszustem, łowcą posagów i podłym blagierem, albo i gorzej. Jeśli masz jeszcze jakieś pytania na temat twojego charakteru, możesz mnie złapać w biurze.

Wokół nich zdążył się zebrać tłumek gapiów, nieco dalej stał Paul Cushing i bezużyteczny jak zwykle Phillip, Sig było jednak wszystko jedno. Wzięła matkę pod rękę i odwracając ją tyłem do wszystkich, powiodła w kierunku windy.

Przez całe sześćdziesiąt sześć pięter w dół z głośnika w windzie grzmiał “Mały dobosz”.

Pani Katz przyznała się od razu. Nie było trudno wydobyć z niej prawdę: Monty dzwonił potajemnie od wielu dni, a Sylvia, uznając to za bardzo romantyczne, przekazywała mu wiadomości od Phyllis.

— Mamo, czemu nam to zrobiłaś? — pytała rozwścieczona Sig.

— Jak w ogóle mogłaś? — krzyczała na matkę Sharon.

Phyllis wyprostowała się w krześle.

— Dobrze więc, widzę, dokąd zmierza to przesłuchanie. Zrobię to po waszemu.

— Wreszcie — odetchnęli wszyscy troje jednocześnie.

Sig zadzwoniła do Paula Cushinga i długo go przeproszała za całe zajście. Jego zaś zdawało się zadowalać wszystko, cokolwiek powiedziała czy zaproponowała. W środowy wieczór zabrał

jej matkę i Wendy na przejażdżkę bryczką po Central Parku. W czwartek zjadł kolację z Sig, Phyllis i panią Katz. W piątek poszli całą czwórką zobaczyć Showboat, Paul zdobył nawet dodatkowy bilet dla pani Katz. Sytuacja rozwijała się tak pomyślnie, że sobotni wieczór spędził z Sharon, Barneyem, Jessie i Travisem, jeżdżąc limuzyną wzdłuż Piątej Alei, by dzieci mogły zobaczyć świąteczne wystawy. Wendy nadzwyczaj polubiła Jessie, i jak się zdawało, z wzajemnością. Wydarzenia następowały szybko po sobie i Sig miała wrażenie, że jej plan wreszcie zaczął działać. Dlaczego więc czuła się taka nieszczęśliwa? Było to dziwne uczucie, przypominające zły sen, w którym wszystko, na czym jej w życiu zależało, wyslizgiwało się z rąk.

Sig zdjęła czerwone spodnie, postanawiając włożyć zamiast tego czarną spódnicę i ciemne pończochy. W chwili, gdy skończyła się ubierać, przypomniała sobie, że Paulowi tak bardzo podobała się czerwona sukienka, którą miała na sobie w Rainbow Room. A co za różnica. To nie ona miała mu się podobać. Nie chciała wyglądać na zbyt wystrojoną, postanowiła więc zamiast pantofli założyć miękkie botki. Otworzyła swą tak starannie zaprojektowaną szafę i odrzucając krótkie, czarne oraz te wysokie do kolan, też czarne, wybrała botki na obcasie z wywinietą cholewką. Nagle zdała sobie sprawę, że miała cztery pary czarnych botków, a także trzy pary brązowych, sześć par brązowych pantofli, jedenaście par czarnych, no i całą tę resztę w innych, w nie podstawowych kolorach. Mój Boże, pomyślała, patrząc na to wszystko. Żadne z nich nie kosztowały mniej niż dwieście dolarów. Ile pieniędzy wyrzuciła przez wszystkie te lata?

Sig westchnęła. Nawet jeśli pożyczycy te pieniądze od pani Katz, nie będzie więcej kupowania butów ani markowych ubrań. Z hukiem zatrzasnęła drzwi szafy i przejrzała się w potrójnym lustrze, choć nie bardzo wiedziała, po co. Był to tylko kolejny wieczór jej matki, ona zaś jedynie podawała piwo i świąteczne ciasteczka, a potem żegnała ich przy drzwiach. Rzuciła przez ramię ostatnie spojrzenie na tył spódnicy. Czy przypadkiem nie opinała się za bardzo? Będzie musiała zwiększyć liczbę godzin spędzanych na siłowni po tych świętach — przynajmniej do czasu, kiedy skończy się ważność jej karty członkowskiej. Nie będzie więcej prywatnych sesji u Davida Bartona w najlepszym klubie z najznakomitszymi trenerami w mieście. Sig westchnęła ponownie i weszła do salonu.

Pani Katz siedziała jak zawsze na dwuosobowej kanapie. Sig drażniło to, że ostatnio starsza pani stale wybierała to miejsce. Było ono jakby stworzone dla jej matki i Paula, a tak musieli siadać na dużej sofie albo nawet naprzeciwko siebie. Pani Katz była niemożliwa. Myśląc o niej, Sig natychmiast poczuła wyrzuty sumienia, zwłaszcza, że starsza pani okazała wobec niej taką szczodrość. Irytowała ją jednak niedomyślność Sylvii. Sig będzie musiała jej w końcu powiedzieć, żeby wyszła z tego pokoju, by matka i Paul mogli pobyć ze sobą sam na sam. Chociaż Paul nigdy nie przesiadywał długo.

Była to dziwna sprawa, która nieco niepokoiła Sig. Paul Cushing nie przejawiał bowiem w ogóle chęci do fizycznego kontaktu z Phyllis. W głębi duszy, choć nie przyznawała się do tego nawet przed samą sobą, cieszyło ją to. Może z powodu tego incydentu z Montym. A może krępowała ją myśl o seksie w powiązaniu z jej matką. Czy w ogóle z kimkolwiek starszym. Bo przecież poza tym Paul miał w sobie tyle ciepła. Sig martwiła się, że może to oznaczać, iż nie miał poważnych zamiarów wobec Phyllis. No cóż, powinna być zadowolona. Przynajmniej nie musi się martwić, że zastanie ich nagich w łóżku. Zadrzała na samą myśl o tym.

— Zimno ci, kochanie? — zapytała pani Katz. — Może powinnaś włożyć sweter.

— Nic mi nie jest — odparła Sig.

Spojrziała na panią Katz, spokojnie siedzącą ze swoją czarną torbą na kolanach. Właściwie zazdrościła jej. Niczego nie czytała, nie robiła na drutach ani nie rozwiązywała krzyżówek. Nawet nie oglądała telewizji. Po prostu siedziała. Wystarczało jej to do pełni szczęścia. W zasadzie była idealnym gościem.

— Wychodzi pani gdzieś dziś wieczór? — zapytała Sig z nadzieją.

— To możliwe. Bernard ma tu wpaść.

— Bernard? Bernard Krinz? — powtórzyła Sig.

— No tak. Mamy porozmawiać bliżej o moich inwestycjach.

— Inwestycjach? — zapytała z niedowierzaniem Sig. — O czym pani mówi? Przecież jedynym miejscem, w którym składa pani swoje pieniądze jest ta torba.

— Och, już nie. Bernard dzwoni tu niemal codziennie. Podobają mi się jego pomysły.

A cóż to mogło znaczyć? Teraz Krinz został naciągaczem? Nie, on był znanym na świecie architektem. Tak czy siak, jeśli ktokolwiek ma się zająć pieniędzmi pani Katz, to Sig prędzej da się utopić w jogurcie niż pozwoli, by był to ktokolwiek poza nią samą! Zamierzała właśnie przeprowadzić wnikliwsze śledztwo, gdy przerwał jej dzwonek u drzwi. Przechodząc koło lustra w przedpokoju sprawdziła makijaż i szybko przeciągnęła usta szminką, którą trzymała w szufladce konsoli w przedpokoju.

Otworzyła drzwi. W progu stał Paul Cushing. Mokre płatki śniegu iskrzyły się na jego białych skroniach i szerokich ramionach niebieskiego granatowego płaszcza. Pomimo swego wieku był wciąż bardzo przystojnym mężczyzną. Objął ją spojrzeniem.

— O, w czarnym jest ci również bardzo do twarzy — powiedział, jakby pamiętał swój komplement z Rainbow Room.

Kiedy pomagała mu zdjąć płaszczy, poczuła nagle nieprzepartą chęć strzepnięcia śniegu z jego włosów. Podniosła już rękę, jednak w porę się powstrzymała. O czym ja w ogóle myślę?

— Czy śnieg pada coraz mocniej? — udało jej się wykrztusić.

Odwrócił się i uśmiechnął. Spojrzawszy na jej nogi, przytaknął i dodał:

— Jeśli wychodzisz, powinnaś założyć jakiejś bardziej praktyczne buty. — W jego oczach migotały iskiereki. — Chociaż w tych wyglądasz tak ładnie, że szkoda ich zdejmować.

Sig spojrzała w dół, czując, że się rumieni. Może jej matka miała rację — potrzebowała ojca, nawet teraz, choćby po to, by ją zauważył i pochwalił. Komplement Paula sprawił, że poczuła się jak zażenowana dziewczynka, mając ochotę wiercić czubkiem buta dziurę w dywanie. Zmusiła się, by spokojnie powiesić jego płaszczy na wieszaku. W tym momencie zauważyła, że trzymał w ręku niewielką torebkę w ulubionym kolorze Sig, o barwie sufitu w jej kuchni: błękit Tiffany. Jej serce zabiło szybciej. Czy przyniósł pierścionek dla mamy? Czy zamierzał się oświadczyć? Dziwna rzecz, pomyślała Sig, ale jej radość zakłócało jakieś inne uczucie. Co to było? Żal? Rozczarowanie? Zazdrość?

Boże, ona chyba naprawdę traci rozum! To przez te święta. Wszędzie ta piekielna muzyka, te przesłodzone filmy w telewizji. Cieszyła ją, że nie spotyka się już z Phillipem, ale czuła, że będzie musiała spróbować znaleźć sobie kogoś jak najszybciej, zanim dopadnie ją kompleks Elektry. Jeśli będzie ją na to stać, zacznie chodzić na sesje do dr Leftera. To świetny psycholog.

— Mama nie jest jeszcze gotowa — oświadczyła. — Może wejdiesz na chwilę?

Paul uśmiechnął się złośliwie.

— A przyzwoitka jest?

— Pani Katz? — odpowiedziała takim samym uśmiechem. — Niestety.

— A kto tu ma kaca? — zapytał Paul.

— Pani Katz. I czasem pani Nussbaum — odparła, powtarzając dowcip Monty'ego.

Weszli do salonu. Ku zdziwieniu Sig, Paul nie usiadł na sofie, a na jednym ze skórzanych foteli. Sig zamierzała dotrzymać mu towarzystwa, gdy ponownie odezwał się dzwonek u drzwi.

Tym razem byli to Bruce i Todd, znowu w towarzystwie Bernarda Krinza.

— Wesołych świąt! — powiedział Bruce.

Mężczyźni byli biali od śniegu — pogoda pogarszała się z każdą chwilą. Tak, jak i nastrój Todda. Wyglądał bardzo żałośnie. Co działo się z Bruce'm? Naprawdę leciał na tego pryka ze względu na jego pieniądze? Sig poczuła, że cierpiej jej skóra. A jak to działało na Todda!

Niezależnie od wszystkiego byli bardzo uroczyści. Bernard wpiął w klapę swej staroświeckiej marynarki gałązkę ostrokrzewu, Todd miał na sobie czerwono-zielony sweter, a Bruce założył szalik, który Sig dała mu z okazji Chanuki. W ręku jej brata kołysały się na wstążeczkach kolorowo opakowane paczuszki.

— Wesołych świąt — powtórzył i pocałował siostrę w policzek.

— Bruce, nie powinienes był.

— Powiniennem i zrobiłem to — odparł.— Wciąż napływają nowe zamówienia. To najlepsze święta w moim życiu. Ten zawiany Mikołaj przyszedł w końcu i do mnie. Jak tylko otrzymam przekazy, znów będę na plusie! A Bernard obiecał mi pożyczkę!

Bernard Krinz uśmiechnął się. Spojrzał na Sig i jej brata.

— Obojgu wam dobrze w czarnym kolorze.

Sig usiłowała się uśmiechnąć do starego pochlebcy, ale nie udało jej się to. Wprowadziła gości do salonu. Bernard podszedł prosto do pani Katz i usiadł koło niej na kanapce, zaś Todd i Bruce przywitali się z Pauliem.

— Wesołych świąt! — zaśpiewał Bruce i wręczył Paulowi jedną z paczek. Następna, większą, podał pani Katz. Później prezenty otrzymali Bernard i Todd, a ostatnie pudełeczko dostała Sig.

— Prezent dla mamy mam w kieszeni — stwierdził Bruce z dumą, padając na sofę i rozrzucając tak starannie ułożone przez Sig poduszki. Wyraźnie zadowolony z siebie, uśmiechnął się szeroko.

— Mamy je otworzyć teraz? — zapytała pani Katz.

— A czemu nie? — odparł Bruce. — Żydzi zawsze otwierają swoje prezenty wcześniej.

Pani Katz była pierwsza. Zerwawszy niecierpliwie papier z okazałego pudełka, uniosła błyszczącą przykrywkę i zajrzała do środka.

— O mój Boże! — wykrzyknęła, wyjmując śliczną skórzaną torebkę.

— Myślałem, że może się pani spodobać — uśmiechnął się Bruce. — Jest chyba wystarczająco duża? I w tej zamek działa.

— O mój Boże. Brak mi słów — przyznała Sylvia.

— To też nieźle — mruknął Bruce.

Tymczasem Bernard Krinz z wielką ostrożnością odpakował swój prezent, odkrywając imponujących rozmiarów album Rizzoli.

— Och, Bruce, nie powinienes był — powiedział Bernard.

— Owszem, powiniennem i zrobiłem to — powtórzył Bruce. Spojrzał na Sig i Paula. — To budynki, które zdobyły nagrody Międzynarodowego Związku Architektów. Todd robił zdjęcia. Są tu trzy budynki Bernarda.

Bruce uśmiechnął się do Paula.

— A ty?

Paul spojrział na Sig.

— Panie pierwsze.

Sig zerwała papier z małego pudełeczka. Poza swoim domem i pracą, która dawałaby jakieś pieniądze, nie potrzebowała w zasadzie niczego, może tylko... Podniosła głowę.

— Nie mam pojęcia — powiedziała i otworzyła pudełko. Na kłębku białej waty leżał jej pierścionek ze szmaragdem.

— Och, Bruce — wyjąkała. — Och, Bruce — jej oczy zwilgotniały. — Skąd wiedziałeś...? Bruce, jak mogłeś to zrobić?!

— Powiniennem był i zrobiłem to — powtórzył po raz kolejny jej brat, tym razem jednak już nie tak nonszalancko. — Nie zrozum mnie źle, ale nie kupiłem go na aukcji. Nie pozwoliłem tylko go sprzedać. Podrobiłem twój podpis na blankiecie wycofującym go ze sprzedaży, ale...

wszystko jedno, mam też dla ciebie czek na kwotę równą jego wartości, minus prowizja i podatek. Tak mi się przynajmniej wydaje. Uważaj to za pożyczkę.

— Och, Bruce... — jęknęła Sig i podbiegła, by pocałować brata.

— Dosyć, dosyć! — opędził się, wstając. — Zobaczę, co też zajmuje mamie tyle czasu. Może potrzebna jej jakaś fachowa pomoc.

— Poczekaj chwilę — Paul Cushing wstał i otworzył swoją małą, błękitną torebkę. — Ja też mam coś dla was wszystkich. — Wręczył jedną ładnie opakowaną paczuszkę Bruce'owi, drugą pani Katz. — Nie wiedziałem, że tu będziesz — usprawiedliwił się, wobec Bernarda Krinza. — Ale uzyskałem akceptację Whetheral na twój projekt nowego biura.

— To doprawdy wspaniały prezent — odparł Bernard.

Paul odwrócił się do Sig. Wyjął małe pudełko i wręczył jej. Uśmiechnęła się. Był taki dobry, taki hojny.

— To dla twojej matki — powiedział. Rozczarowanie ścisnęło ją za gardło. To musi być pierścienek zaręczynowy. Dlaczego więc przyjęła tak źle tą wiadomość? Tego przecież pragnęła?

Sig podała paczuszkę bratu.

— Może ty jej to zaniesiesz? — zapytała, po czym dodała szeptem: — Wyperswaduj jej odmowę, jak już przy tym będziesz.

— Jasne — mrugnął do niej Bruce. — Otwórz swój prezent, Paul, a ja przyprowadzę mamę.

Paul zerwał papier i wyjął srebrny, jedwabny szal z frędzlami. Był przepiękny. Dopiero, kiedy Paul owinął nim szyję, barwa szala nabrała intensywności współgrając idealnie z kolorem jego włosów.

Podziwiając go Sig dostrzegła, że Bruce wyszedł z sypialni i skierował się do kuchni. Obserwowała go kątem oka, kiedy wyszedłszy stamtąd udał się do łazienki, a w chwilę potem zmierzał już w stronę biblioteki. Sig wstała i poszła za nim, wpadając na niego w korytarzu.

— Co się dzieje? — zapytała — Co ty robisz?

— Szukam mamy.

— Jak to, szukasz mamy? Jest w mojej sypialni.

— Otóż nie. Nie ma jej w całym mieszkaniu.

— To niemożliwe, Bruce. Ja tu byłam przez cały dzień, a ona nigdzie nie wychodziła.

— No cóż, moja droga, wobec tego znajdź ją sama.

Sig odwróciła się i ruszyła w stronę sypialni. Kiedy przechodziła przez salon, pani Katz zapytała:

— Zgubiłaś coś, kochanie?

Sig zignorowała ją i pchnęła drzwi do sypialni. Nikogo. Weszła do pokoju, sprawdziła garderobę i łazienkę. Nigdzie ani śladu. Już miała wyjść, gdy kątem oka dostrzegła przyklejoną do lustra kartkę. Zerwała ją. Była napisana ręką Phyllis.

Droga Sigourney,

Sharon się już nie zmieni, ale Bruce w końcu wychodzi na prostą. Todd go wreszcie doceni, będzie dla niego doskonałym partnerem. Martwię się tylko o ciebie. Nie wiesz, co jest w życiu ważne, Sig, ani gdzie tego szukać. Nie wiem, dlaczego uważasz, że byłaś i jesteś odpowiedzialna za mnie, tatę, twojego brata i siostrę. Być może uważasz nawet, że odpowiadasz za dziurę ozonową. Daj sobie spokój. Przestań niańczyć swoją rodzinę — ze mną włącznie — i zajmij się sobą. Zauważ swoich prawdziwych przyjaciół. My damy sobie radę. A Ty?

Moja rada: miej trochę więcej cierpliwości i noś krótsze spódnice.

Jeśli chodzi o mnie, to wyjechałam z Montym. Nie gniewaj się i nie martw, nie szukaj mnie. Dam sobie radę, obiecuję. Kocham go, a on kocha mnie. Jestem szczęśliwa, Sig. Życzę tobie takiego szczęścia.

Sig weszła do salonu, otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz zdołała jedynie zmiać trzymaną w rękę kartkę i wybuchnęła płaczem.

— Co się stało? — zapytał Paul, wstając i podchodząc do niej. — Sig, o co chodzi?

Spojrzała mu w oczu.

— Moja matka uciekła z Montym, tym łowcą posagów. A ona nie ma żadnego posagu! — szlochała. Dźwięki, które przy tym wydawała, były głośne i krępujące, łkała jednak, jakby miało pęknąć jej serce. Paul objął ją ramionami.

— Jak to, uciekła? — zapytał zdumiony Bruce. Sig podała mu zmięty list. Brat przeczytał go szybko. — Chodź, Sylvio. Pewnie rozmawia z dozorcą w holu na dole. Pójdziemy jej poszukać. — Ociągając się, Sylvia wstała i z torbą w rękę wyszła za Brucem.

Paul wypuścił Sig z objęć. Weszła do kuchni po chusteczkę. Chciała jakoś się pozbierać. Może Mama tylko blefowała. Oparła się o blat, usiłując zebrać myśli. Po chwili do kuchni cicho wszedł Paul i stanął przed nią.

— Dobrze się czujesz? — zapytał. Stał tak blisko, że czuła zapach łagodnego mydła i czegoś równie przyjemnego.

— Nic mi nie będzie — odparła, po czym znów wybuchnęła płaczem. Niemał odruchowo zrobiła krok w przód i wtuliła twarz w jego ramię. Tym razem Paul objął ją mocniej, delikatnie gładząc po plecach.

— To moja wina — powiedział. — Mówiłem ci, że słyszałem niepochlebne opinie o tym człowieku. Powinienem być zrobić więcej. Mogłem...

— Wiedziałaś, co zamierzają?

— Nie, skąd. Ale wiedziałem, że było jej ciężko, odkąd zniknął. Dlatego chciałem ją trochę rozerwać.

Sig uniosła twarz i spojrzała na niego. Paul pochylał głowę i zaczął ją całować. Przez jedną chwilę — króciutką — żar bijący z jego ust ogarnął wszystkie jej zmysły i sprawił, że zapomniała o całym świecie. Wiele czasu upłynęło, odkąd ktoś ją tak całował — albo może nigdy się to nie zdarzyło? Wargi Paula były zdumiewająco miękkie, choć całował ją mocno, przytrzymując dłonią jej twarz. Sig bezwiednie uniosła rękę i położyła ją na jego dłoni.

I nagle zorientowała się, co robi. Całowała kandydata do ręki swej matki, i na dodatek podobało jej się to! Sig oderwała od niego swe usta i odepchnęła go z całych sił.

— Co ty robisz? — zapytała.

— To chyba oczywiste — wzruszył ramionami i wyciągnął do niej rękę. — I chciałbym to kontynuować. Mógłbym to ulepszyć.

— Ale...

Wyjął chusteczkę i ostrożnie, czule wytarł jej mokre oczy.

— Jesteś bardzo piękna, Sig — powiedział. — I rozsądna. Ale jesteś też niezwykle głupiutką dziewczynką.

— Nie jestem dziewczynką.

— Dla mnie jesteś. Pamiętaj, że jestem starszy. Dużo starszy. — Paul uśmiechnął się, ale w jego oczach czał się cień smutku. — Mam nadzieję, że nie jestem za stary. To ty musisz ocenić. — Osuszył do końca jej twarz i potrząsnął głową. — Tego nie było w moich planach. Absolutnie. Tak czy inaczej, dla mnie jesteś bardzo głupiutką dziewczynką i cudowną kobietą — przerwał. — Masz szczęście, że lubię głupiutkie dziewczynki. I prawdziwe kobiety. — Położył rękę na jej ramieniu, lecz pomimo elektryzującego gorąca, jakie na nią spłynęło, cofnęła się.

— Moja matka — wyszeptala. — Spotykasz się z moją matką.

— Słyszysz, o czym mówię? — powiedział Paul i uśmiechnął się znowu. — Twoja matka nigdy się mną nie interesowała. Opowiedziała mi wszystko o tym Montym i jak bardzo go lubi. A ja zawsze interesowałem się tobą.

— Co? — do Sig jednocześnie dotarło zarówno samo wyznanie, jak i jego czas przeszły. Jedno wypełniło ją dziwną tęsknotą, drugie bólem.

— Interesowałeś się...? powtórzyła.

Paul ponownie przyciągnął ją do siebie. Tym razem nie bronila się.

— Widzisz, jaka jesteś głupiutka? — zapytał pobłażliwym tonem. — Pamiętasz te kwiaty, które wysłałem do “Pierre’a”? Były dla ciebie. Kiedy je zignorowałaś, pomyślałem, że jestem za stary.

— Ty interesowałeś się mną? — zapytała, nie śmiejąc w to uwierzyć. — To znaczy, nadal...?

— Owszem, byłem i jestem pod twoim urokiem. I zawsze będę. Wszyscy poza tobą to dostrzegli. Teraz podstawowe pytanie brzmi: czy ty możesz zainteresować się choć trochę takim starym prykiem jak ja?

Sig zarumieniała się znowu. Czy Paul wiedział o Operacji Stary Pryk? Patrzył na nią w napięciu. Jego oczy były równie niebieskie, jak poważne, a włosy miały barwę soli z pieprzem. Miękki — bardzo miękki — zamsz marynarki był taki przyjemny w dotyku. Potarła go policzkiem, zanim uniosła ku niemu twarz. Pocałował ją znowu, długim, gorącym pocałunkiem.

Zaskoczona odkryła, że nie tylko jej się to podobało, ale że oddawała mu pocałunek. W końcu, ku jej żalowi, Paul oderwał od niej swe usta.

— Sigourney, przychodziłem tu z twojego powodu. Odkąd się poznaliśmy. Tamtej nocy byłem z Wendy w hotelu, ale miałem nadzieję, że spotkam ciebie. Naprawdę lubię twoją matkę. Jest taka jak ty. Ostra, żadnego przymilania, prawdziwe wyzwanie. Ale nic na to nie poradzę.

— Na co? — czuła się tak, jakby topniała, jakby śniła zbyt piękny sen.

— Że pragnę cię kochać. Od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem przy stole na tym balu. Dostrzegłem wtedy, jak całkowicie szczerą była twoja twarz. Inteligentna, złośliwa, śmiała. Twoja twarz mówiła: Hej, jeśli uda ci się ze mną wygrać, uwierzę, że jesteś prawdziwym facetem. Nie spotykam się z tym często. Ani z taką niecierpliwą radością, jak twoja — jego twarz spoważniała. — Poniosłem w życiu wiele porażek, Sig. Życie nie gra fair ani nie trwa długo. Chcę dzielić z tobą tę radość życia, Sig. Nie każdy ma w sobie ten dar. Ma go twoja matka i masz ty.

— Niecierpliwą radością? — powtórzyła Sig, jej twarz jednak złagodniała. Wyznanie Paula sprawiło, że czuła się odmieniona. Coś się wydarzyło, coś więcej niż tylko pocałunek.

— Uwielbiam twoją matkę, Sig i obiecuję, że pomogę ci ją znaleźć. Ale to ciebie kocham, niezależnie od tego, jak długie są twoje spódnice. — Sig nie mogła złapać tchu. — Jestem staroświeckim facetem, Sig. Starym i staroświeckim. Ale wszystkie moje członki są wciąż sprawne. Nie mam zbyt wiele czasu, jestem więc niecierpliwy. Nie chcę przespać reszty życia. Nie musisz decydować się teraz, ale czy sądzisz, że mogłabyś za mnie wyjść, Sigourney?

Sig poczuła, że zalewa ją fala gorącej radości.

— Nie wiem — odparła — To znaczy...Myślę, że tak. Ach... No tak. Tak sądzę — przerwała. — Ale najpierw musisz coś dla mnie zrobić.

— Cokolwiek zechcesz. Zabić smoka? Czy Monty’ego Dunleathe? Zorganizować krucjatę?

— Nie. Nic z tych rzeczy. Najpierw musisz pocałować mnie jeszcze parę razy.

Paul uśmiechnął się swym zniewalającym uśmiechem.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparł. — No, po twojej także, jeśli zrobię to dobrze — przerwał. — Coś jeszcze?

Uśmiech na twarzy Sig zgasł.

— Pomóż mi znaleźć matkę. Tylko tego pragnę na Gwiazdkę.

Phyllis przeciągnęła się i otworzyła oczy. Jedną ze słabszych stron starszego wieku był fakt, że miała bardzo lekki sen. Tym razem miało to jednak swoje dobre strony: ona i Monty spędzili całą noc drzemiąc, i za każdym razem, gdy jedno z nich się poruszyło lub przebudziło, drugie unosiło się także. Zmieniali wtedy pozycję, obejmowali się i przytulali, by znów zasnąć. Phyllis uśmiechnęła się. To była cudowna noc. Nie była już w kwiecie wieku, ale mogła być z siebie dumna.

Monty nie wyglądał może na amanta ze swoim obwisłym brzuchem i piersiami, ale był prawdziwym romantykiem. Trzymał ją za rękę od chwili, gdy spotkali się na lotnisku i nie puszczał nawet na moment, przez cały czas lotu na Kajmany i kiedy jechali taksówką do hotelu.

— Nie zamierzam stracić cię znowu — powiedział. — Drugiej takiej nie znajdę.

Z takim argumentem Phyllis nie mogła polemizować.

Kajmany, choć tropikalne, z całą pewnością nie przypominały Florydy. W żaden sposób. To było miejsce, które mogłabym polubić, pomyślała Phyllis. Wiatr owiewał białe, piaszczyste plaże i poruszał dziesiątkami skrzypiących palm. Nie było tu żadnego deptaka nad brzegiem morza i choć nie brakowało ludzi starszych, była tu również i młodzież. Pełni życia i ruchliwi, w niczym nie przypominali szurających nogami, porannych tłumów z bulwaru na Florydzie. Tutaj grało się w golfa i tenisa, jeździło na rowerach. Dzieciom spodobałoby się to miejsce.

Sam hotel — olbrzymi, biały budynek, którego wszystkie balkony ozdabiały kwitnące kwiaty — zrobił na Phyllis wielkie wrażenie. W niczym nie przypominał Danii na Florydzie. I nie było tu francuskojęzycznych Kanadyjczyków.

— Podoba ci się? — zapytał Monty.

— Bardzo ładny — odparła. — Mamy tu pokój czy apartament? — zaśmiała się. Teraz, gdy pomieszkała w apartamencie w hotelu "Pierre", знаła różnicę między jednym a drugim. I chociaż Monty już w samolocie tłumaczył jej swą sytuację finansową — jak jego konkurenci użyli nieuczciwych sposobów, by się go pozbyć z rynku, a przy okazji i skompromitować, oraz że nie jest już tak bogaty, jak kiedyś, ani też tak biedny, jak sądzą ludzie — dla Phyllis to wszystko nie miało znaczenia. Nie chciała wiedzieć, ile ma, a jedynie, ile może wydać.

— Możesz mieć pokój, jaki tylko zechcesz — odparł Monty. — To mój hotel.

Phyllis roześmiała się. I nagle zdała sobie sprawę, że tym razem Monty nie żartuje.

— Przyzwyczaiałam się mawiać, że życie mogłoby być czasami piękniejsze — powiedziała — Coś mi się zdaje, że zmienię zdanie.

Nie było to jedyną niespodzianką: w hotelu była również choinka, udekorowana barwnym tropikalnym pnączem, a w apartamencie czekał na nią prawdziwy pierścienek zaręczynowy, tym razem z szafirem, i naszyjnik do kompletu. Kolację przy świecach zjedli na balkonie, wychodzącym na basen i ocean. A później — łóżko.

Phyllis zdumiewał fakt, że odnalazła w sobie tyle namiętności. Uśmiechnęła się po raz drugi tego ranka i naciągnęła prześcieradło na ramię. Tyle czasu minęło, że już zapomniała. To w niczym nie przypominało jazdy na rowerze. I szczerze mówiąc, Ira nigdy nie był, no cóż, artystą. Miłość z nim była jak solidny, choć prozaiczny obiad. Seks z Montym był jak kawior i

brzoskwinie. Była z siebie dumna. Można jednak nauczyć starego psa nowych sztuczek, ponieważ ona nauczyła się paru od niego.

A to przytulanie! Ira zwykle zasypiał natychmiast, a Monty... Uwielbiał tulić ją do siebie. Odwróciła głowę na poduszce, by na niego spojrzeć. No, szczerze mówiąc, nie wyglądał najlepiej. Ira był przystojnym mężczyzną. Monty nie bardzo, i nie pomagał mu fakt, że spał z otwartymi ustami. A jak chrapał! No, ale on twierdził, że ona też.

Monty wprawdzie spał, ale Phyllis zapragnęła jego towarzystwa. Szturchnęła go łokciem. Było nie było, kto wie, ile czasu im zostało. Świadomość, że ten związek nie będzie trwał czterdzieści lat, dźwięczała w jej duszy smutnym tonem. Każdą chwilę muszą przeżyć, wykorzystać, zapamiętać.

— Monty — szepnęła. — Obudź się.

Nie otworzył oczu, ale uśmiechnął się.

— A więc to nie był sen — powiedział. — Jesteś tu, moja kochana. — I nie unosząc powiek wyciągnął rękę i przytulił ją do siebie.

Sig przeciągnęła się i otworzyła oczy. Przez moment ogarnęło ją przerażenie. A jeśli to nie była prawda? Co zrobi, jeżeli odwróci głowę i Paula tam nie będzie? Sigourney przeszła w życiu wiele: nieudane związki, trudną walkę w drodze na szczyt w swej karierze, śmierć ojca, niedosłże bankructwo brata, jej siostry... to wszystko przeżyła. Ale po ostatniej nocy, po tej czułości i namietności nie zniosłaby, gdyby teraz Paula koło niej nie było. Gdyby się okazało, że to był sen lub gdyby on rzeczywiście zniknął, jej serce po prostu by pękło. Ponieważ nigdy, pomimo tego, że był o tyle starszy, pomimo niedoskonałości obojga, nigdy dotąd nie przeżyła takiej nocy.

Sig odkryła, że starsi mężczyźni mają swoje zalety. Nie spieszyli się, wiedzieli, co robić i znali się na kobiecym ciele. Przynajmniej tak było z Paulem. Był pewien siebie i nie obawiał się okazywać własnych uczuć. Było to bardziej podniecające niż najbardziej muskularne ciało świata. Phillip był taki higieniczny. Sig domyślała się, choć w rzeczywistości nie przyznawała, że mężczyzna może mieć w sobie takie bogactwo uczuć. Paul miał łzy w oczach i podobało jej się to. Kiedy ją obejmował i kiedy ją kochał, patrzył na nią z taką żarliwą namietnością, że pomyślawszy o Phillipie Normanie i ich pustych nocach, poczuła się zażenowana, a nawet zawstydzona. Właśnie zdała sobie sprawę, że tak powinno to wyglądać i już tego nie zapomni.

Teraz, nie chce już nikogo innego. Żadnych Phillipów Normanów. Chciała Paula Cushinga, pragnęła go na całe życie i zamierzała zrobić wszystko, by go zatrzymać. Kiedy jednak odwróciła głowę, odkryła, że Paula nie było. Łóżko było puste.

— Nie wiedziałem, jaką pijesz kawę, mam nadzieję, że czarną. Nie było mleka — powiedział Paul, stając w drzwiach. Miał na sobie jej koronkowy peniuar i wyglądał w nim przezabawnie, jednak Sig była zbyt uszczęśliwiona jego widokiem, by zwracać uwagę na szczegóły. Paul niósł w rękach tacę z dwiema filiżankami kawy, dwiema szklankami soku i talerzykiem nakrytym serwetką. Podszedł do niej i postawiwszy tacę na jej kolanach, obszedł łóżko dookoła.

— Jak ci się podoba mój peniuar? — zapytał, wysuwając się z niego. Pomimo owłosionej piersi i całej reszty znaków czasu, był wysoki, szczupły i piękny, stwierdziła Sig.

— Pani Katz była pod wrażeniem. Wpadłem na nią w kuchni. Nie miała okularów, więc dopóki się nie odezwałem, myślała, że to ty.

Sig parsknęła śmiechem, rozlewając kawę.

— Hej — ostrzegł Paul — uważaj! Niezbyt często się zdarza, że przygoowuję śniadanie. — Jego twarz spoważniała, policzki zapadły się. — Nie tylko gotowanie jest moją słabą stroną. Choć dla ciebie mogę się postarać. — Pocałował ją lekko. — Myślałem jednak o innych rzeczach. Dzwoniłem już do mojego biura. Dowiedzieli się, że twoja matka udała się na lotnisko i tam spotkała się z Montym. Polecieli gdzieś za granicę, ale trochę to potrwa, zanim ich wytropimy. Czasami jest to niełatwe. — Wziął ją za rękę.

Skinęła głową.

— Znajdziemy ją, Sig.

Nie miała co do tego wątpliwości. Ale tym mógł się zająć później. Teraz pragnęła jedynie całować go raz po raz, bez przerwy, do końca życia. Miał rację: była głupiotka. Podała mu jego kawę.

— Przepraszam za to mleko — powiedziała. — Ty pijesz białą?

Paul potrząsnął głową

— Ja lubię kawę ze śmietanką. Śmietanka i cukier. — Uśmiechnął się. — Ciekawe, dlaczego przypomina mi to ciebie? — wyciągnął rękę i musnął jej kark palcami. Miała ochotę mruzczyć. — Może dlatego, że wszystko przypomina mi ciebie. — Odstawił filiżankę na stolik nocny. — Odsuń tę tacę — powiedział. — Chciałbym się z tobą czymś podzielić.

Sig zachichotała i postawiła tacę na podłodze.

— Wyjdiesz za mnie? — zapytał, oplatając ją rękami i nogami. — Jestem staroświecki, Sig. Nie uznaję tych wolnych związków. Chcę, żebyś za mnie wyszła. Chcę, byś była moją żoną. Żebyś nosiła mój pierścionek na palcu i moje nazwisko po imieniu. To z pewnością wbrew zasadom, ale to jedna z dwóch bardzo pilnych potrzeb, które mnie w tej chwili nękają. — Przyciągnął ją do siebie bliżej, tak że nie mogła złapać oddechu.

— Chcę zachować moje nazwisko — odparła. — I coś jeszcze.

— Dobrze. — Paul oddychał jej prosto w ucho. — Co tylko zechcesz. Pragnę cię.

Sig poczuła łaskotanie w stopach. Nie wiedziała też dotąd, że wewnątrz jej ucha miało tak bezpośrednie połączenie z pewną inną częścią jej ciała. Oddychała ciężko.

— Och, Paul — jęknęła. Poczula, że leciutko dotyka językiem jej ucha, jednocześnie delikatnie przygryzając zębami jego płatek. Ślubna kreacja z Bergdorfa stanęła jej przed oczami. Oderwała się od niego. Musiała mu powiedzieć.

— Widziałam cudowną suknię. Może to głupie, ale chcę być dla ciebie prawdziwą panną młodą.

— To nie jest głupie — odparł. — To słodkie. Tak powinno być. Oczywiście, że będziesz miała suknię. Nawet z welonem, jeśli będziesz chciała — dodał. — Wyjdź za mnie — szepnął — albo już nigdy nie polizę cię w ucho. Wyjdiesz?

— Tak — odparła. — Tak, tak, tak, tak.

— Jesteśmy na Kajmanach. Na tych wyspach. Pobraliśmy się dwa dni temu. — Phyllis krzyczała do telefonu, jakby musiała fizycznie pokonać odległość pomiędzy Karaibami a Nowym Jorkiem. — Monty jest naprawdę bogaty, tylko nie chciał, by kochano go za jego pieniądze. Kiedy stracił wszystko, okazało się, ilu miał prawdziwych, a ilu fałszywych przyjaciół. Tych ostatnich było dużo więcej. Odbudował swą fortunę — z dumą krzyczała dalej. — Chciał nas tylko sprawdzić tymi fałszywymi czekami. Powiedziałam mu, że nie było to miłe z jego strony i przeprosił. Nie robi tego więcej. Ma dla was wszystkich prezenty, żeby wam to wynagrodzić.

— Mamo, ja wychodzę za męża.

— Nie, Susan, ja już wyszłam za męża — krzyknęła Phyllis. — Monty i ja już się pobraliśmy.

— Gratulacje. Ale ja nie mówię o tobie! Mówię o sobie! W Wigilię wychodzę za Paula Cushinga.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, po czym Phyllis przemówiła normalnym już głosem.

— Dzięki Bogu. Więc w końcu się obudziłaś i poczułaś zapach kwiatów pomarańczy — pochwaliła córkę.

— Nie jesteś zdziwiona?

— Nie bądź śmieszna. Od początku cię adorował.

— Wiedziałaś?

— Czy wiedziałam? Próbowałam ci powiedzieć, ale ty tego nie widziałaś. Teraz obydwie będziemy miały mieszane małżeństwa — roześmiała się Phyllis. — Cóż, lepsze to niż żadne.

— Mamo, ja go naprawdę kocham. To znaczy... to znaczy ja naprawdę go kocham.

— O tym też wiedziałam. Czekałam tylko, by twój umysł uzyskał połączenie z sercem. I co, dał ci pierścionek? Z szafirem, jak mój?

— Nie — przyznała Sigourney.

— No to nie martw się, zrobi to na pewno. — W tym momencie albo Phyllis się roześmiała, albo coś się stało z telefonem, w każdym razie, kiedy hałas ustał, połączenie zostało przerwane.

— Miałam wiadomość od mamy — oznajmiła Sig Bruce'owi i Sharon, podłączycywszy ich do linii konferencyjnej w swoim biurze. Mogła sobie pogadać, gdyż i tak nie była w stanie pracować, jej głowa zbyt pełna była planów, a jej serce — nadziei. Sentymentalna Sigourney, pomyślała sobie.

— Gdzie ona jest? — zapytała Sharon.

— Gdzie jest Monty? — zagrmiał Bruce. — Zamierzam go znaleźć i udusić.

— Daj sobie spokój — powiedziała Sig. — Jest teraz twoim ojczymem, a poza tym jest nadziany. Ma pokaźne konto na Kajmanach. Może tutaj jego reputacja nie jest zbyt dobra, ale naprawdę jest bogaty. — Sig zachichotała. — Tak czy inaczej, to nie jest najważniejsza wiadomość.

— To nie jest najważniejsza wiadomość? — zapytał Bruce. — A co innego...?

— Zapraszam was jutro na małą uroczystość.

— O, nie. Czyżby lunch dla gości z listy "C"? Jeszcze jedno cholerne przyjęcie gwiazdkowe — jęknął Bruce.

— Nie, to tylko mój ślub.

Sharon roześmiała się.

— Myślałam, że powiedziałaś: To tylko mój ślub — zachichotała.

— Bo tak powiedziała — odparł spokojnie jej brat. — A więc Paul Cushing odważył się wreszcie oświadczyć, a ty go przyjąłeś?

— Skąd wiesz? — zapytały równocześnie obie siostry.

— Ponieważ jestem wrażliwy na niuanse — wyznał. — To musi wisieć w powietrzu, razem z wirusem tej tajwańskiej grypy. Todd i ja też o tym myślimy.

— Żartujesz! — wykrzyknęły obie jednocześnie.

— Nie, to zdaje się dobra pora na śluby. Znaście tę piosenkę: "Tis the Season to Be Married".

— Nie dla mnie — mruknęła Sharon chmurnie.

— No cóż — powiedziała Sig. — Cieszę się ze szczęścia Mamy i Monty'ego i cieszę się z powodu ciebie i Todda. To przyjdziecie jutro? Bierzemy ślub w Urzędzie Miasta.

— Pytanie — obruszył się Bruce.

— Jasne — odparła Sharon. — Będę z dziećmi. Dziewczynka do sypania kwiatów i chłopiec do noszenia obrączek. Czy dał ci duży pierścionek?

— Boże! Jesteś zupełnie jak mama! — jęknęła Sig.

— E tam. To niemożliwe. Nikomu z nas się to nie zdarza — stwierdził ironicznie Bruce. — Aha, Sig? Potrzebujesz pomocy przy fryzurze?

Sig roześmiała się i odłożyła telefon. Miała tak wiele do załatwienia: zawiadomienia, przygotowania, telefony. Podczas kiedy tyle działo się w jej życiu osobistym, także i w sprawach zawodowych nastąpiła rewolucja. Monty poprosił ją, by dokonała dla niego paru inwestycji, także i Bernard Krinz oraz pani Katz, o dziwo, zdecydowali się złożyć swe pieniądze w jej ręce. Jak gdyby nie dość tego, Paul oddał pod jej opiekę fundusze Wendy. To wszystko będzie jednak

musiało poczekać do Nowego Roku. Sig wstała i wyłączyła komputer. Wychodziła wcześnie, musiała bowiem przygotować się do ślubu, po którym mieli spędzić razem cały rozkoszny miodowy tydzień.

Tym razem Bruce nie dokonywał swych cudów nad głową Phyllis, lecz dla odmiany zajmował się swoją siostrą. Cofnąwszy się o krok, westchnął z zadowoleniem.

— Boże! To zupełnie jak w Pean d'Âne, kiedy Jean Marais usiłuje znaleźć kobietę piękniejszą od jego zmarłej żony. I jedyna, którą znajduje, okazuje się być jego córką! — Bruce był nieco afektowany, ale Sig kochała go i wiedziała, że cieszył się jej szczęściem. Zamiast go więc strofować, ucałowała serdecznie. — Czyżbyśmy byli na francuskim filmie? — ekscytował się dalej. — Czy to Catherine Deneuve? Sig, wyglądasz precudownie — stwierdził. Jego siostra uśmiechnęła się, wierząc mu na słowo. — Poprawię ci jeszcze usta, ale nie całuj nikogo więcej.

Sig miała na sobie satynową suknię ślubną od Bergdorfa i jakoś nie czuła się ani trochę śmieszna. Założyła ją przecież dla Paula, a to on powiedział kiedyś: Kiedy się kocha, wszystko jest możliwe.

Sig zdecydowała się nawet na welon. Zupełnie nie czuła się teraz jak matka panny młodej. Paul — starszy, bardziej doświadczony i kochający — sprawił, że czuła się jak podlotek. Nie była ani zbyt stara, ani przesadnie wystrojona, ani trochę pretensjonalna, ani w ogóle „zbyt jakakolwiek”. Czuła się jedynie piękna.

Nie zdziwiła się więc, gdy spojrzawszy w lustro stwierdziła, że Bruce miał rację. Blask jej oczu przyćmiewał zarówno połysk włosów, jak i satynowej sukni. Nie miało znaczenia, że ślub brali jedynie w urzędzie, ani że nie będą mieli żadnych gości poza Bruce, Toddem, Sharon, Barney'em, dziećmi, Wendy i panią Katz. To przecież byli ludzie, których potrzebowała i pragnęła widzieć koło siebie — oni i Paul.

No i oczywiście jej matka. Chciałaby, żeby mama i Monty mogli być na jej ślubie. Teraz już Sig rozumiała: jeśli jej matka czuła do Monty'ego to samo, co ona do Paula, to zachowała się wobec nich bardzo, bardzo źle. Sig wierzyła święcie, że nawet gdyby Paul nie miał ani grosza, ona i tak gotowa była wyjść za niego za mąż. Nie mogła się doczekać wszystkich tych drobnych szczegółów, z których składa się wspólne życie — gotowanie obiadów, pomaganie w wychowaniu Wendy, wspólne oglądanie telewizji i rozmowy, zwykle, codzienne rozmowy. Sentymentalna Sigourney. Sentymentalna czy nie, miała nadzieję, że jej matka choć w połowie była tak zakochana w Montym, jak ona w Paulu. I że jej miesiąc miodowy na Kajmanach będzie równie cudowny jak ich miodowy tydzień, który spędzą w mieszkaniu Sig. Paul wykupił je, wpisując nazwiska ich obojga jako właścicieli. Sig zamierzała w pełni wszystko wykorzystać i miała nadzieję, że jej matka robi podobnie.

Robiło się późno. Paul, oczywiście, nie mógł jej zobaczyć przed ślubem, mieli więc spotkać się na miejscu. Wysłał jednak po nich limuzynę. Sig wprawdzie nie wierzyła, że gdyby ją zobaczył, przyniosłoby im to pecha. Miała już wszystko, czego jej potrzeba. Teraz nie ma już o co się martwić. Paul miał przecież doświadczenie i wiedział, co robić, by małżeństwo było udane. Kochał swą żonę, kochał syna i wnuczkę. Znał się na tym, a gdyby ona czegoś nie wiedziała, on jej na pewno powie.

Zadzwoił domofon. Dozorca oznajmił, że limuzyna już czeka. Bruce i Sig zjechali windą na parter, gdzie powitali ich Jessie i jej brat, oboje w białych ubrankach obszytych króliczym futerkiem. Kiedy Sig wyszła na próg, dzieci obrzuciły ją ryżem i błyszczącym konfetti.

— Jeszcze nie, jeszcze nie! — krzyknęła Sharon. — To się rzuca dopiero po ślubie!

— Racja — upomniał ich wujek Bruce. — Nie zabrudźcie jej sukni. — Strzepnął kolorowe drobinki z ramienia Sig i odwrócił się, by spojrzeć na Sharon. Miała na sobie bezkształtne odzienie z niebieskiego weluru.

— Gdzie jest Barney? — zapytał.

— Rzuciłam go.

Sig i Bruce zamarli ze zdumienia.

— Żartujesz! — wykrzyknęła po chwili Sig.

— No cóż, statystycznie jedno na trzy małżeństwa w Ameryce kończy się rozwodem — powiedziała, jak zwykle dokładna, Sharon. — Wezmę to na siebie, więc ty z Paulem i Mama z Montym możecie żyć bezpiecznie.

— Przestań, Sharri. Poważnie. Co się stało?

— Dzieci, wsiądźcie do samochodu! — nakazała Sharon swym latoroślom. Zamknąwszy za nimi drzwi, wybuchnęła. — Och, Sig, Barney nie jest zwykłym nieudacznikiem. To mogłabym znieść. Ale jemu jest z tym wygodnie! To zbyt wiele! Wyobraź sobie, jak można odrzucać propozycję pracy, kiedy Jessie i Travis nie mają pieniędzy na lunch! A ty płacisz za czesne w szkole jego dzieci. Dość tego.

— Kolejny cud gwiazdkowy! — stwierdził z patosem Bruce, spoglądając w ponure niebo. Wyglądało na to, że zaraz sypnie białym puchem. Bruce położył rękę na ramieniu Sharon. — Będę cię wspierał, jak tylko potrafię — obiecał pokrzepiającym tonem. — Oczywiście, poza stroną finansową — dodał. Roześmieli się wszyscy troje.

— Gratulacje — powiedziała Sig poważnie. — Zaslugujesz na kogoś lepszego, Sharri.

— Ach, nawet być samotną to lepiej niż być z Barney'em — odparła jej dzielna siostra.

— Czas jechać — ponagliła ich z samochodu pani Katz. — Nie można pozwolić mężczyźnie czekać. Pan młody może zmarznąć. — Jej głos zdradzał pewne zdenerwowanie.

Po kolei wsiedli wszyscy do czarnej, długiej limuzyny, która ruszyła w kierunku Urzędu Masta.

Pomimo błota na podłodze, Sig nie żałowała, że wydała cztery tysiące osiemset dolarów na suknię ślubną. Wydawała się, płynąć długim, wysokim korytarzem, wyglądając jak idealna panna młoda. Staroświecka tabliczka na ścianie oznajmiała złożonymi literami: Do Urzędu Stanu Cywilnego; sprawiała wrażenie starszej niż sam Urząd Miejski. Ileż par młodych patrzyło na nią? Czy wszyscy byli tak szczęśliwi, tak pełni nadziei jak ona? — zastanawiała się Sig. Kierując się strzałkami szli długim korytarzem budynku, aż dotarli na miejsce. W niezbyt czystej poczekalni, na zbieraninie różnych krzeseł, siedzieli szarzy, nieciekawi ludzie. Pani Katz otworzyła drzwi i Sig, w swej łabędziej kreacji, wpłynęła do sali. Wraz z jej wejściem wszystko tu stało się nic nie znaczącym tłem: nechłujne wnętrze, oczekujący ludzie, znudzony urzędnik za biurkiem. Sig widziała tylko Paula, stojącego obok swej wnuczki. Kiedy go ujrzała, cała sala uległa nagłej przemianie. Gdy Paul odwrócił się i spojrzął na swoją narzeczoną, dostrzegła w jego oczach radość, oddanie i miłość. Odczuli to chyba wszyscy, bowiem przez salę przeszło jakby zbiorowe westchnienie. Dzisiaj Sig była księżniczką. Nie maklerem, a księżniczką tak piękną, że przemieniała wszystkich naokoło. Paul Cushing uśmiechnął się i podszedł do niej.

— Sędzia zaraz nas przyjmie — powiedział, biorąc ją pod ramię.

— Chwila, chwila — powstrzymał go Bruce. — To moja rola. To ja oddaję ją w twoje ręce. — Odebrał Paulowi siostrę. — Jeszcze nie należy do ciebie.

— Proszę o uśmiech — powiedział Todd, ustawiając ostrość i naciskając migawkę aparatu.

Pani Katz wyciągnęła przed siebie pudełko, które przyniosła tu ze sobą.

— Nie zapomnij o tym — powiedziała. Sig znalazła w środku dwa przesłiczne bukiety kwiatów. W całym tym zamieszaniu zapomniała o kwiatkach!

— Och, dziękuję — uśmiechnęła się. — Ale czemu dwa?

Oprócz kwiatów pudełko zawierało błękitną chusteczkę i mały medalion.

— Coś starego, coś nowego. No wiesz... — powiedziała pani Katz zmieszana. — A potem pożyczysz to mnie. Dobrze? — zapytała. — To będzie coś pożyczonego. Medalion jest stary, kwiaty nowe, a chusteczka...

— Ale dlaczego dwa bukiety? — powtórzyła Sig.

— Jeden jest dla mnie — przyznała się wreszcie pani Katz. — Idę w ślady twojej matki — zniżyła głos — Wyjawszy seks.

— Pani też ucieka z Montym? — zażartował Bruce.

— Nie, nie. Nie bądź niemądry — odparła pani Katz, jak zwykle nie zauważając żartu. — Ja wychodzę za mąż zaraz po tobie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Sig nie mogła zrozumieć, co tu się działo. Za kogóż, na Boga, mogła wyjść pani Katz? Nigdy nie wychodziła z mieszkania, a nawet jeśli, to zawsze razem z Phyllis. Jedynym mężczyzną poza Bruce, Toddem i Montym był...

— Bernard! Wychodzi pani za Bernarda? — Sig szybko rozejrzała się po sali. Był tam rzeczywiście, skromnie siedział na krześle w rogu sali. — Nie wie pani, że on jest...

— Dla mnie jest idealny — stwierdziła Sylvia i ponownie zniżając głos, dodała: — Nie będą musiała zmieniać monogramów na ręcznikach. I obiecał zająć się moimi pieniędzmi. No i żadnego...

— Wiem. Żadnego seksu — roześmiała się Sig i pochylając się, objęła panią Katz. Właściwie czemu nie? Krinz nie był oszustem. Był już kiedyś żonaty. Dużo dziwniejsze małżeństwa zdarzały się na tym świecie.

— Zostańcie tak przez chwilę! — wykrzyknął Todd, podbiegając z aparatem. — To takie piękne!

— Zabieraj się stąd z tym przedmiotem — powiedział Bruce. — Bo nigdy nie zaczniemy tego przedstawienia. — Zastanowił się przez chwilę. — To nie jest przedstawienie, to film Franka Capry *It's a Wonderful Life*. Boże, jak to się stało? Są święta, a ja gram w filmie Franka Capry!

Tym razem Sig musiała się zgodzić z filmowym skojarzeniem swego brata. To było cudowne życie, tego przynajmniej po nim oczekiwała. Ceremonia przebiegała równocześnie niewiarygodnie szybko i nieznośnie długo. Czowała, jak jej ręce trzymające bukiet drżą. To wszystko stało się tak nagle, a czekała na to tak długo. Czy popełnia błąd? Przez cały czas, gdy sędzia do nich przemawiał, patrzyła tylko na twarz Paula. Nie był młody i знаła go zaledwie od miesiąca, ale był jej taki drogi. Jak mogłaby teraz, kiedy już go znalazła, żyć bez niego? I ile lat danych im będzie spędzić razem?

W tej chwili sędzia poprosił o obrączki. Bernard, występujący jako świadek Paula, odebrał je od Travisa i przekazał dalej. Jakże śmiertelni jesteśmy, pomyślała Sig. Nikt nie wie, co się zdarzy za chwilę. W każdym momencie może się coś stać: nagle okaże się, że masz raka albo też padasz ofiarą przemocy.

Jak gdyby w odpowiedzi na te myśli, drzwi otworzyły się z trzaskiem i ukazała się w nich głowa Monty'ego.

— Nie jest za późno! Nie jest za późno! — wykrzyknął i wpadł do sali, robiąc przejście dla Phyllis. Wyglądała dokładnie tak samo jak zawsze, poza tym, że była opalona i dobrze ubrana. Z jakichś powodów wzrok Sig przyciągnęła lewa dłoń matki. Rozpierał się na niej niepoślednich rozmiarów pierścień z szafirem, któremu towarzyszyła wysadzana diamentami obrączka. A więc to była prawda.

— Nie mogłam pozwolić, by moja najstarsza córka wyszła za mąż beze mnie — powiedziała Phyllis, uśmiechając się do zebranych. — Tak więc... — przerwała, najwyraźniej zadowolona z efektu, jaki zrobiło jej dramatyczne wejście. — Nie chcę wam przeszkadzać. Kontynuujcie.

Sig spojrzała na Bruce'a. Oboje wzniesli oczy ku górze. Ich matka była skaraniem boskim, dziwadłem natury. Ale kochali ją.

Ceremonia rozpoczęła się od nowa.

Nie trwała jednak długo, a potem wszyscy zaczekali, aż pani Katz — teraz już pani Krinz — zostanie poślubiona Bernardowi.

— Nie miałam takiej ślicznej sukni jak ty podczas drugiego ślubu — szepnęła Phyllis do córki. — Ale Monty dał mi wspaniały prezent ślubny — pochyliła się do Sig — milion dolarów. Jest na moim koncie w banku na Kajmanach. I ten czek miał pokrycie. — Spojrzała na swój pierścionek z szafirem, który wprawdzie duży, nie był jednak większy niż doskonały diament na palcu jej córki.

— Chce wam ofiarować dom na Kajmanach w prezencie ślubnym.

— Nie potrzebujemy żadnych prezentów — odparła Sig.

— Mów za siebie — powiedział Bruce. — Todd i ja moglibyśmy go wykorzystać.

— Właśnie — dodała Sharon. — Ja wprawdzie dostałam pracę, ale przyjmę każdą pomoc.

— Ty postarałaś się o pracę? — zdumiała się Sig. Todd nacisnął migawkę; Sig mogła sobie wyobrazić swój wyraz twarzy na tym zdjęciu.

— Ty sama? — dziwił się Bruce. Jemu też Todd zrobił zdjęcie.

— Milcz, Bruce — fuknęła Phyllis. — Bądź miły. — Spojrzała na Sharon. — Sama znalazłaś sobie pracę? — Nie powstrzymała się i ona. Todd uzupełnił trio fotografią matki.

— Seria do albumu ślubnego — zaśmiał się i pospieszył w kierunku nowych ofiar swej manii, świeżo poślubionych państwa Krinzów.

— Będę bibliotekarką i analitykiem w głównym biurze Stirlinga — powiedziała Sharon nieśmiało.

Bruce, Sig i Phyllis zaczęli bić gorące brawa.

— Doskonale — powiedział Monty. — A słyszeliście ten dowcip...

— Moi drodzy — Paul przerwał tę rodzinną konferencję. — Musimy to wszystko uczcić. Chodźmy.

Przed budynkiem stały już samochody, które przejechawszy z trudem wśród tłumu spóźnionych, gwiazdkowych klientów, dotarły do Clarlyle, gdzie Paul od lat miał apartament. Czekał tam na nich lekki posiłek. Paul rozpoczął uroczystość toastem:

— Za wszystkich świeżo poślubionych, za całą naszą szóstkę.

— Właściwie to za ósemkę — sprostował Bruce. Odwrócił się i spojrzał na Todda. — My też wzięliśmy ślub — powiedział. — Jeśli można to tak nazwać. — Nieśmiało podniósł rękę z obrączką.

— Och, Bruce! — wykrzyknęła Phyllis. — Jestem z ciebie taka dumna! — Odwróciła się do Todda. — Nie mogłabym lubić cię bardziej, nawet gdybyś był lekarzem. — Ucałowała go w policzek. Todd oblał się rumieńcem, po czym uniósł aparat i zrobił im wszystkim zdjęcie.

— Gratulacje, najlepsze życzenia i w ogóle — powiedziała Sig do Todda, obejmując go. Potem odwróciła się do Bruce'a. — Tobie też życzę wszystkiego najlepszego — dodała. Brat i siostra padli sobie w objęcia.

— Miłość to piękna rzecz — rzekła do wszystkich razem pani Krinz.

Zdaje się, że to już nie jest pani Katz, pomyślała Sig nagle. Koniec żartów o kacu. Jakby w odpowiedzi na jej myśl, Bruce nachylił się do niej i szepnął:

— I kto teraz będzie miał kaca?

— No, została panią Krinz — powiedział Paul. — A ja nie zdołałem zrobić z twojej siostry pani Cushing, Sigourney zachowała własne nazwisko.

— Nie — zgodził się Bruce. — Zrobiłeś z niej jedynie prawdziwie szczęśliwą kobietę — rozejrzał się po sali. — Jaka długa i dziwna droga przyprowadziła nas tutaj.

— O, tak — zgodziła się pani Krinz. — Ten Urząd Miejski jest w zupełnie innej części miasta.

Sig roześmiała się. Jej matka dołączyła do niej. Paul napełnił wszystkie kieliszki. Sig i Paul spojrzeli na siebie tak, jak czynią to wszystkie młode pary na świecie. W tej samej chwili Phyllis mrugnęła do Monty'ego, a Bruce i Todd szturchnęli się łokciami.

— Wesołych świąt wszystkim! — powiedziała Phyllis, unosząc swój kieliszek.

— I wielu niespodzianek w Nowym Roku! — dodał Bruce.

— To mamy jak w banku — stwierdziła Sig, uśmiechając się do swojej rodziny.